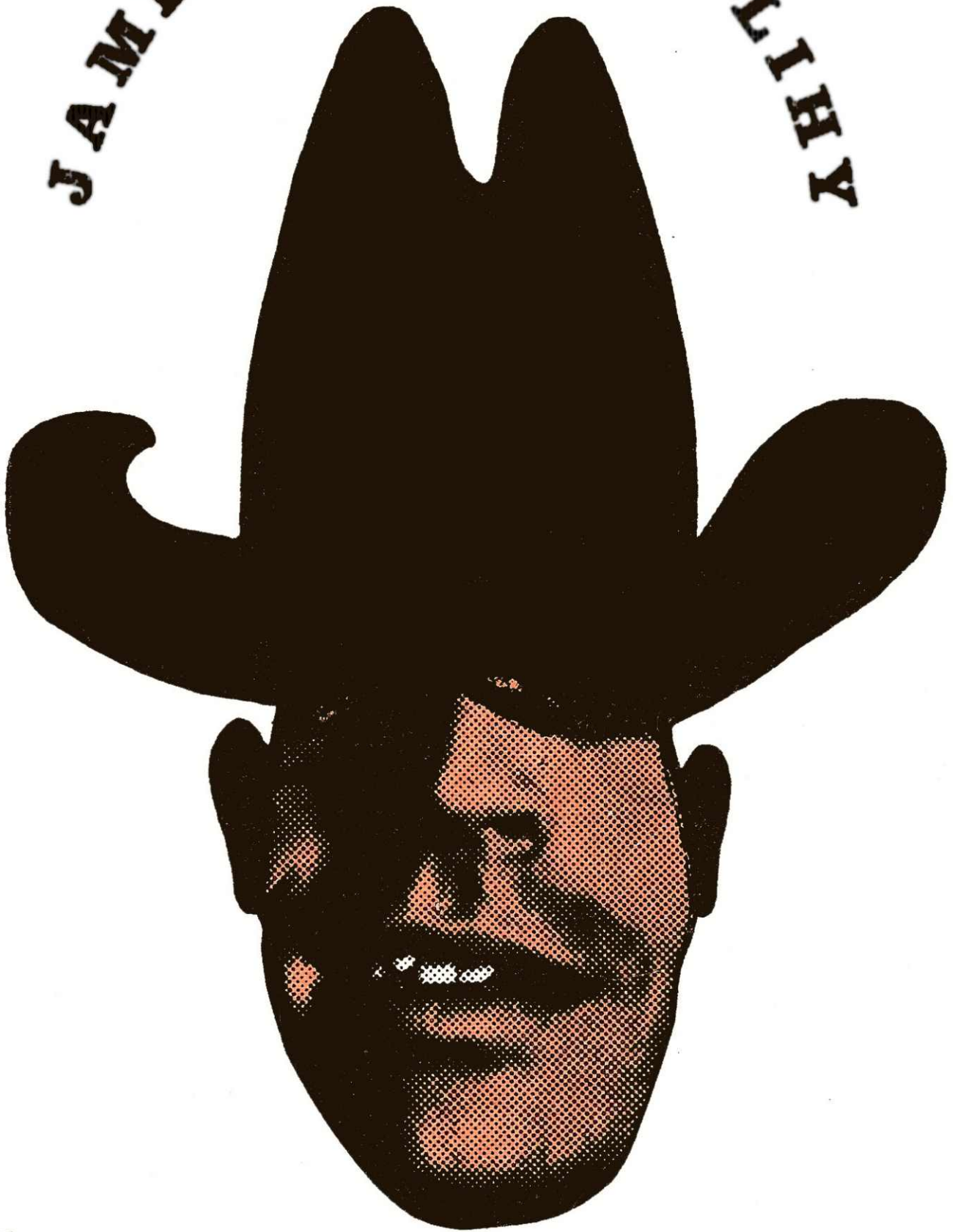


**JAMES LEO HERLIHY**



**NOCNY KOWBOJ**

**JAMES LEO HERLIHY**



**NOCNY KOWBOJ**



Z angielskiego  
przełożył  
Tomasz Mirkowicz

Książka i Wiedza ● Warszawa 1989

*Nie ma błogosławieństwa dla samotnych.*

*Pismo święte nie mówi, że są błogosławieni.*

pan O'Daniel

# **CZEŚĆ PIERWSZA**

## 1

W nowych kowbojskich butach Joe Buck miał metr osiemdziesiąt pięć wzrostu i inaczej patrzył na życie. Kiedy wychodził z domu towarowego w Houston, jego ciało przeszło jakiś przełom: poczuł w lędźwiach siłę, której istnienia nie podejrzewał, a dzięki której inaczej zaczął odbierać świat. Nowe mięśnie grały teraz w jego pośladkach, w jego nogach. Czuł, że zupełnie inaczej kroczy po chodniku. Świat leżał tam, w dole, on zaś był hen — wysoko, na szczycie, zaś przestrzenią między nim a chodnikiem zawładnęły wspaniały, niezwykle samiec, on, Joe Buck. Był silny. Był szczęśliwy. Był gotów.

— Jestem gotów — powiedział sam do siebie i zamyślił się nad sensem własnych słów.

Dobrze wiedział, że myślenie nie jest jego mocną stroną, ale ponieważ wiedział też, że najlepiej mu się myśli patrząc w lustro, rozejrzał się za czymś, w czym mógłby zobaczyć swoje odbicie. Przed nim była wystawa sklepowa. Stuk-puk, stuk-puk, stuk-puk, stuk-puk, stukotały jego kroki po betonie, jakby mówiły: siła, siła, siła, siła, kiedy tak szedł prosto na witrynę sklepową, z której wychodził mu naprzeciw nowy, choć nieobcy mu osobnik, barczysty, zuchwały, opanowany i przystojny. „Jak mi Bóg miły! Cieszę się, że jestem tobą — powiedział w myśli doswojowego odbicia i dodał; — Hej, co to za brednie? Do czego jesteś gotów?”

I wtedy przypomniał sobie.

Kiedy wrócił do „H telu”, hotelu, który nie tylko nie miał nazwy, ale stracił też i „o” na szyldzie, uświadomił sobie absurd tego, że ktoś tak interesujący, tak męski i tak urodziwy mieszka w podobnej nędznej, bezimiennej budzie. Wbiegł na pierwsze piętro przeskakując po dwa schodki naraz, wszedł do pokoju i natychmiast znikł w komórcie na ubrania, z której wyłonił się chwilę później z okazałym pakunkiem. Odwinął brązowy papier i położył na łóżku nowiutką walizkę z końskiej skóry w biało-czarne łaty.

Splótł ręce na piersiach, cofnął się i przyglądał walizce, kiwając z zachwytem głową. Jej piękno za każdym razem poruszało go do głębi. Czarne łaty były tak czarne,

białe tak białe, a całość tak bardzo przypominała żywą, miękką istotę, że czuł się w posiadaniu cudu. Sprawdził, czy ma czyste ręce, i przejechał nimi po włosiu, jakby usuwał kurz. Walizka nie była oczywiście zakurzona; Joe usiłował ją jedynie zabezpieczyć przed ewentualnym brudem.

Teraz począł wydobywać z ukrycia inne skarby nabyte w ciągu ostatnich miesięcy: sześć nowych kowbojskich koszul, dwie pary czarnych spodni (jedne gabardynowe, drugie bawełniane), nową bieliznę, skarpetki (sześć par, wciąż jeszcze w celofanowych opakowaniach), dwie jedwabne apaszki, srebrny sygnet z Juarez, radio turystyczne na ośmiu tranzystorach, które odbierało nawet Meksyk bez najmniejszych zakłóceń, nową maszynkę do golenia, cztery paczki cameli, kilka paczek owocowej gumy do żucia, przybory toaletowe, plik starych listów itd.

Następnie wziął prysznic i wrócił do pokoju, żeby przygotować się do podróży. Ogolił się nową maszynką, wytarł ją dokładnie i schował do walizki, skropił wodą kolońską twarz, pachy i pachwiny, natarł włosy sporą porcją brylantyny, co sprawiło, że stały się niemal czarne, odświeżył usta gumą do żucia, którą zaraz wypluł, wyczyścił nowe buty specjalną pastą, włożył świeżą koszulę za siedem dolarów (czarna, z białymi lamówkami, przylegała do jego szerokich ramion i szczupłego ciała niczym własna skóra), zawiązał na szyi niebieską apaszkę, ułożył nogawki ciasno opinających uda prążkowanych wełnianych spodni, tak żeby na pozór niedbale wysuwały się ze lśniących czarnych kowbojskich butów i opadały na cholewy, nie zasłaniając jednak żółtych, promienistych słońc na kostkach, wreszcie włożył kremową skórzaną kurtkę, tak delikatną i miękką, jak gdyby była żywa.

Teraz gotów był obejrzeć wynik swoich zabiegów. Kiedy szykował się, rzadko patrzył na całe swoje odbicie. Starał się skupiać wzrok tylko na tym odcinku twarzy, po którym przesuwał w danej chwili maszynkę do golenia, lub na tej stronie głowy, po której właśnie przejeżdżał grzebieniem — i czynił to konsekwentnie. Bał się, że w przeciwnym razie może utracić świeżość oceny. Przypominał matkę strojącą synka na spotkanie z ważną osobistością, od której opinii zależy przyszłość małego — dlatego też, kiedy wszystko było już gotowe i czas było ocenić końcowy efekt, Joe Buck odwracał się tyłem do lustra, odchodził trochę dalej, poruszał ramionami, żeby rozluźnić mięśnie, parę razy wciągał głęboko powietrze, robił szereg szybkich przysiadów i z trzaskiem wyłamywał so-

bie palce. Następnie przybierał niedbałą pozę, jego zdaniem bardzo atrakcyjną, która zresztą była dla niego bardzo charakterystyczna — cały prawie ciężar ciała spoczywał na jednej nodze — przywoływał na myśl jakiś miły obraz, najczęściej ładnej, wpatrzonej w niego z zachwytem dziewczyny, uśmiechał się do niej z chytrą, pobłażliwą mądrością, zapalał camela, wtykał go między zęby i wsadzał kciuk za wojskowy pas, noszony nisko na biodrach. Teraz już mógł spojrzeć na siebie, więc kierował wzrok na lustro, jakby ukryty w nim jakiś intruz zawołał go nagle po imieniu: „Joe!”

To, co zobaczył w dniu odjazdu, szczególnie przypadło mu do gustu. Podobał mu się ten uroczy, ciemnowłosy, groźny czort, którego zaskoczył w brudnym lustrze pokoju hotelowego. Na łóżku za swoim odbiciem widział piękną walizkę, a przez materiał spodni wyczuwał w tylnej kieszeni złożone wpół banknoty — dwieście czterdzieści cztery dolary, największa suma, jaką miał w życiu. Ale przede wszystkim czuł, że ma samego siebie — we własnej skórze, we własnych butach, pana własnych mięśni i własnego umysłu, posiadacza całej tej urody, siły, energii i młodości, a ponadto miejsca zarezerwowanego na koźle powozu mknącego ku szczytom wspaniałej kariery — i radość go zalewała. Przedtem, nie tak dawno jeszcze, wyzierał z lustra ponury, wystraszony, osamotniony osobnik, który bynajmniej nie był z siebie zadowolony, ale ten osobnik znikł, przepadł raz na zawsze, a Joe widział kogoś całkiem nowego. Nie zdołałby pewno znieść większej wspaniałości, ugiąłby się pod jej cudownym ciężarem, bo i tak czuł, że jeżeli choć sekundę dłużej będzie się rozkoszował tym niebywałym szczęściem, że jest sobą — i to właśnie teraz, w chwili przed wyruszeniem w drogę — może wszystko popsuć, wybuchając płaczem.

Spakował więc swój dobytek i na zawsze opuścił „H tel”

Nad wejściem do baru samoobsługowego „Słoneczko” namalowane było ogromne żółte słońce, a na tarczy wmontowanego w nie zegara (wskazywał właśnie za dwadzieścia siódmą) był napis: „Czas coś przegryźć”.

Idąc w stronę baru, Joe odegrał w myśli następującą scenę:

Wchodzi do „Słoneczka”. Jego szef, różowy na twarzy mężczyzna w poplamionym szarym garniturze, stoi tuż przy drzwiach, w prawej ręce trzyma zegarek kieszonkowy, a wskazującym palcem lewej grozi Joemu.

— Masz tu być punkt czwarta! Od czwartej do dwunastej w nocy! Rozumiesz? — krzyczy.

Goście przestają jeść i spoglądają w ich stronę. Joe Buck bierze różowego za ucho i mijając zdumionych klientów prowadzi go na zaplecze. Kucharze, bufetowe i pomywacze przerywają pracę i patrzą, jak Joe popycha różowego szefa na automat do zmywania. Potem nie spiesząc się zapala papierosa, unosi nogę w lśniącym bucie i stawia ją na skrzyni z naczyniami. Następnie wypuszcza kłęb dymu i mówi:

— Ta zmywarka od dawna nie daje mi spokoju. Już od bardzo dawna! Tak! Bo nie wiem, czy dałbyś radą wsadzić ją sobie w dupę. Nachyl się!

— Co, co? Ja mam się nachylić? Oszalałeś? — protestuje tamten.

Joe nie czyni najmniejszego ruchu, patrzy tylko na niego spod ciemnych brwi:

— Powiedziałeś, że oszalałem?

— Nie, nie, nie, ja tylko...

— Nachyl się — mówi Joe.

Różowy nachyla się, a Joe widzi, że z tylnej kieszeni wystaje mu portfel.

— Od razu podejmę wypłatę — mówi, wyciągając z portfela pieniądze. — I należy mi się chyba jakaś premia!

Wsuwa do slipów gruby rulon banknotów i wychodzi, a w zwróconych na niego oczach gości maluje się szczery podziw. Ale nikt nie ma odwagi pobiec za nim ani spróbować go zatrzymać. Co więcej — różowy szef tak na wszelki wypadek stoi nachylony jeszcze przez kilka dni po jego odejściu.

Tak wyobrażał to sobie Joe. A oto jak wyglądało to w rzeczywistości:

Stukając obcasami przeszedł na drugą stronę ulicy, pchnął drzwi obrotowe i znalazł się w „Słoneczku”. Kołysząc swoim nowym ciałem ominął stoliki i doszedł do drzwi z napisem: „Tylko dla personelu”. Za tymi drzwiami kończyła się klimatyzacja, dalej było gorąco i parno. Następne drzwi zaprowadziły go do pomywalni. Niemłody Murzyn ustawiał tam na tacy brudne naczynia. Joe przyglądał się, jak Murzyn po wypełnieniu tacy stawia ją na taśmie transportującej naczynia do zmywarki. Potem Murzyn uśmiechnął się do Joego i skinął głową w stronę stojącej na podłodze piramidy druczianych koszy, pełnych naczyń.



— Zajmij się tym gównem, dobrze?

Joe podszedł do niego.

— Słuchaj no, ruszam na wschód!

Zapalił papierosa. Tamten spojrział na jego walizkę.

— Nie będziesz już tu pracował?

— Nie, chyba nie. Przyszedłem się pożegnać, powiedziec ci, że jadę na wschód.

— Na wschód?

— Tak. Rany, tak! Chciałem się pożegnać, jeszcze raz zobaczyć tę budę.

W drzwiach stanęła tęga kobieta z twarzą pokrytą czerwonymi plamami i krzyknęła na całe gardło:

— Filizanki!

Zamknęła drzwi i znikła.

Murzyn wyciągnął rękę.

— No, to do widzenia!

Uścisnęli sobie dłonie, ale Joe nie wypuszczał jeszcze ręki Murzyna. Miał dziwną ochotę włożyć fartuch i zabrać się do pracy. O tym jednak nie mogło być mowy.

— Co ja tu, do cholery, jeszcze robię, no nie?

— No — mruknął Murzyn, patrząc na swoją rękę, której Joe nadal nie puszczał. — Czym się zajmiesz tam na wschodzie?

— Kobietami — odpowiedział Joe. — Tamtejszymi kobietami. Jest ich tam od groma i one będą mi płacić.

— Za co?

Murzyn uwolnił wreszcie dłoń.

— Tamtejsi faceci — powiedział Joe — to prawie same pedały, więc babki muszą bulić, żeby dostać to, czego chcą. Chętnie bulą, boby nie dostały.

Murzyn pokręcił głową.

— Ładne rzeczy!

Sięgnął po następną pustą tacę i zaczął ustawiać na niej filizanki.

- Pewnie, że ładne! Ale ja na tym zbiję forszę, no nie?
- Nie wiem. Nie znam się na tym.
- Jak to? Przecież ci powiedziałem.
- Tak, ale skąd mam wiedzieć?
- No, nie mam co tu dłużej sterczeć. Czas ruszać, no nie?

Joe Buck poczuł nagle, że mimo kowbojskiego stroju wcale nie jest kowbojem. Stał z rozchyłonymi ustami, ukazując duże, białe, lekko wysunięte do przodu zęby i wpatrywał się niebieskimi oczami w twarz starszego mężczyzny. „Ojciec — mówiły jego oczy — jadę w świat szukać szczęścia i przyszedłem prosić cię o błogosławieństwo”. Ale biedny Murzyn nie był oczywiście jego ojcem. Joe sam nie wiedział, czym właściwie jest synem. Wyszedł więc z pomywalni. Należało mu się wynagrodzenie za jeden dzień pracy, ale nie miał najmniejszej ochoty na rozmowę z różowym mężczyzną, który był kierownikiem „Słoneczka”. Poza tym wiedział, że tak naprawdę to nigdy nie powie temu człowiekowi, żeby wsadził sobie w dupę automat do zmywania.

Przeszedł przez bar i znalazł się na ulicy. Był pogodny, wyraźnie wiosenny wieczór, więc wkrótce, czerpiąc otuchę z odgłosu własnych kroków, poczuł się znacznie raźniej i idąc w stronę dworca autobusowego myślami znajdował się już o tysiące mil stąd: kroczył Park Avenue w Nowym Jorku. Bogate damy w oknach mdlały na widok kowboja. Kamerdyner dotknął jego ramienia, winda zawiozła go na ostatnie piętro, otworzyły się złote drzwi i znalazł się w obszernym mieszkaniu, którego podłoga cała wyłożona była puszystym, brązowym futrem. Pani miała na sobie maleńkie figi i czarny zwiewny szlafroczek. Na widok Joego Bucka zaczęła ciężko oddychać — nie panowała nad sobą. Drżąc z podniecenia, osunęła się na puszyste futro. Była już wilgotna i gotowa na jego przyjęcie. Nie miał nawet czasu się rozebrać. Wziął ją natychmiast. Kamerdyner wręczył mu czek. Nad zamaszystym podpisem widniało puste miejsce ~ Joe miał wpisać sumę według własnego uznania.

Na dworcu autobusowym w Houston rozbrzmiewała muzyka z grającej szafy. Wsiadając do autobusu Joe usłyszał głos należący zapewne do jakiejś dorodnej, urodziwej teksaskiej piosenkarki, która śpiewała: „Wiruje koło fortuny, niesie złoto,

złoto, złoto" — i pomyślał, że chyba zachęca ona wszystkich młodych byczków, żeby jechali na wschód zgarniać tam forszę. Idąc przejściem na koniec autobusu Joe uśmiechał się, błyskając białymi zębami, bo zrozumiał, co to znaczy przeznaczenie, i rozkoszował się tą wiedzą, choć nie potrafiłby jej ująć w słowa: otóż jest pewien sposób, w jaki można przeniknąć do wnętrza czasu i stać się panem świata oraz wszystkiego, co na nim istnieje — gdy to następuje, rozlega się jakby trzask i od tej chwili, jeżeli człowiek słyszy na przykład szafę grającą, to płynie z niej akurat ta piosenka, którą powinien usłyszeć, i nawet autobusy przedsiębiorstwa Greyhound kursują tak, żeby jemu było najwygodniej, a gdy podchodzi do okienka i pyta: „O której odjeżdża autobus do Nowego Jorku?”, kasjer odpowiada: „Właśnie za chwilę”, więc człowiek wsiada do środka — i na tym to właśnie polega. Świat jest muzyką, a on zna rytm, który nią rządzi. Nie potrzebuje nawet wybijać go palcami, sam jest rytmem, a kiedy pomyśli o kobietach oczekujących go na wschodzie, to zaraz ta babka z szafy grającej dokończy za niego myśl: „...z tęsknotą, z tęsknotą, z tęsknotą”. Tak właśnie one go tam wyczekują. (Dobra jest, proszę pani, już siedzę w autobusie, już jadę!). I jest wolne miejsce, a nawet dwa, żeby na jednym mógł oprzeć tyłek, a na drugim nogi. Nie potrzeba mu żadnej rezerwacji, bo cały świat jest już dla niego zarezerwowany — jak tylko wrzuca swoją walizkę z końskiej skóry na półkę nad głową, kierowca zwalnia sprzęgło i zgodnie z rozkładem autobus odjeżdża ze stanowiska. Może niezgodnie z rozkładem jazdy przedsiębiorstwa Greyhound, ale zgodnie z rozkładem Joego. Autobus rusza, ponieważ on, Joe, jest rozkładem.

## 2

Kiedy Joe Buck opuszczał zachód w autobusie przedsiębiorstwa Greyhound i jechał szukać szczęścia na wschodzie, miał już dwadzieścia siedem lat. Ale posiadał nie więcej doświadczenia niż osiemnastoletni chłopiec, a w wielu sprawach nawet mniej.

Wychowały go różne blondynki. Pierwsze trzy, które opiekowały się nim, dopóki nie skończył siedmiu lat, były młode i ładne.

W domu trzech blondynek wiecznie panował ruch i Joe nigdy nie był pewien, która z nich jest która. Co jakiś czas inna blondynka pełniła funkcję matki i wówczas nazywał ją mamą, ale później dowiedział się, że dwie były tylko przyjaciółkami, mieszkającymi razem z jego prawdziwą matką. Wszystkie trzy jednak były dla niego bardzo dobre, pozwalały mu robić to, na co miał ochotę, dawały mu prezenty i wciąż go do siebie tuliły. I przynajmniej jedna z nich często śpiewała na przykład takie piosenki, jak: „Kiedyż wróci moja ukochana?“, „Wiatrem pędzone...“, „Chwal, co dobre“, „Czerwona dama“ i „Srebrne skrzydełka“. Wspominając później owe lata, przypuszczał, że ta, co śpiewała, była jego prawdziwą matką.

Wojna<sup>^</sup> trwająca w tym czasie, nie pozostała bez wpływu na życie blondynek. Wychodziły teraz z domu o różnych porach, ubrane w spodnie i z chustkami na głowach, zabierając ze sobą blaszane pudełka z drugim śniadaniem. Czasem wożono Joego autobusem z Houston do Detroit — pamiętał, że mieszkał na przemian w obu tych miastach. Tam, gdzie akurat był, przychodzili i zostawali na jakiś czas mężczyźni w mundurach wojskowych. Niektórych nazywano mężami, ale Joe nie przypominał sobie, żeby któryś był jego ojcem. (Dopiero później domyślił się, że jest nieślubnym dzieckiem).

Pewnego dnia, a niebo było wtedy wyjątkowo jasne i nie czuło się najmniejszego powiewu wiatru, zabrano Joego do Albuquerque w Nowym Meksyku i oddano w ręce czwartej blondynki — od tej chwili nigdy już nie oglądał tamtych trzech. Ale kiedy o nich myślał, przypominał sobie to wyjątkowo jasne niebo i wyobrażał sobie, że właśnie w nim się ukryły.

Czwartą blondynką była jego babka — krucha, drobna osóbką. Nazywała się Sally Buck. Choć taka drobna, była jednak znacznie ładniejsza niż tamte trzy razem wzięte. Miała wielkie szare oczy, gęste czarne jak smoła rzęsy i żalodne guzowate kolana, na których widok trudno było się powstrzymać od łez. Jeśli w każdej ukochanej osobie jest coś, co rozrzewnia od pierwszego spojrzenia, to dla Joego czymś takim były właśnie te biedne kościste kolana Sally Buck. Sally prowadziła salon kosmetyczny i codziennie przebywała poza domem dziesięć albo i dwanaście godzin, więc chłopiec, bardzo temu nierad, resztę dnia po powrocie ze szkoły spędzał w towarzystwie zmieniających się wciąż posługaczek. Nie były one blondynkami i nie nosiły sukienek barwy lawendy ani też jasnożółtych czy bladozielonych. Nigdy też nie spoglądały na niego, ale nawet gdyby to się zdarzyło, patrzyłyby bardzo zwyczajnymi oczyma spod ledwo widocznych rzęs.

Niedziele były niewiele lepsze. Zwykle Sally chodziła wtedy na randki. Miała słabość do mężczyzn, zwłaszcza do silnych i ogorzałych — wielu jej adoratorów było ranczerami i nosiło kowbojskie kapelusze. Ci postawni, barczyści mężczyźni zupełnie tracili głowę dla ładnej małej Sally. W zwiewnych muślinach, wyperfumowana, z polakierowanymi paznokciami, stanowiła jakby przeciwieństwo swoich muskularnych, pachnących skórą i nawozem amantów, co dla obu stron było ogromnie podniecające. Czasami zabierała na randki Joego: lubił i podziwiał wielu jej adoratorów, ale tylko jeden z nich poświęcał mu więcej uwagi, niż wymagały względy grzecznościowe.

Tym jednym był Woodsy Niles. Miał silny zarost i jasne spojrzenie. Nauczył Joego jeździć konno, strzelać z procy, żuć tytoń i palić papierosy oraz pokazał mu, jak ma trzymać ptaka, żeby siusiać wysokim łukiem, wyższym od siebie samego. Woodsy należał do tych szczęśliwców, którzy robią wszystko energicznie i z zadowoleniem, nawet tak chodzą. I rzeczywiście kroczył, jakby uważał, że trzeba się rozkoszować każdą chwilą życia — czerpał też satysfakcję z takich nieskomplikowanych czynności, jak przemieszczanie pokoju albo otwieranie zagrody dla bydła. Woodsy znał dużo piosenek i śpiewał je mocnym, ładnym głosem, akompaniując sobie na gitarze. Kiedy nocowali u niego na ranczo, Joego często, nawet o trzeciej nad ranem, budziły piosenki rozlegające się z sypialni, w której ranczer spał z Sally. Chłopiec przypuszczał, że Woodsy, zbyt mocny, zbyt przystojny i zbyt pełen werwy, żeby tracić czas na sen, budzi się w nocy i daje wtedy upust rozsadzającej go energii śpiewając jedną lub dwie zwrotki „Ostatniego spędu”.

Sally chichotała, kiedy Woodsy śpiewał: „Chodź tu, chodź...”, ale kiedy dochodził do tego, że w niebie jest miejsce, gdzie liczy się i znakuje zagubione cielątka, Joego ogarniało rozrzewnienie i z trudem się powstrzymywał, żeby nie popędzić do sypialni do tych cudownych osób. W ten sposób pierwszą rzeczą, jakiej nauczył się o spędzaniu nocy z kobietą, było: że śpiewa się jej piosenki. Wydało mu się to wspaniale, tym bardziej że sprawiało przyjemność wszystkim domownikom.

Ale Sally jak zwykle poróżniła się i z tym wyjątkowym człowiekiem — bo prędzej czy później tak się kończyły wszystkie jej romanse — a Joe wspominał go z żalem jak utraconego ojca. Jednak chyba właśnie wówczas, kiedy Sally spotykała się jeszcze z Woodsym, Joe po raz pierwszy poczuł się kowbojem.

Zerwanie z Woodsym zapoczątkowało całą serię niedziel, w które Sally Buck zabierała chłopca na poranne nabożeństwa. Chodzenie do kościoła stanowiło dla niej przede wszystkim okazję do strojenia się. Zwykle zajęta przez cały dzień w salonie kosmetycznym, rzadko mogła się pokazywać na przykład w swoich ślicznych kapeluszach. Poza tym chłopiec był dla niej znakomitym tłem — wszyscy mówili, że wyglądają jak matka i syn. Iluzja ta odmładzała ją o całe pokolenie.

Dla Joego chodzenie do kościoła stanowiło atrakcję zupełnie innego rodzaju. Po nabożeństwie, kiedy dorośli pili kawę i jedli ciastka w suterenie, na górze odbywała się szkółka niedzielna. Nauka religii sprawiła, że w sercu Joego miejsce Woodsy Nilesa zajął Jezus. Młoda pani o ciepłym, wesołym i serdecznym spojrzeniu mówiła, że Jezus go kocha. Podczas lekcji uczniowie mieli zawsze przed oczyma obraz, na którym Jezus prowadził za rękę chłopczyka. Można tam było wprawdzie tylko dojrzeć włosy dziecka, ale Joe czuł, że to on właśnie jest tym dzieckiem. Śpiewano piosenki, śpiewano, że Jezus swoją obecnością mówi mu, że jest Jego własnością. Którejś niedzieli pani nauczycielka opowiedziała o strasznych wydarzeniach, jakie w pewien piątek rozegrały się w życiu tego łagodnego brodatego mężczyzny, a później rozdała dzieciom kolorowe obrazki i oznajmiła, że mogą je zatrzymać. Jezus patrzył prosto na Joego, a jego oczy mówiły: „Widziałem bardzo wiele cierpienia i przeszedłem w życiu straszliwe męki, ale to dla mnie wielka pociecha, że taki kowboj jak ty jest moim przyjacielem” — albo coś podobnego. Wywołało to u Joego poczucie silnej więzi z mężczyzną wpatrującym się w niego zbolalym wzrokiem; zapragnął ulżyć jego cierpieniu. Przyglądając się obrazkowi,

pomyślał nagle, że gdyby Jezus był bez brody, miałby takie same sine od zarostu policzki jak Woodsy, i przyszło mu do głowy, że mogą istnieć inne podobieństwa. Przez kilka nocy z rzędu kładł na komodzie obok obrazka Jezusa prymkę tytoniu i paczkę cameli, a rano sprawdzał, czy nikt się nie częstował. Tytoń i papierosy leżały jednak nie tknięte. Wkrótce więc Joe stracił wiarę, że ktoś swoją obecnością mówi mu, że jest Jego własnością. Jezus przyłączył się do osób, których Joe miał już nigdy nie oglądać — skrył się w niebie razem z trzema blondynkami i Woodsym.

Chodzenie do kościoła w niedzielę skończyło się raz na zawsze, kiedy Sally Buck znalazła nowego amanta, montera linii telefonicznej. Pewnego popołudnia przyszedł do salonu kosmetycznego, żeby założyć telefon, na biodrach miał szeroki skórzany pas, obciążony narzędziami. Na widok montera źrenice Sally rozszerzyły się i zanim wrócił do ciężarówki, był już pod urokiem szarych oczu ślicznej małej kobietki.

Przez następny rok Joe bardzo rzadko widywał babkę. W ogóle rzadko widywał kogokolwiek. Gdy skończył czternaście lat, ogarnęła go dziwna apatia i już przed Dniem Dziękczynienia przestał chodzić do szkoły. Nie mógł się zdobyć na wysiłek niezbędny, żeby pójść tam i przesiadzieć wszystkie lekcje, nie zapadając w drzemkę. Kilku chłopców o podobnym usposobieniu, nie bacząc na perswazje, przerwało tego samego roku naukę, choć niektórzy pozostali w szkole ze względu na życie towarzyskie klasy. Ponieważ Joe nigdy nie brał w nim udziału, nie miało ono dla niego żadnego powabu. Nie było co prawda nikogo, kto by go nie lubił, jednak nie było też nikogo, kto by się nim specjalnie interesował. Był po prostu tym ze sterczącymi przednimi zębami (czasami nazywano go Łopata), co mało mówił, nigdy nie miał odrobionych lekcji i zawsze potrafił usadowić się w ostatniej ławce. Od czasu do czasu do Sally przychodził ktoś ze szkoły w sprawie wagarów Joego, ale ponieważ ani ona, ani nauczyciele nie podejmowali żadnych konkretnych kroków, chłopiec mógł spokojnie robić, co mu się podobało. Wstawał w południe, wciąż się cesał, palił papierosy, jadł kanapki z masłem arachidowym lub z sardynkami i oglądał tysiące mil taśmy filmowej na ekranie telewizora stojącego w bawialni. Włączał telewizor w południe, a wyłączał dobrze po północy. Jeżeli przez dłuższy czas przebywał z dala od ekranu, czuł się nieswojo i nie mógł sobie miejsca znaleźć. Obraz telewizyjny, a jeszcze bardziej dźwięki płynące z odbiornika stały mu się niezbędne, w jego życiu

bowiem było niewiele dźwięków, a cisza, jak się przekonał, kryła w sobie wielkie niebezpieczeństwo — czaili się w niej wrogowie, których tylko dźwięki mogły przepłoszyć.

Co więcej, na ekranie mógł oglądać setki blondynek, z których dosłownie każda wyglądała jak te, które znał w życiu. Wystarczyło cierpliwie czekać, a w każdym dyliżansie czy wozie z osadnikami, w każdym szynku czy sklepie kolonialnym zjawiała się blondynka, otwierały się drzwi wahadłowe lub rozsuwała się kurtyna, ukazując Claire Trevor, Barbarę Stanwyck albo Constance Bennett, kubek w kubek podobną do czterech bliskich mu jasnowłosych kobiet. A kimżeż był wyprostowany w siodle, wysoki mężczyzna, zwrócony twarzą do słońca, z dobrocią i wolą sprawiedliwości na obliczu, tryskający energią i siłą, grany przez wszystkich od Toma Mixa do Henry'ego Fondy? Przecież to był on, Joe Buck! W pewnym sensie...

W okresie, kiedy nałogowo oglądał telewizję, coś dziwnego działo się z nim samym. Dzień po dniu, powoli i po trochu stawał się równie wysoki, silny i przystojny jak ci kowboje z ekranu telewizyjnego. Przyszło lato, minęło, nastąpiło ponownie i pewnego razu Joe kąpiąc się w rzece odkrył nagle, że zamieszkuje ciało dorosłego mężczyzny. Właśnie wyszedł z wody i spojrzawszy w dół zobaczył lśniące w słońcu, mokre męskie ciało i silne męskie nogi kroczące błotnistym brzegiem. Tors i ramiona miał teraz muskularne jak człowiek dorosły, a piersi, ręce i nogi porastało całkiem wyraźnie męskie uwłosienie. To niespodziewane odkrycie wprawiło go w podniecenie; rozgorączkowany, wsiadł szybko na rower i popędził do domu, żeby obejrzeć się dokładnie w lustrze w sypialni Sally Buck. Stwierdził, że twarz też mu się zmieniła — jej linie się zaostrzyły, a usta powiększyły się na tyle, że duże zęby mieściły się w nich doskonale i lśniącą bielą dodawały mu urody.

Był tak zadowolony z tego, co zobaczył, że ubrał się i wyszedł dumnie na ulicę, przekonany, że inni też zauważą i docenią zmiany, które w nim zaszły. (Nikt nic nie zauważył).

Wstąpił do salonu kosmetycznego Sally.

— Mój Boże! — zawołała. — Kochanie, jak ty wyglądasz! Ubranie ci się skurczyło!

— Nie, wcale się nie skurczyło — usiłował zaprotestować.

— A właśnie, że tak — powiedziała Sally i dała mu pieniądze, żeby kupił sobie nowe.



Jeszcze tego samego popołudnia Joe paradował ulicami Albuquerque w błękitnych spodniach, pomarańczowej kurtce i czerwonych butach, podbitych żabkami. Sally powiedziała, że kolory trochę się gryzą.

— Ale w sumie wyglądasz ślicznie — dodała. — Czy masz dziewczynę?

W domu Joe wpatrywał się w lustro, aż poczerwieniały mu oczy, i nie mógł pojąć, gdzie się podział jego uprzedni zachwyty nad samym sobą. Wciąż widział tego nowego mężczyznę, równie pięknego jak przedtem, ale coś przygasiło jego zadowolenie, a miejsce radości zajął smutek. Nagle zrozumiał, dlaczego. Tego dnia coś strasznego wydarzyło się w jego życiu ~ uświadomił sobie własną samotność. Ponieważ do tej pory nigdy się z nikim nie przyjaźnił, nie wiedział, jakie kroki należy w tym celu przedsięwziąć. Postępował więc tak: najpierw upatrywał sobie określoną osobę, a później kręcił się w jej pobliżu, mając nadzieję, że przyjaźń nawiąże się sama. Wypróbował tę metodę na wdowie po sklepikarzu, na dwóch pracownikach stacji benzynowej, na dziewczynie zatrudnionej w aptece, na starym naturalizowanym szewcu i na bileterze kina „Świat”. Ale żadna z tych osób nie domyśliła się, o co Joemu chodzi. Z czasem zrozumiał, że przy zawieraniu znajomości nieodzowna jest umiejętność prowadzenia rozmowy, ale rzadko miał coś do powiedzenia, a kiedy nawet udawało mu się wydusić z siebie kilka słów, na jego słuchaczach nie robiło to najmniejszego wrażenia i cały wysiłek szedł na marne. Po prostu nie umiał rozmawiać. Najlepiej szło mu z Sally, ale ich rozmowy prowadzone były w pośpiechu, na przykład, kiedy on siedział na brzegu wanny, a Sally malowała się przy lustrze nad umywalką. Prawie całą jej uwagę pochłaniały wtedy skomplikowane zabiegi związane z usuwaniem z twarzy dwudziestu lat — i niewiele zostawało dla wnuka.

Pod koniec siedemnastego roku życia, kiedy właśnie tak bardzo pragnął związać się bliżej z kimś na świecie, Joe wstąpił pewnego wieczora do kina „Świat” — i tak rozpoczęła się jego krótka, rozkoszna i przerażająca znajomość z dziewczyną, która nazywała się Anastazja Pratt.

### 3

Imię Anastazji, mimo że miała ona dopiero piętnaście lat, wśród młodzieży w Albuquerque owiane było legendą. Takie legendy rzadko powstają wyłącznie w oparciu o fakty. Znaczną rolę w ich tworzeniu odgrywa wyobraźnia. Ale co do Anastazji Pratt to jej postępowanie od chwili, gdy skończyła lat dwanaście, przerosło najśmielsze wyobrażenia — nawet najbardziej fantastyczne kłamstwa byłyby mniej niesamowite i bardziej prawdopodobne od rzeczywistości.

Nazywano ją Porządną Annie — chodziło o porządek, w jakim musieli ustawiać się liczni chłopcy, żeby wszystko przebiegało sprawnie i by mogła obsłużyć ich w ciągu pół godziny.

Z tyłu, za srebrzystym ekranem kina „Świat”, znajdował się duży magazyn: leżały tam litery, z których układano nad wejściem tytuły granych filmów, tam też trzymano uniformy bileterów, ręczniki, mydło i różne sprzęty. W jednym kącie poniewierały się kawałki wykładziny, pozostałe po ostatnim remoncie. Właśnie na nich Anastazja oddawała się tworzeniu legendy. Służyła swoim ciałem również w salonach, sypialniach, zaparkowanych samochodach, garażach, na terenie szkoły w późnych godzinach wieczornych, a w ładną pogodę nawet i pod gołym niebem na poboczu rzadko uczęszczanych szos. Ale właśnie na owej stercie resztek wykładziny w magazynie kina „Świat” chłopcy najczęściej i najliczniej korzystali z jej uległości.

Ani ładna, ani nieładna, wyglądała jak przeciętna uczennica, choć w świetle jej postępowania ten przeciętny wygląd mógł się wydawać czymś zamierzonym. Ubierała się tak samo jak inne dziewczęta: w spódniczki, bluzki, swetry, krótkie skarpetki i skórzane półbuciki. Prawie wcale się nie malowała — regulowała tylko brwi i lekko pociągała usta szminką. W ciągu dnia można było spotkać Anastazję w drodze do szkoły albo do domu: szła zawsze sama z książkami pod pachą — wydawała się równie niewinna, apatyczna i zatroskana, jak wszystkie stroniące od ludzi dorastające dziewczyny. Nic nie wiedząc o jej szczególnych wyczynach, nikt by na Anastazję nie zwrócił uwagi. Natomiast dla kogoś wtajemniczonego stanowiła zaskoczenie, ponieważ jej wygląd zupełnie nie pokrywał się z

wszelkimi oczekiwaniami. Pewien młody dowcipniś nazwał ją dziewczicą Jekyll i panną Hyde.

Mimo sławy dziewczyny co najmniej trzy osoby nie miały pojęcia o jej prowadzeniu się. Pierwszymi dwiema byli oczywiście jej rodzice: surowy i popędliwy ojciec, zapracowany kasjer banku, i matka — kobieta o zaciętych ustach i przebiegłym spojrzeniu, która grała na fortepianie w Kościele Prawdy. Trzecią nieświadomą niczego osobą — aż do pewnego piątkowego wieczoru w październiku — był Joe Buck.

Spotkali się w hallu kina „Świat” przy zbiorniku z wodą do picia. Joe cofnął się i przytrzymał dla niej przycisk wyzwalający strumień wody. Anastazja napiła się, spojrzała na niego z wdzięcznością i uśmiechnęła się. Joe uśmiechnął się także. Zapytała:

— Może usiądziesz ze mną?

Usiedli z boku, niedaleko końca sali. Anastazja natychmiast przysunęła nogę do kolana Joego i zaczęła nią poruszać w sposób wyraźnie zachęcający. Chwilę później trzymali się za ręce. Ledwie Joe zdążył poczuć zakłopotanie, że jego dłoń wilgotnieje od potu, dziewczyna ujęła ją i poczęła gładzić się nią po udzie. Następnie własną ręką śmiało sprawdziła, jak wielkie jest jego podniecenie. Kiedy przekonała się, że znaczne, wzięła w dłonie jego twarz prosząc, by ją pocałował. Joe nie miał bynajmniej nic przeciwko temu; w podnieceniu po prostu nie przyszło mu to do głowy. Tymczasem prośba dziewczyny wynikała z tak rozpaczliwej i palącej potrzeby, że kiedy Anastazję pocałował, jej wargi wpiły się w jego usta, jak gdyby wysysała z nich życiodajny płyn. Miał wrażenie, że udziela ostatniego sakramentu śmiertelnie rannej ofierze wypadku, która za chwilę umrze.

W przejściu pojawiło się kilku chłopców, usiedli w następnym rzędzie za Joem i Anastazją Pratt.

Któryś z nich powiedział:

— Rany, to Anastazja Pratt!

— Nie żartuj — odezwał się inny.

— Z kim ona jest? — zapytał trzeci.

— Całuje ją!

— Patrzcie, ktoś całuje się z Anastazją Pratt!

— Co to za jeden? Co za palant całuje się z Annie?

— Hej! Annie! Kogo tam masz?

Anastazja odwróciła się do nich i płaczkliwym głosem powiedziała:

— Odczepcie się. Proszę was, odczepcie się! Dajcie mi szansę.

— Dać ci szansę? Zaraz ci mogę dać!

— Ja też, Annie, już ci daję!

— I ja, Annie! Co ty na to? Może ci zastukać na szczęście moją szansą w oparcie?

Joe w dalszym ciągu nie rozumiał, o co chodzi. W tym kinie wiele razy widywał całujące się pary i nikt im nigdy nie przeszkadzał. Był przestraszony i zmieszany. Najwyraźniej z braku doświadczenia zrobił coś nie tak, ale nie miał najmniejszego pojęcia, co to mogło być, i zupełnie nie wiedział, jak powinien się zachować w obecnej sytuacji.

Jeden z chłopaków podniósł się i przechylił przez oparcie: poznał Joego, z którym chodził kiedyś razem do szkoły.

— Słuchajcie, to Łopata! Joe Buck! — oznajmił pozostałym i usiadł z powrotem.

Joe nie pamiętał żadnego z dobiegających go głosów, a bał się obejrzyć za siebie.

— Pst, Joe! — szepnął ktoś z tyłu. — Całowałeś się z Anastazją, to bez zgrywów radzę ci połknąć aptekę! W całym Albuquerque nie ma faceta, który by jej nie przeleciał.

Głos nie był wrogi, przeciwnie — brzmiał przyjaźnie i szczerze. Joe obejrzał się i zobaczył śniadego chłopca włoskiego pochodzenia, którego pamiętał ze szkoły. Nazywał się Bobby Desmond.

Anastazja wstała i ruszyła w stronę wyjścia. Gromadka chłopców pobiegła za nią. Bobby Desmond przystanął na chwilę; zanim przyłączył się do kolegów, klepnął Joego w ramię i rzekł:— Chodź!

Joe wstał i poszedł za nim. W hallu stało sześciu wyrostków w wieku od szesnastu do osiemnastu lat i tarasowało wyjście. Anastazja prosiła ich bez przekonania, żeby ją przepuścili. Wysoki, chudy i wrzaskliwy blondyn z pryszczami na twarzy powiedział:

— Słuchaj, Annie! Gary Amberger jest na górze i pragnie się z tobą zobaczyć.

— Bujasz — odparła Anastazja, ale wzrok jej pytał: „Czy to aby prawda?”

— Dobra, jak chcesz! Powiem mu, że to bujda.

— Nie, ty mnie jednak bujasz — powiedziała Anastazja.

W końcu wszyscy, sznur wyrostków i Anastazja Pratt, ruszyli bocznym przejściem przez salę kinową, kierując się na lewo od ekranu w stronę czerwonego światła z napisem „Wyjście”. Joe szedł na końcu za Bobbym Desmondem. Kiedy przechodził przez zasłoniętą kotarą otwór, z ekranu doleciał go głos hollywoodzkiej aktorki:

— Zrozumcie, nie panujemy już nad sytuacją. Nasza jedyna nadzieja to udawać, że nic się nie stało.

Weszli gęsiego na półpiętro i znaleźli się w magazynie. Ktoś zapalił światło.

— Gdzie? Gdzie jest Gary Amberger? — zapytała Anastazja.

— Tam, Annie, tam na stercie wykładziny, tam, tam — odparł wysoki blondyn, który nazywał się Adrian Schmidt.

Przystanął w kącie magazynu i krzyknął:

— Cześć, Gary, przyszła Anastazja!

— Kłamiesz! To taka sztuczka, żeby mnie tu sprowadzić. Dobrze was znam! — powiedziała dziewczyna, ale zaraz zawołała: — Gary! Gary! Jeżeli tam jesteś, odezwij się!

Odtworzony z taśmy kobiecego głos mówił:

— Zdmuchnij teraz świecę, kochanie, i pomyśl jakieś życzenie.

— Nie! — zaproponował głos małej dziewczynki. — Jeszcześmy nie śpiewali „Sto lat”.

Potem od strony ekranu rozległy się okrzyki i jacyś ludzie odśpiewali chórem „Sto lat”.

— Chcę stąd wyjść — powiedziała Anastazja.

Na te słowa zamknięto drzwi, bo oprócz Joego wszyscy obecni w magazynie dobrze wiedzieli, że Anastazja wcale nie chce wychodzić.

— Nie wierzę, że Gary tam jest — oznajmiła — ale na wszelki wypadek sprawdzę.

W kącie magazynu leżał Adrian Schmidt i, obnażony, bawił się sam sobą; pozostali chłopcy też zaczęli się obnażać, a wtedy Anastazja Pratt położyła się na stercie wykładziny i ściągając majtki oświadczyła nadąsana:

— Najpierw ma być ktoś miły, bo nic z tego!

Adrian Schmidt miał być ostatni za karę, że skłamał o Garym Ambergerze. Ale wcale się nie spodziewała, że zastanie Gary'ego w magazynie. Minęły już trzy lata, odkąd przeprowadził się do Battle Creek w Michigan, i wszyscy dobrze o tym wiedzieli.

Podczas gdy chłopcy po kolei prężyli się na niej, Anastazja leżała bez ruchu, z głową przechyloną na bok i obgryzając od niechcenia paznokcie nie zwracała uwagi na to, co się z nią dzieje. Przypominała chorego nieuleczalnie na raka, który na wszelki wypadek poddaje się naświetlaniom, choć z góry wie, że mu nie pomogą.

— Pospiesz się! Co ty sobie myślisz? Nie będę tu leżała przez całą noc! — rzekła do jednego chłopaka, ale żadna z jej wypowiedzi nie brzmiała przekonująco.

Kiedy przysła jego kolej i Joe położył się na Anastazji, dziewczyna na widok kogoś nowego jak gdyby otrząsnęła się na chwilę z zadumy.

Kiedy znów przekreśliła głowę na bok, Joe zapytał szeptem:

— Co ci jest?

— Nic — odpowiedziała. — Zastanawiam się tylko, jakie słowa można by ułożyć z tych liter.

Patrzyła na litery, z których nad wejściem do kina montowano tytuły filmów — gdyby ułożyć je we właściwym porządku, można by odczytać z nich jej przyszłość.

Ktoś powiedział:

— On ją pewnie znowu całuje!

— Daj mu spokój — rzekł Bobby Desmond.

— Macie może fajki? — spytał trzeci chłopak.

— Ja jej pokażę! — zezłościł się Adrian Schmidt. — Za to, że mam być ostatni!

— Zamknij się, bo jeszcze włoży majtki i pójdzie do domu — uciszył go Bobby Desmond.

Od ekranu dobiegł ich głos staruszki:

— Nie, nie! Nic nie mów! Jeżeli powiesz, to się nie spełni!

— Czy to w porządku? — spytał szeptem Joe Anastazji.

— Co?

— To tutaj.

— Mnie się pytasz?

Adrian Schmidt znowu się zirytował:

— Co on tam robi? Szkoda, że nie mierzę mu czasu. A powinniśmy. Trzeba wszystkim mierzyć czas. Bo tak jak teraz — to człowiek może tu sterczeć do usranej śmierci! Zgoda chłopaki? Od dziś mierzymy czas!

Anastazja Pratt objęła rękoma głowę Joego i przyciągnęła ją do siebie. Szeptala mu do ucha:

— Jesteś jedyny, jedyny, jedyny, jedyny, jesteś jedyny, odkąd Gary Amberger wyjechał. Tylko ty, naprawdę, nie kłamię, jesteś jedyny! Zwykle nic nie czuję, naprawdę, jesteś najlepszy. Pocałuj mnie. Proszę cię.

Jej ciało ożyło pod nim i oddychała teraz ciężko, jak gdyby wspinała się na najwyższy szczyt świata. Szukała jego ust coraz bardziej natarczywie, jakby na tych niebotycznych wysokościach jej własny oddech nie wystarczał jej już, by utrzymać się przy życiu.

Ale Joe nie mógł zapomnieć, co mu powiedział Bobby.

— Musisz! — łkała dziewczyna. — Musisz!

Twarz miała mokrą od łez, a ponieważ to, co działo się z nim w tej chwili, sprawiło, że wszystko inne przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie — Joe przycisnął z wdzięcznością usta do jej warg, a ona odnalazła w tym pocałunku coś, co spowodowało, że dreszcz wstrząsnął jej ciałem; przez dłuższą chwilę dygotała gwałtownie, wczepiona w Joego. Nawet kiedy było już po wszystkim, nie chciała go puścić. Płakała cicho, z całych sił tuląc go do siebie.

— Nie! — powiedział Adrian Schmidt. — Tego już za wiele. Za wiele! Liczę do dziesięciu i wtedy koniec. Słusznie, nie? Liczę do dziesięciu: raz, dwa, trzy...

Inna hollywoodzka staruszka powiedziała:

— Pamiętajcie dzieci, że biedna Sara nie ma poza nami żadnej rodziny, więc naszym chrześcijańskim obowiązkiem jest...

Po tych słowach rozległo się trzaśnięcie drzwi, dwadzieścia razy głośniejsze niż w rzeczywistości.

Anastazja włożyła majtki i nie pozwoliła się Adrianowi dotknąć. Chciał się na nią rzucić z pięściami, ale pozostali chłopcy odciągnęli go. Dziewczyna wyszła z magazynu i zeszła po schodach z nedorzecznie podniesioną głową, zataczając się jak pijana.

Kiedy przechodziła pod czerwonym światelkiem zapalonym nad wejściem, wspaniała muzyka filmowa zalała kino „Świat”, witając jej powrót na zaciemnioną salę.



## 4

Młodzi ludzie w pewnym wieku bardzo często spacerują koło wybranych miejsc. Jeżeli ktoś zawładnie ich sercem, a boją się wyznać swoje uczucie, pochodzą koło domu tej osoby pod różnymi wymyślonymi pretekstami, modląc się o cud. Albo przynajmniej o jedno spojrzenie.

Wyobraźnię Joego zawładnęło pragnienie przyłączenia się do paczki wyrostków, z którymi dzielił Anastazję Pratt w magazynie kina. Ale Adrian Schmidt, wysoki pryszczaty blondyn i prowodyr paczki, miał mu za złe, że w ów piątkowy wieczór Annie odprawiła jego, Adriana, z kwitkiem. Więc kiedy Joe przechodził koło sklepu z czasopismami, w którym stale przesiadywali całą bandą, spoglądał na niego przez szybę groźnym wzrokiem, mogącym zniechęcić każdego. Podburzył też pozostałych chłopaków (wszystkich oprócz Bobby'ego Desmonda) — któregoś dnia, kiedy Joe przechodził tamtędy, wybiegli na ulicę i zaczęli na niego cmokać.

Jednocześnie Anastazja poczuła, że Joe Buck zawładnął jej sercem, i nabrała zwyczaju przechodzenia koło jego domu. Każdego popołudnia wracała ze szkoły ulicą, na której mieszkał. Joe obserwował ją z bawialni, ukryty za żaluzją; widział, jak idzie tuląc do siebie książki, i nie mógł wyjść z podziwu, szła bowiem z twarzą zwróconą prosto przed siebie, a kątem oka penetrowała dom z zimną krwią włamywacza szacującego wystawę sklepu jubilerskiego.

Któregoś dnia zaczęła przystawać po kolei przy każdym domu: naciskała dzwonek i proponowała losy na loterię fantową urządzaną przez Kościół Prawdy.

— O! — zawołała udając zdziwienie, kiedy Joe Buck otworzył drzwi. — Nie wiedziałam, że tu mieszkasz. Sprzedaję losy na kościelną loterię, główną nagrodą jest rozeń... elektryczny i w ogóle, ja właśnie... Od dawna tu mieszkasz? Chciałam zapytać, czy chcesz kupić los...

Kiedy mówiła, Joe patrzył na jej wargi, ale później spojrzął w bok i wciąż słysząc cmokanie Adriana Schmidta, potrząsnął głową, że nie, nie chce kupić losu.

Dziewczyna wiedziała, na co Joe odpowiada: nie, i choć nie ruszyła się z miejsca, jej twarz z wilgotnymi, zasmuconymi oczyma jakby wychyliła się do niego.

— Na pewno? — zapytała.

Joe kiwnął głową. Anastazja obróciła się na pięcie, zbiegła po schodkach i ruszyła ścieżką w stronę ulicy. Joe patrzył za jej oddalającymi się pośladkami, kołyszącymi się z boku na bok, z boku na bok, i poczuł, że coś ściska go w dołku; spostrzegł, że dziewczyna garbi się smutnie, ujrzał żalose dołki w zgięciach jej kolan i posłyszał własne głośne chrząknięcie.

Kiedy się odwróciła, powiedział: — Nie mam drobnych — a ruch, jakim podniosła do góry brwi, chwycił go za serce.

Tak więc piętnastoletnia Porządna Annie Pratt została pierwszą kochanką Joego. Kryli się jak para złodziei. On wstydził się za nią i za siebie. Nie znosił ceny, jakiej od niego żądała — tych rozpaczliwych pocałunków — ale ponieważ tak bardzo jej było ich potrzeba, całując ją odczuwał osobliwą przyjemność.

Nie mając nic do roboty, wiele czasu trawił na ponurych rozmyślaniach. Wciąż czynił sobie różne obietnice, których w jej obecności nie potrafił dotrzymać. Myślał o wzgórkach jej brzucha i wilgotnym, mniejszym wzgórkach nieco niżej, a myśli te w połączeniu ze świadomością jej straszliwej samotności niweczyły wszelkie postanowienia.

Ale pewnego dnia rodzice Anastazji Pratt dostali anonim, którego nadawca zawiadamiał ich nie tylko o szczodrości, z jaką ich córka szafuje swoim ciałem w magazynie kina „Świat”, lecz również o jej wizytach u Joego. Pan Pratt ruszył wieczorem do domu Sally, żeby „sprać chłopaka na kwaśne jabłko”, ale ponieważ sam był drobnej budowy, zrobił w końcu co innego — udał się na policję. Joe nie dowiedział się nigdy, co zaszło w komisariacie, ale następnego popołudnia Sally zatelefonowała do niego z pracy i powiedziała:

— Już po wszystkim, kochanie! Oddają biedną dziewczynę pod troskliwą opiekę.

Tym eufemizmem Sally delikatnie określała zakład dla obłąkanych.

Koniec kariery Anastazji Pratt stał się tematem wielu plotek. Joe Buck dzięki związkowi z tą sprawą zyskał pewien rozgłos. Krążyły o nim różne opowieści, nie zawsze zgodne z prawdą. Według jednej wersji dla zysku zmuszał Anastazję do rozpusty z

innymi, według innej — zaszła z nim w ciążę. Mówiono również, że jest tak zbudowany, że doprowadziło to dziewczynę do obłądu.

Kiedy Joe stopniowo zdał sobie sprawę z opinii, jaką cieszył się teraz wśród współmieszkańców miasta, poczuł wstyd i zażenowanie. Zaczął rozmyślać o całym swoim życiu — o przerwanej nauce, ciągłym nieróbstwie, zależności od babki — i ogarnęło go przejmujące poczucie własnej nicości. Nie miał najmniejszej ochoty szukać pracy, a ponieważ nic też go do tego nie nagliło, nie próbował jej znaleźć. Salon piękności prosperował, a Sally Buck nie przejmowała się wnukiem. Najwyraźniej nie widziała nic niezwykłego w tym, że Joe mimo skończonych osiemnastu, a później i dziewiętnastu lat nigdzie nie pracuje. Nadal dawała mu pieniądze na ubranie i jedzenie, ale niezbyt się nim interesowała. Joe sprzątał podwórko, od czasu do czasu mył samochód Sally, raz nawet pomalował dom i załatał dziury w dachu. Niekiedy zdarzało mu się wchodzić w czysto fizyczne związki z różnymi osobami. Później nabierał upokarzającego przekonania, że został wykorzystany i wystrychnięty na dudka, wciąż jednak żywił nadzieję, że może któraś z tych znajomości przekształci się w prawdziwą, serdeczną więź. Typowy był przypadek z Bobbym Desmondem. Przez okres mniej więcej tygodnia Bobby, który już dawno zerwał z paczką zbierającą się w sklepie z czasopismami, chętnie spędzał czas w towarzystwie Joego: brał go na przejażdżki swoim samochodem albo wpadał do niego z kilkoma puszkami piwa. Później okazało się, że młodzieniec ten pragnął tylko, żeby Joe zrobił z nim to samo, co robił owego wieczoru w magazynie kinowym z Anastazją Pratt. Joe — uczynny jak zawsze — spełnił jego pragnienie. Ale w trzy tygodnie później, kiedy Bobby wstępował w związki małżeńskie, Joe doznał wielkiego zawodu, gdyż nie zaproszono go na ślub. Osoby płci obojga, które tak chętnie posługiwały się jego wspaniałym ciałem, zdawały się nie dostrzegać, że zamieszkuje je Joe Buck.

Joe rzeczywiście sprawiał wrażenie nieobecnego nawet wtedy, gdy jego obecność była dla wszystkich widoczna. Samotne, wręcz samotnicze dzieciństwo nauczyło go, że każdy dzień dzisiejszy jest jak jałowa pustynia, na której nigdy nie dzieje się nic ciekawego; w poszukiwaniu lepszego jutra popadł w nawyk wiecznego błędzenia myślami wokół coraz to nowych miejsc i sytuacji. Nawet kiedy akurat trudził się, żeby wprawić jakąś panią w jak największe uniesienie w nadziei, że zdobędzie wtedy jej wieczne przywiązanie — bo tego właśnie szukał w owych miłosnych uściskach — nawet w takich

chwilach wybiegał myślami w przyszłość, wyobrażając sobie na przykład swoje dalsze życie u boku tej dziewczyny.

Tak przekroczył dwudziestkę, ale w jego życiu nie zaszło nic na tyle doniosłego, by uczynić z niego dojrzałego mężczyznę. Kiedy skończył dwadzieścia trzy lata, powołano go do wojska. Obawiał się, że nie spisie się najlepiej. I rzeczywiście... Ale nie miał też specjalnych przykrości — i często pisywał listy do Sally Buck.

*Kochana Sally!*

*Chyba nie zostanę kapralem. Miasto Columbus w stanie Georgia nie bardzo mi się podoba i wojsko też nie. Jeżdżą na ciężarówkach. Co słyhać w starym, kochanym Albuquerque? Dzieje się tam coś czy nie? Robię się śpiący, wszystko u mnie po staremu. Pilnuj się i dbaj o siebie. Całuję, Joe.*

*PS. Nazywają mnie tu kowbojem.*

Tak było w istocie — pewnego dnia jakiś sierżant nazwał go kowbojem, a inni to podjęli. Zadowolony Joe zmienił styl chodzenia i miał teraz zwyczaj zahaczać kciuki za tylne kieszenie spodni niczym za pas rewolwerowy, noszony nisko na biodrach.

W wojsku wszyscy narzekali, gdy więc Joe przekonał się, że ma nie mniej powodów do narzekań niż inni, nauczył się wreszcie brać udział w rozmowie. Młodzi ludzie zgromadzeni w baraku dookoła długiego stołu bardzo często mówili „kurwa”, a niektórzy z nich zwracali się do kolegów per „stary”. Pewien młody żołnierz, który oświadczył, że pochodzi z Cincin-kurwa-nati, w najbardziej niespodziewanych momentach umiejętnie wplatał przekleństwa do swoich wypowiedzi. Joemu podobał się sposób mówienia żołnierzy i przyswoił go sobie na własny użytek. Pomału tworzył sobie osobowość, wyrabiał własny styl.

W sumie czuł się całkiem nieźle, a miesiące płynęły mu prędzej niż zwykle poborowym w czasie służby wojskowej.

W październiku drugiego roku napisał:

*Kochana Sally!*

*Zostało mi jeszcze pięćdziesiąt dziewięć dni, a potem znowu się zaciągnę (dobry kawał, no nie? Pewnie się uśmiałaś!). Wczoraj była inspekcja, bo jak szarża nie ma co robić, to robi*

*nam inspekcję. Na razie to już wszystko. Uważaj na siebie i czekaj cierpliwie na swojego kawalera. Do licha, tęsknią tu tylko za Tobą! Inspekcja poszła gładko. Tyle na razie. Całuję, Joe.*

Był to jego ostatni list do Sally i Joe nigdy się nie dowiedział, czy go otrzymała. W Albuquerque bowiem zdarzył się okropny wypadek:

Sally znalazła sobie nowego adoratora, właściciela dużego ranczo. Był młodszy od niej o kilka lat; ta różnica wieku skłoniła Sally do paru drobnych kłamstw. Powiedziała mu między innymi, choć od czterdziestu pięciu lat nie było to już prawdą, że umie jeździć konno. Ludzie mówili później, że jej adorator powinien się być dobrze zastanowić, zanim posadził ją na konia, bo wystarczyło spojrzeć na biedaczkę, żeby się zorientować, że jest krucha jak porcelana. Ale pewnego niedzielnego popołudnia ta sześćdziesięciosześcioletnia dama dosiadła nakrapianego deresza i razem z ukochanym pojechała na pustynię.

Taki był koniec czwartej blondynki Joego. Zrzucił ją koń i starsza pani rozpadła się na kawałki.

Wiadomość dotarła do Joego przed wieczorem, kiedy mył w bazie ciężarówkę. Przyszedł ordynans kapelana i wręczył mu telegram nadany przez pracownicę salonu kosmetycznego Sally.

*Drogi Joe twoja ukochana babcia spadła z konia zabiła się wola boska najgłębsze wyrazy współczucia pogrzeb w piątek Marita Bronson.*

Joe czytał kilkakrotnie telegram, więc żołnierz przysłany przez kapelana spytał, czy nic mu nie jest. Joe jak gdyby nie zrozumiał. Ukrył się za ciężarówką, a kiedy przez dłuższą chwilę nie wracał, żołnierz poszedł za nim i zobaczył, że Joe leży skulony pod samochodem i trzęsąc się na całym ciele, zębami ścisną telegram.

Ordynans nie wiedział, co począć.

— Na pewno nic ci nie jest? — zapytał.

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi, po chwili więc znów się odezwał:

— Wyjdź już stamtąd, dobrze?

Ale Joe nie ruszał się z miejsca. Oczy miał nieprzytomne i żołnierz się przestraszył. Poszedł po pomoc i wrócił z dwoma szeregowcami, którzy wyciągnęli Joego, i z lekarzem, który zrobił mu zastrzyk. Odstawili go do szpitala, gdzie przez kilka dni dawano mu środki uspokajające; nie mógł oczywiście pojechać na pogrzeb Sally.

Po trzech tygodniach wrócił do obowiązków. Kiedy odsłużył już swoje dwa lata, usiłował zaciągnąć się ponownie. Ale wojsko nie chciało żołnierzy, którzy tak gwałtownie reagują na wiadomość o śmierci jakiejś tam starej babci. Odesłano go do domu. Wrócił do Albuquerque, ale dopiero na miejscu zdał sobie w pełni sprawę z tego, że nikt na niego nie czeka. Zatrzymał się w hotelu i poszedł odwiedzić przyjaciół Sally. Babka nie zostawiła testamentu. Dowiedział się, że w Coeur d'Alene w stanie Idaho miała siostrę, o której nigdy nie wspominała, ta zaś nigdy nie słyszała o istnieniu Joego. Przyjechała, żeby zlikwidować majątek pozostawiony przez zmarłą kosmetyczkę — w tym także i dom, w którym Joe Buck mieszkał od siódmego roku życia — po czym wróciła z pieniędzmi do Idaho i nikt już więcej o niej nie słyszał.

Teraz, w dwudziestym szóstym roku życia, Joe, smutny i zmartwiony, poczuł, że powinien się nad wszystkim zastanowić. Nie umiał jednak ogarniać myślami wielu różnorodnych spraw jednocześnie, a poza tym miał nader ograniczoną wyobraźnię. Jego władzom umysłowym nic nie brakowało, ale ponieważ rzadko je ćwiczył, zawodziły go w potrzebie.

Przez kilka dni mieszkał w hotelu i prawie cały czas spędzał w pokoju przy zaciągniętych zasłonach. Przestał odróżniać noc od dnia i często zapominał o posiłkach. Sypiał dużo i miewał złe sny. We śnie czy na jawie tęsknił za Sally Buck i zdarzało się, że ją wołał. Raz był pewien, że przyszła do jego pokoju i usiadła na brzegu łóżka. Obudził się i zobaczył Sally: siedziała jak gdyby nigdy nic i bawiła się palcami. Widział jej profil. Patrzyła przez otwarte okno na mroczne niebo.

— Sally, co mam robić? — zapytał.

Nie poruszyła się, jak gdyby go w ogóle nie słyszała. A potem powiedziała coś, ale bardzo niewyraźnie. Mogło to być: „Dom niech zwróci” albo: „Koń mnie zrzucił”. Ale bez względu na właściwe znaczenie jej słów nie zmieniały one w niczym sytuacji Joego. Był jednak szczęśliwy, że Sally raz jeszcze mu się pokazała.

Pewnej nocy miał sen, który później nawiedzał go często: śnił o ciągnącym się w nieskończoność szeregu ludzi maszerujących po obwodzie ziemi. Tam, skąd na nich patrzył, było ciemno, zimno i panowała przeraźliwa cisza; przyglądał się im, jak wyłaniają się zza wschodniego horyzontu, wszyscy połączeni niczym pępowiną złocistą smugą światła, a następnie znikają mu z oczu za zachodnim krańcem ziemi, krocząc w rytmie różnego marsza. Ludzie ci byli różni — kierowcy autobusów i zakonnice, muzykanci, żołnierze i sprzedawczynie z domów towarowych, Chińczycy i piloci, prowincjusze, grubasy i rude kobiety, byli też górnicy i kasjerzy, detektywi sklepowi, milionerzy, mędrzy hinduscy, niemowlęta, babcie, złodzieje; na złotym sznurze można było znaleźć każdego: kurwę, karła, świętego, wariata, policjanta, belfra, dziennikarza, ładną dziewczynę, księgowego, baseballistę czy łachmaniarza. Byli wszyscy oprócz takich jak on. Joe usiłował przyłączyć się do maszerujących, coraz to podbiegał do strumienia złotych ludzi w nadziei, że uda mu się pomiędzy nich wśliznąć, ale ilekroć znajdował wolne miejsce, zwierali szczelniej szeregi, zacieśniali łańcuch wybrańców, którego nie mógł w żaden sposób przerwać — i musiał pozostać na chłodnej, mrocznej i głuchej krawędzi.

Po tym śnie nie był w stanie pozostawać dłużej w pokoju hotelowym. Ubrał się i choć była noc, wyszedł na ulicę, dziwiąc się, że dobrze mu znane Albuquerque wygląda tak obco. „Może ty nas znasz — mówiły budynki — ale my ciebie nie znamy”. Udał się do dzielnicy, w której przedtem mieszkał, i zatrzymał się koło domu Sally Buck. Budynek był pusty, w żadnym oknie nie paliło się światło. Wszedł na podwórko i zastukał do okna sypialni Sally, prawie spodziewając się jakiejś odpowiedzi.

Czekał i czekał.

— Powiniennem wyjechać stąd jak najprędzej, obojętne dokąd — postanowił wreszcie.

Wrócił do hotelu i spakował rzeczy do wojskowego worka, zastanawiając się, jak to możliwe, że tyle lat życia mieści się w czymś tak niewielkim.

## 5

W Houston Joe zamierzał odszukać Natale'a, fryzjera, którego poznał i polubił w wojsku. Ale Natale miał długie włoskie nazwisko i Joe spędził ponad godzinę nad książką telefoniczną na dworcu autobusowym w Houston, bezskutecznie usiłując go odnaleźć. Zanim zrezygnował, stracił w automacie telefonicznym dziesięć dziesięciocentówek.

Wyszedł na ulicę; miało to być jego pierwsze spotkanie z Houston.

„Kurwa, tu wcale nie czuję się lepiej! — pomyślał. — To miasto też nie potrzebuje żadnego Joego Bucka, ale już tu jestem i gówno mnie to obchodzi!”

Ruszył prosto przed siebie i zatrzymał się dopiero wtedy, kiedy dotarł do pierwszego hotelu. Był to właśnie ten hotel, który nie miał na szyldzie litery „o”, tania, mroczna buda ze złą wentylacją i wiecznie zalaną posadzką w łazience.

Był chłodny styczniowy dzień. Joe usiadł na brzegu łóżka zastanawiając się nad swoją trudną sytuacją, choć niezbyt dokładnie wiedział, na czym trudność polega. Widział swoją przyszłość jako serię pokoi hotelowych, w których usiłuje zebrać myśli, siedząc na brzegu łóżka. Za pięćdziesiąt lat, z długą siwą brodą aż do podłogi wciąż będzie pewno siedział w podobnej dziurze, zastanawiając się, dlaczego cały świat jest tak samo dziwny jak świat w Albuquerque i dlaczego akurat on został z tego świata wyłączony.

Jedyne okno w jego pokoju wychodziło na szyb wentylacyjny, toteż gwar uliczny dobiegał jakby z wielkiej odległości. Ta cisza w połączeniu z niepewnością, jaką odczuwał, sprawiła, że ogarnęło go dziwne odrętwienie, które trwało przez kilka godzin. Kiedy później o tym myślał, godziny te przypominały mu najbardziej to, co czuł pewnego razu w dzieciństwie, kiedy zepsuł się telewizor. Czas stał się wtedy ciężarem, który przygniótł go do miejsca. Otaczał go niczym twarda skorupa: wszelki ruch był nie tylko nie do wykonania, ale i nie do pomyślenia. Teraz natomiast w pokoju „H telu” przeszył go chłód, który nie miał nic wspólnego z pogodą czy temperaturą powietrza; przypominał podmuch śmierci.



Odrętwienie przemieniło się w sen. Spał długo. Kiedy się obudził, była już noc. Wspomnienie tych kilku godzin, które przesiedział zły zimnym potem, ciążyło na nim niby upiorna dłoń leżąca na karku. Ubrał się, uczesał i wybiegł czym prędzej z hotelu, jak gdyby ścigał go jakiś oślizgły potwór, cały w brodawkach.

Kilka przecznic dalej ujrzał jasno oświetloną ulicę. Ruszył tam skwapliwie, tak samo jak we śnie dążył do złotego łańcucha znamionującego życie; kiedy był już blisko, odgłosy ruchu ulicznego rozproszyły ciszę. W kilka chwil później stał przed barem samoobsługowym „Słoneczko”; nad wejściem widniało ogromne żółte słońce.

Kiedy wszedł do przyjaźnie rozjarzonego baru, doznał wrażenia, że nagle na mrocznym, wymarłym pustkowiu natrafił na schronienie. W barze było prawie pełno i Joe miał uczucie, że zna wszystkich tutejszych gości.

Ludzie siedzieli parami lub w gromadkach; były osoby małowówne, były gadatliwe, byli też ludzie samotni: w większości mężczyźni — choć i kilka kobiet — palący papierosy i spoglądający sponad pustych filiżanek po kawie. Byli tu podróżni, robotnicy udający się na nocną zmianę, odwieczni próżniacy, jakich spotyka się na całym świecie, i kilku próżniaków owej szczególnej odmiany, znanej głównie w Ameryce.

Na pierwszy rzut oka mogłoby się zdawać, że ci młodzieńcy próżnują razem, ponieważ zwykle siadają przy jednym stoliku albo gromadzą się na tym samym rogu, przeważnie jednak nic ich nie wiąże, tak samo jak nic nie wiąże ich z prerią, miastami i rzekami ziemi ojczystej. Z oczu i ruchów tych osobników wyciera melancholijny smutek, na który zapewne nie ma lekarstwa — zdają się opłakiwać wielką wspólną stratę, jak gdyby odebrano im coś cennego tak brutalnie i bezapelacyjnie, że nie mogą sobie nawet przypomnieć, co to było.

Joe stał chwilę przy drzwiach, jak gdyby szukał w tłumie znajomej twarzy. Gdyby znalazł kogoś znajomego, podszedłby i powiedział: „Kurwa, stary, gdzieś ty się podziewał?” Ale ponieważ nie znalazł, chętnie by powiedział to komuś obcemu, zabrakło mu jednak odwagi. Stał przy bufecie, żeby zamówić kawę i hamburgera. Czekał, zobaczył twarz, która bardzo mu się spodobała. Patrzyła na niego z pokrytego lustrami filaru pośrodku bufetu. „Kurwa, stary — powiedział w myślach, patrząc z podziwem na swoje przystojne, ciemnookie, rozczochrane odbicie, które natychmiast błysnęło ciepło białymi zębami w odpowiedzi na jego serdeczny, szeroki uśmiech. — Gdzieś ty się

podziewał?" „Kto, ja? — zdziwił się. — Sam nie wiem. Ale wróciłem!" Joe i jego odbicie znowu się do siebie uśmiechnęli.

Odtąd Joe co noc przesiadywał w przyjaznym barze.

Pewnego razu nawiązał rozmowę z posługaczem sprzątającym ze stołów naczynia, ładnym, zniewieściałym Meksykaninem.

— Słuchaj, bracie — powiedział Joe, który zaczął się już niepokoić stanem swoich finansów — kończy mi się forsa. Płacą ci tu co za zbieranie talerzy?

— Nie dorobić się tu! — posługacz wzruszył ramionami. — Dolar od godzina.

— Pewnie, ale jechał to sęk! Przecież możesz tu jeść, no nie? — Joemu zaświtał pewien pomysł. — No jak? Dają ci tu jeść?

Rano załatwił sobie pracę w „Słoneczku" na popołudniowej zmianie. Miał kończyć o północy. Ale Joemu tak spodobał się bar, że zostawał w nim po pracy, zjadał duży posiłek, po czym paląc papierosy siedział nad filiżanką kawy przez całą noc.

Drugiej nocy posługacz zatrzymał się przy jego stoliku, spojrzął na niego bystro czarnymi oczami i powiedział:

— Kiedy ja cię zobaczył, myślał, że ty cacuś.

— Ja? Nie, nie, skądże znowu!

Następnym razem, gdy Meksykanin znowu przechodził koło jego stolika, Joe zapytał go:

— Słuchaj, co to znaczy?

— Co?

— To, co pomyślałeś.

— Co ja pomyślał?

— No, to co powiedziałaś mi przedtem, wiesz — wyjaśnił Joe.

Meksykanin zmarszczył brwi:

— Ja mam słabo język — i odszedł ze swoją tacą.

Kiedy znowu przechodził koło Joego, zatrzymał się i powiedział:

— Ja był pewien, że ty cacuś.

— Właśnie! — zawołał Joe. — Co to znaczy?

— Cacuś?

Meksykanin popatrzył na niego z niedowierzaniem, ale w końcu doszedł do wniosku, że Joe nie żartuje.

— Cacuś to ho, ho, ho! — powiedział kręcąc biodrami i pocierając palcem wskazującym o kciuk ruchem oznaczającym pieniądze. — Comprende?

Joemu przesunęło się przed oczami kilka luźno powiązanych obrazów, ale w dalszym ciągu nie wiedział, o co chodzi.

— E, tam! — zawołał Meksykanin. — Tu comprendes muy bien!

Zakręcił kuprem i odszedł do sąsiedniego stolika, przy którym siedziała gromadka jego przyjaciół.

Joe przedtem już przyglądał się im z zainteresowaniem. Było ich pięciu: czterej młodzieńcy podobni do siebie śmiali się często i wciąż o czymś rozprawiali, przesadnie gestykulując. Nosili ostentacyjnie młodzieżowe ubrania, a oczy ich latały po sali jak ptaki nie mogące znaleźć grzędy.

Natomiast piąty młodzieniec był wyraźnie inny. Nie śmiał się, nic nie mówił i nie gestykulował, ubrany zaś był niedbale w stare levisy, wytartą koszulę dżinsową i brudne białe tenisówki. Włosy barwy piasku miał odrzucone na bok, a oczy nieruchome i zapatrzone w przestrzeń. Z pewnym rozbawieniem, ale bez zaangażowania przysłuchiwał się rozmowom przy stoliku; obojętność ta dawała mu pewną wyższość nad pozostałymi młodzieńcami. Tolerował ich tylko dlatego, że go bawili, nie żądając nic w zamian. Najwyraźniej siedział z nimi jedynie dla zabicia czasu, gdyż nie wyglądał na człowieka, któremu potrzeba towarzystwa.

Meksykanin zatrzymał się przy stoliku, powiedział coś i poszedł dalej w stronę kuchni. Czterej młodzi mężczyźni odwrócili się, żeby spojrzeć na Joego, piąty — nie. Wstał natomiast i udał się do bufetu po następną kawę, a potem zaniósł ją do stolika Joego.

— Czy można?

Joego ogarnęła radość i podniecenie.

— Pewnie, no pewnie!

Wstał z miejsca i całkiem niepotrzebnie zaczął przesuwać krzesła, zakłopotany tym, że nagle znalazł się w roli gospodarza. Nieznajomy wyciągnął rękę i powiedział:

— Perry.

— Co... co takiego?

— Tak się nazywam. Perry. P-e-r-r-y.

— Tak, tak, rozumiem.

Joe uścisnął mu dłoń.

— Joe Buck — przedstawił się. — Zapalisz?

Zapalili. Joe zorientował się, że Perry wpatruje się w niego. Oczy Perry'ego były dziwne — wesołe, ale jednocześnie jak gdyby naznaczone śmiercią; gdyby ktoś młody przez niedorzeczny, głupi błąd miał spowodować swój przedwczesny zgon, to pewno takimi oczyma oglądałby własny pogrzeb.

Nie wiedząc, jak się zachować pod spojrzeniem nieznajomego, Joe wzruszył ramionami i roześmiał się sztucznie. Perry uśmiechnął się lekko i przestał na niego patrzeć. Oparł się wygodnie plecami i siedział tak, z szeroko rozstawionymi nogami, spokojny i opanowany. Obserwował teraz fragment ulicy, widoczny przez frontowe okno „Słoneczka”. Za oknem niewiele się działo — od czasu do czasu ukazywał się jakiś przechodzień lub przejeżdżała taksówka.

Joe nie wierzył własnemu szczęściu. Pierwszy raz, odkąd wyszedł z wojska, siedział z kimś przy stoliku. Pragnął przedłużyć tę sytuację, ale nie wiedział, czego tamten od niego oczekuje. Miał już kilka pomysłów, jak rozpocząć rozmowę, ale jeżeli Perry przysiadł się, żeby posiedzieć z nim w milczeniu, to nierozważne słowa mogły wszystko popsuć.

Bardzo szybko poczuł głęboki, niepojęty podziw dla nieznajomego imieniem Perry. Gdyby jakiś czarodziej obdarzony zdolnością dokonywania magicznych przemian zaproponował, że zamieni mu osobowość na osobowość tego jasnowłosego mężczyzny, Joe zgodziłby się bez chwili wahania. Nie potrafiłby jednak powiedzieć, dlaczego.

Tymczasem jest tak, że ludzie podobni Perry'emu mają pewien przywilej — gdziekolwiek się pokażą, wszyscy zabiegają o ich względy. Przeważnie są urodziwi, ale to

nie reguła. Rzecz w tym, że są z góry skazani na zagładę, a swoje przeznaczenie przyjmują z tragicznym wdziękiem, rzadkim u ludzi tak młodych.

Joe, podniecony i niespokojny, siedział wciąż w towarzystwie młodzieńca. Kilka minut później czterej barwnie ubrani koledzy, z którymi Perry przedtem dzielił stół, wstali i ruszyli do wyjścia. Przewodzący im wysoki rudy chłopak poprowadził ich koło stołu, przy którym siedzieli Joe i Perry.

— Dobranoc, kochanie — powiedział rudy, nie zatrzymując się.

Dwaj inni zachichotali, a czwarty, niski, z podwójnym podbródkiem dodał:

— Życzę powodzenia!

Joe przyglądał się im, kiedy gęsiego wychodzili z baru. Perry natomiast nie patrzył na nich. Obrócił się i nic nie mówiącym wzrokiem spojrzął na Joego, po czym wrócił do obserwowania ulicy.

Ta noc zapoczątkowała dziwną, milczącą znajomość, która trwała przez kilka tygodni. Co noc, kiedy Joe skończył pracę i jadł kolację, Perry nie wiadomo skąd zjawiał się w barze i bez słowa siadał przy jego stoliku.

Z początku rzucali do siebie tylko niezbędne słowa, o wypiciu następnej kawy lub przysunięciu cukru, ale bywało i tak, że nie odezwali się przez całą noc. Wyglądali razem przez okno, czasem obserwowali jakiś stół, przy którym działo się akurat coś ciekawego, i niekiedy ich spojrzenia krzyżowały się na chwilę; przeważnie jednak przez całą noc siedzieli obok siebie w „Słoneczku”, jakby nic poza tym ich nie łączyło. Z niewiadomego powodu wspólnie spędzali czas w tym samym miejscu — i koniec.

Nie sposób było przewidzieć, kiedy Perry wyjdzie lub dokąd pójdzie. Po dziesięciu minutach albo po kilku godzinach wstawał bez słowa, kiwał na pożegnanie głową albo i nie kiwał, przechodził przez drzwi obrotowe, mijał okna baru i znikał z pola widzenia.

Z czasem Joe powziął przekonanie, że Perry zna jakąś wielką tajemnicę, którą — jeżeli wszystko ułoży się szczęśliwie — kiedyś mu wyjawia. Tajemnica niewątpliwie dotyczyła życia Perry'ego, tego, skąd przychodzi o północy i dokąd udaje się o świcie. Joe wierzył, że będzie wtedy brać udział w nieznanym poczynaniach Perry'ego: odejdą razem w tajemniczy świat leżący za obrotowymi drzwiami baru i od tej chwili coś się odmieni w mroku otaczającym Joego. Pustka jego egzystencji, długie godziny przesypiane samotnie

w „H telu”, ogłupiająca praca w pomywalni wśród brzęku naczyń — wszystko to miało ulec zmianie. Perry spojrzy na niego ze swoim osobliwym wdziękiem i zrobi jakiś prosty gest, który będzie oznaczał zgodnie z przewidywaniami Bucka początek nowego okresu; czekanie, inicjacja nocnego picia kawy przy jedynym w całym „Słoneczku” stoliku nie rozbrzmiewającym gwarem, przejdzie w następną fazę albo skończy się raz na zawsze.

Zastanawiając się nad tym, Joe nie konkretyzował swoich myśli; dla niego nie były one nawet myślami. Po prostu Perry uosabiał dla niego los, którego nadejście człowiek czuje w pulsowaniu krwi, był przybyszem, a on sam, choć nie potrafił sformułować tego dokładnie — odbiorcą nowin, które przybysz wyjawia mu, kiedy wreszcie uzna za stosowne.

Którejś nocy Perry zwrócił się niespodziewanie do Joego i zapytał:

— No, co jest?

Właściwie nie zabrzmiało to jak pytanie. Niemniej Perry wpatrywał się wyczekująco w Joego. Joe potrząsnął głową.

— Cholera, stary! Sam nie wiem — odparł.

Ale w rzeczywistości zdawał się mówić: „Czekam. To jedyne, co mogę powiedzieć”. Innej nocy Perry tak samo nieoczekiwanie zapytał:

— Kombinujesz, co jest?

Choć tym razem Perry najwyraźniej spodziewał się odpowiedzi, Joe nie wiedział, co rzec.

— Pewnie, że kombinuję! — zawołał z udanym entuzjazmem. — Cholera, jak najbardziej!

Nie miał pojęcia, o czym mówi.

W tych rzadkich wypadkach, kiedy Perry zwracał się do Joego, miał głos niski, niewiele silniejszy od szeptu i poufny jak grób.

— Joe, czy ty w ogóle istniejesz? — zapytał pewnego razu o świcie, po czym wstał od stolika i wyszedł z baru, najwyraźniej nie oczekując odpowiedzi.

A potem pewnego razu spojrział na Joego tak samo jak przy pierwszym ich spotkaniu — długim spojrzeniem z owej pierwszej nocy.

Kowboja ogarnęło podniecenie. Nadszedł czas! Na coś! Dałby wszystko, żeby wiedzieć, co teraz powinien zrobić. Palił wolno papierosa, grając na zwłokę, licząc na natchnienie. Śmiał się, kasłał, kiwał chytrze głową i bębnił palcami po blacie stolika... i nagle nieomalże mimo woli dał spokój całej tej fałszywej aktywności, znieruchomiał i patrzył tylko na sąsiada.

— Ratuj mnie — mówiło wyraźnie spojrzenie Joego, choć on sam nie zdawał sobie sprawy, że w ogóle o cokolwiek prosi.

Perry skinął lekko głową. Patrzył na Joego ze współczuciem. Potem w jego oczach zamigotała większa niż zwykle wesołość. I nagle pozostała w nich tylko owa tajemnica, którą była świadomość rychłej śmierci. Odwrócił znów spojrzenie w stronę ulicy.

Tak się dziwnie złożyło, że właśnie w tym momencie zakreśliły się drzwi obrotowe. Wszedł niski mężczyzna w zielonym krawacie i brązowej tweedowej marynarce i zbliżył się do stolika.

## 6

Był młody, około trzydziestki, ale prawie zupełnie łysy, miał wysokie, całkowicie nagie czoło i palące, paciorkowate oczka, kilkakrotnie powiększone przez grube szkła okularów. Wyglądał jak obłąkany młody uczonek z niemego filmu.

Zatrzymał się przy stoliku.

— Perry — powiedział.

Perry nie drgnął nawet, jakby w ogóle nic nie słyszał.

— Perry, proszę cię! Czy zdajesz sobie sprawę, który to już raz z rzędu nie ma cię przez całą noc?

Jego głos, miękki i słodki niczym karmelek, zdawał się lizać ucho.

Długi słupek popiołu spadł Perry'emu z papierosa na spodnie. Perry strzepnęła go i palił dalej.

— Perry, proszę cię!

Żadnej odpowiedzi.

— Chciałem cię tylko zapytać, czy wiesz, która jest godzina!

Mężczyzna zmienił taktykę: wziął od sąsiedniego stolika krzesło, ustawił je naprzeciwko Perry'ego, po czym usiadł bez pośpiechu, oparł ręce na kolanach i zaczął wpatrywać się w niego, jakby chciał pokazać, że gotów jest tak czekać do białego rana.

— Chcesz jeszcze kawy? — zapytał Perry Joego po dłuższej chwili i zanim ten zdążył odpowiedzieć, Perry zwrócił się do przybysza.

— Marvin! — rzekł nie patrząc na niego.

— Słucham, Perry — mężczyzna nie odrywał od niego oczu.

— Marvin, dwie kawy.

Uczonek z niemego filmu pochylił się do przodu i uniósł twarz ruchem mającym wyrażać błaganie. Wszystkie jego gesty wyglądały tak, jakby dawał nimi do zrozumienia coś, czego w gruncie rzeczy nie czuje.

— Och, Perry — szepnął.



— Jedna czarna, Marvin, druga ze śmietanką.

Marvin zacisnął usta i podniósł w górę cienkie czarne brwi jak człowiek przymuszony. Westchnął i podszedł do bufetu.

Joe uśmiechnął się i powiedział:

— Ty, Perry! Ten facet to pewnie twój brat, no nie?

— Nie.

Marvin wrócił z kawą i postawił przed Perrym obie filiżanki. Jakiś aspekt sytuacji nie pozwalał mu uznać obecności Joego przy stoliku.

— Marvin, poczęstuj mojego przyjaciela — powiedział Perry.

Marvin przesunął jedną filiżankę w stronę Joego.

— Dziękuję — rzekł Joe. — Bardzo dziękuję.

Uśmiechnął się i ukłonił niewidzialnym kapeluszem w stronę wysokiego czoła Marvina; miał nedorzeczną ochotę narysować coś na tym czole.

Marvin usiadł, ponownie wbił wzrok w Perry'ego i nic nie odpowiedział.

— Mój przyjaciel podziękował ci, Marvin.

— Nie ma za co, Perry. Nie ma za co, proszę pana.

Głos Perry'ego nie zmienił barwy, był jakby ciepłym, odurzającym strumieniem dźwięku.

— Na imię mu Joe, Marvin.

— Nie ma za co, Joe.

Minęła chwila.

— Marvin — powiedział Perry.

— Słucham, Perry.

Perry wyciągnął rękę, wciąż nie patrząc na swego rozmówcę. Zachowywał się, jak gdyby cenił wysoko dobroczynny wpływ swojego spojrzenia i nie chciał go trwonić na osoby tego niegodne.

— Pokaż mi swój portfel, Marvin.

— Och, Perry, proszę cię.

Perry nie cofał ręki.

— Oczywiście natychmiast, Marvin. Moje polecenia mają być spełniane natychmiast, chyba że wydam inne dyspozycje.

Marvin podał Perry'emu portfel.

— Och, doprawdy!

Perry przeliczył pieniądze. W portfelu były cztery jednodolarowe banknoty.

— Ile masz w kieszeni, Marvin?

— W jakiej kieszeni?! — zawołał Marvin, wyjmując szybko rękę z bocznej kieszeni tweedowej marynarki.

— W tej — powiedział Perry nie czyniąc żadnego ruchu i nawet nie patrząc w stronę Marvina.

Marvin podał mu mały zwitek banknotów — Perry wziął pieniądze, ale ich nie przeliczył.

— Ile tu jest? — zapytał.

— Hm — westchnął Marvin. — Siedemdziesiąt.

— W takim razie ty weź mój udział, Marvin — powiedział Perry, oddając mu portfel — a ja wezmę twój.

Schował do kieszeni siedemdziesiąt dolarów.

— A teraz, Marvin, chciałbym kluczyki od samochodu.

— Nie! Odmawiam! Proszę, cię, Perry.

— Wybacz, Marvin, nie dosłyszałem. Coś ty powiedział? Bo coś zdaje się powiedziałeś. Powtórz!

— Och, jak ja wrócę do domu?

— Co ci się stało, Marvin, nogi cię bolą?

— Och, Perry, po co to wszystko? Chcesz zaimponować przyjacielowi? Już mu na pewno zaimponowałeś.

— Miałem zamiar — powiedział Perry — być u ciebie jutro po południu. Ale ponieważ zachowujesz się nieszczególnie, Marvin, moje plany będą chyba musiały ulec zmianie.

— O której jutro? — zapytał Marvin. — Wczesnym popołudniem czy przed wieczorem? O której?

— Kluczyki, Marvin.

— Zaraz ci dam, zaraz dam, tylko powiedz o której.

— Chcesz się ze mną targować, Marvin?

— Oooch!

— Przestań skomleć. Skomlisz, Marvin.

Marvin uśmiechnął się — starał się roześmiać, ale udało mu się tylko podnieść brwi i parę razy cicho prychnąć.

Joe tymczasem wyobraził już sobie rysunek, którego nigdy nie miał nakreślić na wysokim, gładkim czole Marvina — twarz dziewczynki z długimi rzęsami, pociągniętymi tuszem.

Marvin wyjął z kieszeni kluczyki od samochodu i położył je na stoliku przed Perrym.

— Dobrze, weź je sobie. O piątej?

— Dziękuję ci, Marvin, za pożyczenie mi wozu i za inne przysługi. Może nie zawsze okazuję ci należytą wdzięczność, ale niemniej żywię ją w głębi serca.

Perry wstał od stolika.

— Chodźmy, Joe!

Joe podniósł się powoli, zmieszany sceną, której był świadkiem. Miał wrażenie, że gdyby tylko Marvin odsłonił oczy, wszystko byłoby w porządku. Ale okulary wyrastały z twarzy Marvina niczym zrogowaciałe narośle, których nie sposób było zdjąć.

Marvin zerwał się z krzesła i chwycił Perry'ego za ramię. Perry zamarł w bezruchu plecami do Marvina, nie starając się oswobodzić.

— Zabierz rękę, Marvin. I usiądź.

Oba rozkazy zostały natychmiast spełnione.

— Ale powiedz o której — nalegał Marvin. — Około piątej? Czy może później?

Perry dopiero teraz zwrócił się do niskiego mężczyzny z kilkakrotnie powiększonymi przez szkła oczami i obdarzył go długim, dwuznacznym spojrzeniem; było pogardliwe, ale jednocześnie łagodne.

— W każdym razie jutro po południu — powiedział. — A teraz chcę, żebyś siedział spokojnie i nie ruszał się, dopóki nie wyjdziemy. Zrozumiałeś?

— Ojej! — westchnął Marvin. — No, dobrze, Perry.

Perry patrzył na niego, dopóki Marvin nie powtórzył odpowiedzi już bez cienia oporu.

— Dobrze, Perry — powiedział. — I dziękuję! — dorzucił sam od siebie.

Perry wyszedł przez drzwi obrotowe, Joe tuż za nim. Kiedy mijali okno baru, Joe spojrzął na małego uczonego z filmu. Wyglądał niesamowicie, siedząc w posłusznym bezruchu: grube szkła odbijały światła baru, sprawiając wrażenie dwóch mocnych latarek oświetlających odejście Perry'ego.

Byli na parkingu. Perry opierał się o błotnik białego otwartego sportowego wozu marki „MG”, a Joe stał naprzeciwko niego z kciukami wetkniętymi w tylne kieszenie spodni i uśmiechając się niepewnie, zastanawiał się, co też może się teraz wydarzyć. Noc była chłodna i przejrzysta: jasne gwiazdy — podobnie jak możliwości — wydawały się liczniejsze niż zwykle. Joe roześmiał się głośno. Perry uśmiechnął się, spojrzał na niego i pokiwał pobłaźliwie głową, jakby miał do czynienia z małym dzieckiem.

— Joe — powiedział.

Często używał w rozmowie imienia, wymawiając je łagodnie, bo wiedział, że własne imię to zwykle dla każdego najcenniejsze słowo ze wszystkich, nie tylko wpadające do ucha, ale chwytające za serce.

— Czemu się śmiejesz, Joe?

Joe pokręcił głową, wciąż się uśmiechając.

— Sam nie wiem.

Roześmiał się jeszcze raz, dalej udając, że wszystko rozumie, choć jednocześnie zdawał sobie sprawę, że wychodzi na durnia.

— Zrobimy z ciebie równego gościa, Joe! Nauczysz się być na luzie. Co ty na to?

— Pewnie, niech to cholera, właśnie tego mi trzeba.

— Nie bardzo wiesz, o czym mówię, prawda, Joe?

— Niech pomyślę: być na luzie to... Nie, chyba nie za bardzo wiem. Chyba nie.

Spróbował znów się roześmiać, ale mu nie wyszło.

— Więc sam nie wiesz, Joe. Niewiele wiesz, ale to cenne, bo inaczej nie mógłbyś się niczego nauczyć. A ty chcesz się nauczyć, prawda?

— O tak, Perry! Pewnie, że chcę.

— Więc czy nie dobrze się składa, że niewiele wiesz?

Joe zmarszczył brwi, bojąc się roześmiać.

— Ufasz mi, Joe?

Joe skinął energicznie głową. Chciał wyrazić tym ruchem cały swój szacunek i sympatię dla Perry'ego, skinął więc najmocniej, jak potrafił. I usłyszał własny głos mówiący bełkotliwie:

— Tak, jak Boga kocham, tak! Ale jestem świeży w tym mieście i...

Chciał coś przekazać temu wspaniałemu nowemu przyjacielowi, ale szło mu to bardzo opornie.

— Przyjechałem tu niedawno, jestem obcy, pochodzę z...

Nie, nie to chciał powiedzieć, tym razem wcale nie poszło mu lepiej.

— Możesz mi nie mówić, skąd pochodzisz, Joe. Teraz jesteś tutaj, prawda?

— Gdzie? Tutaj? Racja, jestem!

Nie była to tego rodzaju rozmowa, w jakich nauczył się brać udział w wojsku. Tam, jeżeli człowiek stracił wątek, mógł się roześmiać, skrzywić się — i to zwykle wystarczyło. Z Perryem jednak było inaczej: pilnował, czy się wszystko rozumie.

— Pomogę ci, ale uspokój się i zaufaj mi. Słuchaj, masz pokój gdzieś tu w pobliżu?

— Pokój? Tak, mam pokój w hotelu.

— W takim razie chodźmy do ciebie. Gdzie to jest?

— Brakuje litery „o”.

— Ale gdzie jest? Czy mamy iść pieszo, czy jechać samochodem?

— Wszystko jedno, moglibyśmy...

— Jak daleko stąd, Joe?

— Trzeba przejść kilka ulic.

— Wsiadaj.

Zaparkowali MG po przeciwnej stronie ulicy od „H telu”, minęli recepcję i poszli na górę do pokoju Joego. Perry usiadł na brzegu łóżka.

— Nie widzę u ciebie radia, Joe.

— Radia? A nie. Nie mam radia. Jeszcze nie mam. Ale kupię sobie.

— Rozgość się, Joe. To przecież twój pokój, prawda? I jesteś z przyjacielem, więc się o nic nie martw.

Joe usiadł na krześle.

- Fajnie by tu było mieć radio — powiedział.
- Masz rację. Kiepsko jest nie mieć radia.
- Chyba chciałbym mieć tranzystor. Znasz się na tym?
- Tak.
- Mm-hm, no więc odkładam forszę na radio.
- Od kiedy? — zapytał Perry.
- Od jutra.

Po chwili milczenia Joe dodał:

- Chcę tu mieć porządne radio, a nie jakieś małe gównno.

Rozejrzał się po pokoju, przesuwał szybko wzrok po ciemnych ścianach.

- Wiesz, o co mi chodzi?

– Oczywiście — powiedział Perry. — Chcesz mieć porządne radio. Nie chcesz jakiegoś małego gówna.

Perry wziął do ust i zapalił cienkiego, ręcznie skręcanego papierosa. Z sykiem wciągnął dym w płuca i podał papierosa Joemu. Joe usiłował naśladować Perry'ego, ale zdradził się ze swoim niedoświadczeniem, od razu wypuszczając dym.

– Nie wiesz, co robisz, Joe. Musisz nauczyć się ode mnie; wtedy będziesz wiedział. To — wyciągnął rękę z papierosem — nie jest tytoń, Joe. To jest specjalny papieros robiony z wysuszonych liści i kwiatów konopi o botanicznej nazwie *Cannabis sativa*. Można go porównać z tym porządnym radiem tranzystorowym, na które zamierzasz zacząć od jutra oszczędzać, z radiem, które nie jest jakimś małym gównem. Nie, to niezupełnie tak. Ty i ja jesteśmy radioodbiornikami, a *Cannabis sativa* jest jak gdyby energią, mocą...

Przestał mówić i zaciągnął się po raz drugi, pokazując na migi Joemu, jak należy to robić. Dokończyli wspólnie papierosa, posiedzieli kilka minut w milczeniu, a potem wypalili następnego. Joe wstał, żeby otworzyć okno. Perry powstrzymał go. I wtedy Joe uświadomił sobie, że własne ruchy sprawiają mu nie znaną dotychczas przyjemność. Uśmiechnął się.

- To rzeczywiście coś daje — powiedział. — Naprawdę daje!

Perry wziął oba cieniutkie niedopałki papierosów, które wypalili, podarł na strzępy, wrzucił do zlewu i splukał wodą.

— W odróżnieniu od normalnych petów, pety po papierosach z *Cannabis sativa* należy usuwać, Joe. Zrobione!

— Hej! — zawołał nagle Joe. — To była marihuana! W tym papierosie była marihuana!

— Tak jest, Joe.

— O, kurwa! — Joe nie posiadał się z radości. — Nic dziwnego, że kręci mi się we łbie! Ale z ciebie chytra sztuka!

Przeszedł się po pokoju, badając swoje reakcje na ruch, na bodźce wzrokowe i na sam fakt istnienia; wszelkie doznania stały się teraz inne, głębsze — nigdy jeszcze nie było mu tak dobrze.

Perry wyciągnął się na łóżku. Przez długą chwilę szukał najdogodniejszej pozycji, a kiedy leżał już wygodnie z jedną nogą założoną na drugą i rękami pod głową, zwrócił się do Joego:

— Wygodnie ci tam, Joe?

— Świetnie — odparł Joe.

Ale nagle nie było mu już świetnie. Coś się popsulo i choć nie umiał powiedzieć co, miał wrażenie, że jakieś nieznanne niebezpieczeństwo wślizguje się bezszelestnie do pokoju przez szparę pod drzwiami i przez szczeliny w oknach, a on nie tylko nie potrafi temu zaradzić, ale nie wie nawet, jak to określić.

— Joe, może czegoś chcesz?

— Nie, nie, jest mi świetnie.

— Nie, Joe, wcale ci nie jest świetnie

— Hej?

— Potrzebujesz pomocy.

— Pomocy?

— Tak, jak najbardziej. A ja właśnie po to tu jestem, żeby w połączeniu z *Cannabis sativa* pomóc ci dowiedzieć się, czego chcesz, i pokazać ci, jak to osiągnąć.



Joe czuł się tak, jakby jego serce wypełnione było powietrzem i miało pęknąć, powodując ból, a nawet śmierć. Przycisnął dłoń do piersi. To nie pomogło. Wziął do ręki zapalki i zaczął się nimi bawić, usiłując zapomnieć o swoim lęku. Dotyk zapalek przyniósł mu wyraźną ulgę: wyginał je, łamał, odkładał i znów podnosił. Perry mówił dalej:

— Nie tylko dzisiejszej nocy nie wiedziałeś, co począć z czasem. Całe twoje życie jest dla ciebie ciężarem. Często marszczysz brwi, Joe. Bierzesz jakieś przedmioty i zaraz je odkładasz — spojrzał znacząco na zapalki. — Chciałbyś podpalić świat, ale tracisz energię, marnujesz czas. Musisz wziąć się w garść. Musisz dowiedzieć się, czego chcesz, i zapomnieć o wszystkim innym, a wtedy będziesz na luzie. Więc co masz zrobić?

— Dowiedzieć się, czego chcę?

— Dobrze. I jeszcze?

— Hmm.

— Zapomnieć... — odpowiedział Perry.

— Zapomnieć o wszystkim innym.

— Dobrze. A teraz powtórz.

— Dowiedzieć się, czego chcę, i zapomnieć o wszystkim innym.

— Robisz postępy, Joe. To była lekcja pierwsza. Teraz będzie pierwsze ćwiczenie — ten pokój. Czy jest tu coś, czego pragniesz? Powiedz tylko, a ja ci ręcę, że będziesz to miał.

Joe zaczął się rozglądać po pokoju, ale Perry powiedział:

— Patrz na mnie. Może ci to pomoże, Joe! O właśnie. Pytam cię jeszcze raz: czy jest tu coś, czego pragniesz?

Joe wbił wzrok w twarz Perry'ego, szukając pilnie jakiejś wskazówki. Nic jednak nie znalazł.

— Słuchaj, Joe! Są ludzie, setki ludzi gotowych zapłacić całkiem pokaźne sumy, żeby być teraz na twoim miejscu, w jednym pokoju ze mną, i to wtedy, kiedy chcę spełnić każde życzenie!

Joe myślał z takim wysiłkiem, aż zakręciło mu się w głowie. Czas płynął. Naraz Perry zeskoczył z łóżka, stanął nad Joem i wpatrzył się w niego. Ruch, jakim się zerwał, był szybki, niemalże gwałtowny. Dotychczasowy spokój i dobry nastrój Joego prysły

momentalnie — jakiś obcy młody mężczyzna, chwyciwszy go za gors, trzymał, zmuszając, żeby Joe spojrzał mu w twarz.

Joe zdziwił się, nie widząc w jego oczach złości i furii, jakie przebijały z jego ruchów. Patrzył na Joego przenikliwie, ale spojrzenie miał łagodne.

— Jeżeli mamy zostać przyjaciółmi, Joe — powiedział po długiej chwili — musisz pamiętać jedno...

Joe miał wrażenie, że zdarzył się cud — ten obcy, wspaniały człowiek, przystojny, mądry i władczy, okazuje względy, poświęca uwagę i ofiaruje przyjaźń osobie tak niegodnej jak on, Joe Buck. Na pewno musiał się pomylić w ocenie Joego i stąd ten niefortunny wybór. Kiedy pozna swój błąd, znajomość się skończy. Toteż Joe bał się okropnie, że zrobi jakiś niewłaściwy gest czy palnie jakieś głupstwo, przyspieszając tym samym odejście Perry'ego. Szukał w myślach sposobu, żeby odwlec gafę, kilkoma słowami albo zręcznym gestem odsunąć ten nieuchronny moment. Ale nie potrafił. Perry był za inteligentny, zbyt wyrobiony, żeby dać się oszukać.

— ...powtarzam: jedno — żadnych kłamstw! Żadnych! Nigdy! Rzygać mi się chce, kiedy widzę ludzi, którzy wiedzą, czego chcą, ale boją się po to sięgnąć; nie mają nawet odwagi powiedzieć, o co im chodzi. Więc kiedy pytam cię, czego chcesz, Joe — odpowiadaj. Mów, czego chcesz. Rozumiesz?

— Tak. Tak, Perry, tak.

— W porządku.

Twarz Perry'ego rozpogodziła się stopniowo, puścił koszulę Joego i usiadł na łóżku — jego wzrok, wciąż skierowany na kowboja, tworzył jakby most przez dzielącą ich przestrzeń. Kiedy ich spojrzenia zetknęły się, Perry odezwał się znowu:

— Powiedz mi teraz. Powiedz, czego byś chciał.

„Ty idioto! — powiedział Joe sam do siebie. — Powiedz coś, odezwij się! Czy jesteś aż tak głupi, żeby nie wiedzieć, czego chcesz? Powiedz coś, choćby cokolwiek, to zawsze lepsze niż nic”.

— Ja, chyba, hm, może... hm...

Przymknął oczy i zmarszczył brwi, opuszczając jednocześnie głowę, jakby to, czego pragnął, kryło się w jego brzuchu i aktem woli mógł to coś stamtąd wydobyć.

— No powiedz — zachęcał go Perry. — Cokolwiek to jest.

— Jestem beznadziejny. Beznadziejny — szepnął Joe. „Chryste Panie! — pomyślał.  
— Prawda to ohydna rzecz!”

Wtulił głowę w ramiona, pragnąc zapaść się pod ziemię.

Kiedy znów otworzył oczy, był prawie pewien, że zobaczy Perry'ego w drodze do drzwi. Ten jednak przyglądał mu się tak samo łagodnie jak przedtem; w jego oczach malowała się troska.

— Dlaczego? Powiedz mi, Joe, dlaczego jesteś beznadziejny.

— Kurwa, Perry! Nie ma co ukrywać, jestem po prostu tępy. Serio! Głupi jak but. Nic nie wiem. Nie umiem gadać, nie umiem myśleć.

Roześmiał się, ale twarz miał nadal poważną. Nie było mu wcale wesoło. Ale skoro wzniosł między sobą a Perrym szpetny koślawy mur ze swoich niewybaczalnych słów, musiał go teraz zburzyć — taranował mur śmiechem. Nie mógł go jednak zniszczyć. Im dłużej się śmiał, tym większy wyrastał mur.

Nagle przed oczyma stanął mu cudowny obraz — nagrobek Sally Buck, śnieżnobiały i zupełnie gładki, czekający dopiero na napis, na inskrypcję. Kredka w wyobraźni Joego naszkicowała szybko na płycie nagrobka jego własną karykaturę. Sprawilo mu to ulgę — obraz był skończony. Joe mógł teraz znowu spojrzeć Perry'emu w oczy.

Z pewnym zdziwieniem usłyszał własny głos:

— Tak sobie myślę, że już zawsze będą mył naczynia; umyję jedne, to przyniosą drugie, te też umyję, a później...

— Co później?

— Później wrócę tu, prześpię się, później znowu pójdę myć naczynia, a później, no...

— Co?

— Później, no...

Joe uniósł do góry dłoń i pomachał nią w powietrzu, jakby chciał pokazać, że słowo znajduje się gdzieś w pokoju.

— Joe, powiedz.

— Umrę.

O, kurwa! Mało mu było tamtego muru? Zniszczyć, zniszczyć!

Pozwolił sobie na krótki wybuch chrapliwego śmiechu. Nie, to nic nie dało. Nic innego też by nie pomogło. Mur był za wielki, za szpetny.

W wyobraźni zobaczył łopatę, wsunął ją w ręce jakiejś mglistej postaci, a ta zabrała się do kopania grobu przy grobie Sally. Wtedy obok ukazała się otwarta trumna z młodym, pięknym człowiekiem — z nim samym. „O, niech to cholera! — pomyślał. — Więc tylko to mnie czeka? Tylko trumna mimo mojej młodości, tylko trumna mimo mojej siły, urody?” Poczul przejmujący żal — i oto z płaczem tarzał się po podłodze pokoju hotelowego i z trudem łapiąc oddech wpatrywał się w brudne tenisówki obcego. Wiedział, że musi się pozbyć tego intruza, i zawołał :

— Wyjdź!

Ale już więcej nic nie był w stanie z siebie wydobyć, bo coś znacznie większego od płuc siedziało mu w piersiach, zajmując całą przestrzeń i nie pozwalając oddychać — i jakby tego było mało, uciskało mu jeszcze wątrobę i serce; czuł bolesne ukłucia wbijanych noży.

Brudne tenisówki na nogach jakiegoś mężczyzny... „Czego on chce? Czego on chce ode mnie? Czego ten skurwysyn chce ode mnie?” Pytania te powracały uporczywie w myślach Joego. Nie wie, że jestem, jestem, jestem...

Obcy ujął go za ramiona i pchając silnie przewrócił na plecy, a następnie usiadł na nim okrakiem — Joe poczuł jego ciężar. Ruchy obcego były tak nagłe, że pod ich wrażeniem Joemu udało się wyzwolić od okrutnego, przeraźliwego lęku. Znowu oddychał, z każdym wydechem powietrza wydając z siebie jęk, który niósł mu ulgę — tylko żywi wydają takie dźwięki. Twarz Joego była mokra. Najwidoczniej płakał, ale nie wstydził się tego. Łzy spowodowała marihuana, nie było w tym jego winy.

Popatrzył na Perry'ego siedzącego na nim okrakiem, na jego twarz pochyloną nad jego własną. Usłyszał, jak Perry zwraca się do niego swoim przyjaznym, głębokim, oduurzającym głosem i pyta serdecznie:

— Jak tam, Joe, pewnie teraz czujesz się dużo lepiej?

Unieruchomiony. Leżał unieruchomiony przez kogoś, kto był serdeczny, mądry, opanowany. Dobry. Nareszcie! Co teraz?

— A teraz — ciągnął dalej Perry — musisz mi tylko powiedzieć albo pokazać, czego chcesz. Bo inaczej skąd mam wiedzieć, co ci dać?

„Co to za ptak siedzi na moim brzuchu? Czy to Bóg? Czy to święty Mikołaj? Czy to czarodziej? Da mi wszystko, czego chcę? Czy on oszalał? Niech no mnie jeszcze spyta, jeszcze choć raz. Powiem mu, jak nic mu powiem. Powiem mu, że chcę mieć blondynkę i móc ją posuwać; taką, która opiekowałaby się mną przez całe życie, miała długie rzęsy i pulchne, okrągłe kolana, takie, żeby było za co chwycić; blondynkę, która nosiłaby żółtą sukienkę i miała prawdziwe cycki, a nie z gąbki jak biedna stara Sally, taką, która by siedziała przez cały czas w domu i przynosiła mi różne smakołyki, kiedy oglądałbym telewizję, a gdyby leciało akurat jakieś szajstwo, przychodziłaby do mnie, mówiła: «Kowboju, tak strasznie cię kocham!» — i płakała z miłości. «Cyt, cyt — ja bym jej na to — jeszcze nigdy w życiu nie widziałem, żeby ktoś kochał kogoś tak bardzo jak ty mnie. Wy tłumacz mi, dlaczego». A ona odpowiadałaby mi głosem miękkim jak jej cycki: «Dlaczego? Dlaczego cię kocham? Bo jesteś kowboj Joe Buck i umiesz mi dogadzać, i nie marnujesz sił na to, żeby zarobić na życie, bo zresztą i tak nie potrafisz. Poza tym kowboj, który umie tak dobrze i tak długo kochać, to coś niezwykłego. Więc się oprzyj wygodnie, mój piękny prawdziwy mężczyzno, i powiedz, co ci przynieść z kuchni. Galaretkę? Z kremem? Przynieść ci też może brzoskwinie i udko kurze, kochanie, żebyś jadł, kiedy będę ci śpiewała piosenkę? Później się będziemy kochać tu, na podłodze, a kiedy skończymy, zaśpiewasz mi: «Chodź tu, mały piesku, chodź tu, chodź tu, chodź tu, mały piesku, chodź tu...»"»

## 8

— To całkiem normalne — powiedział Perry. — Marihuana często wzmacnia apetyt.

Siedzieli przy bufecie w nocnym barze przy szosie, Perry palił papierosa i pił kawę, Joe kończył właśnie drugiego hamburgera.

— Chcesz jeszcze jednego? — zapytał Perry.

Joe miał pełne usta, więc pokręcił tylko przecząco głową. Czuł się wyśmienicie niczym niemowlę, które po długim płaczu oberwało klapsa i dostało jeść. Żywił dla Perry'ego niewysłowioną wdzięczność.

— Kim jest Sally? — spytał Perry.

— Sally! Skąd wiesz o Sally?

— Kiedy miałeś ten napad płaczu, wciąż powtarzałeś jej imię. Była twoją dziewczyną?

— Tak! Była moją dziewczyną.

„Kłamstwo! Ładnie sobie poczynasz, choć kazał ci zawsze mówić prawdę! Tak, ale dorosły facet nie może się przyznawać, że beczał, bo mu się przypomniała babcia”.

— Co robimy dalej, Joe? Na co miałbyś ochotę? Jest dopiero czwarta rano.

— Ja? Na co ja mam ochotę? Kurwa, mniejsza o mnie, Perry! Na co ty masz ochotę?

— Nie, nie, Joe, to twoja noc. Powiedz, na co masz ochotę.

— Mam ochotę na to, na co ty masz ochotę.

— Nie. Sam powiedz.

— Ale Perry, ja gównem wiem, co w ogóle można robić!

— Właśnie, że wiesz. Wiesz, co lubisz. Każdy wie.

— No dobra, powiem ci, co robiliśmy w wojsku. Tyle akurat wiem. W sumie to nic takiego: jechaliśmy do Columbus i szliśmy na kurwy — to wszystko. Cała atrakcja!

— Właśnie na to masz teraz ochotę?

— Teraz? Mówisz serio? Teraz?

— Tak, teraz. Masz ochotę na jakąś babkę?

— Nie, co tam... Zresztą wszystko mi jedno. Dobrze mi tak, jak jest, nie potrzebuję żadnej babki.

Przez chwilę Joe w milczeniu mieszał kawę. Następnie spojrzał na Perry'ego i zapytał:

— A co? Może ty masz ochotę?

— Mną się nie przejmuj. Ale ty byś chciał, tak?

— No...

— Chcesz, prawda?

— Wiesz, gdyby teraz jakaś babka sama ciągnęła mnie za ramię, to pewnie bym się nie opierał, ale wiesz, nie zawracaj sobie tym głowy.

Po chwili dodał z nadzieją w głosie:

— Chyba, że ty też masz ochotę.

— Nie — odparł Perry.

— W takim razie nie ma o czym gadać... Chyba, chyba że znalazłoby się coś gdzieś tu niedaleko, bez żadnej fatygi. I moglibyśmy, no...

Perry wstał.

— Chodź!

Wyciągnął rękę, żeby wręczyć kasjerce pięciodolarowy banknot, ale Joe wyrwał mu banknot i sam dał jej dziesięć dolarów. Pieniądze Perry'ego wsunął mu do tylnej kieszeni dzinsów. Perry uśmiechnął się i nic nie powiedział.

Na skraju parkingu stała budka telefoniczna. Perry wszedł do środka, nie zamykając za sobą drzwi. Joe oparł się o budkę i słuchał. Perry wykręcił numer i po chwili zaczął z kimś rozmawiać:

— Juanita? Mówi Perry. Perry! Tak jest. Słuchaj, Juanita, chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła. Nie krzycz tak, bo już mnie ucho boli. Odsuń słuchawkę od ust, bo mi pęknie bębenek... Słuchaj, czy jest Dolores? Nie, nie chcę z nią rozmawiać. Ale obudź ją, Juanita. Powiedziałem: obudź ją! Przyprowadzę jej kogoś miłego, to bardzo przystojny młody...

Juanita, nie odchodź, tylko słuchaj. Obudź ją i porządnie wykąp. Będziemy za jakieś pół godziny.

Powiesił słuchawkę. Joe stał z otwartymi ustami, kiwając powoli głową i nie mogąc uwierzyć własnemu szczęściu. Był jak dziecko, któremu ukazał się nagle anioł stróż.

— Perry, ty sukinsynu! — powiedział głosem drżącym z miłości.

W samochodzie, kiedy jechali już autostradą, Perry rzekł:

— Wiesz co, Joe, popsuleś mi wieczór.

Joe przestraszył się nie na żarty.

— Jak to? Co ja zrobiłem? — zapytał.

— Widzisz, największą przyjemność sprawia mi wydawanie na przyjaciół pieniędzy Marvinina. a ty nie pozwoliłeś mi zapłacić rachunku w knajpie.

Joe roześmiał się z ulgą.

— Nie — powiedział Perry — mówię poważnie. Więcej tego nie rób.

— Słuchaj, Perry, czy ten Marvin to jakiś twój krewniak?

— O nie, to tylko mój pracodawca. Marvin mnie zatrudnia.

— Aha! Aha, rozumiem. Jest twoim szefem.

Przez chwilę wszystko wydawało mu się jasne, ale kiedy przypomniał sobie scenę, która rozegrała się między Perrym a Marvinem, zdał sobie sprawę, że ta dodatkowa informacja wzmogła tylko zamęt w jego głowie.

— Szefem, tak?

— Tak jest. Marvin zatrudnia mnie, żebym mu świadczył bardzo specjalne usługi. Moim zadaniem jest przypominanie mu, jaki jest odrażający, a moje wynagrodzenie zależy od stopnia, w jakim mi się to udaje. Pierwszą taką pracę miałem kilka lat temu na wschodzie i wtedy nauczyłem się czegoś bezcennego. Nauczyłem się pod tym, co ludzie mówią, że pragną, dostrzegać to, o co naprawdę krzyczą w duszy. I to im daję.

Podał Joemu papierosa.

— Zapal mi, dobrze?

Joe pochylił się do przodu, jak najbliższej przedniej szyby, zapalił papierosa i włożył go Perry'emu między wargi. Perry zaciągnął się, wyjął papierosa z ust i mówił dalej:



— Okazuje się, na przykład, że ludzie, którzy wciąż tylko mówią, jak bardzo spragnieni są czułości, naprawdę chcą być traktowani brutalnie. Nie wiedzą tylko, jak to powiedzieć. Nie chodzi mi o ludzi, którzy pragną czułości, ale siedzą cicho. Mówię o tych, którzy paplają o tym nieustannie. Zapewniam cię, że gdyby traktować ich życzliwie albo chociaż przyzwoicie, to by się pochorowali. Z drugiej strony nie można wobec nich stosować zwyczajnej przemocy, bo choć w rzeczywistości uwielbiają gwałt, to jednak są zbyt tchórzliwi, żeby poddać się temu, czego pragną. Człowiek musi być diabelnie czujny, żeby dawkować im wszystko po łyżeczce, nigdy nie nazywając rzeczy po imieniu.

Nic nie może być po prostu tym, czym jest. Nawet kiedy czołgają się przerażeni u twoich stóp, muszą myśleć, że to miłość. Więc czasami poklepujesz ich po głowie. Ale nie za często. A później udajesz, że tego nie było. To samo z brutalnością — nigdy za wiele. Obiecuj im ją wzrokiem i zadawaj drobne ranki. Głębokich nigdy.

Z Marvinem idzie mi właśnie wyjątkowo dobrze. Na początku, to znaczy, zanim mnie poznał, miał się za coś rozmiarów i wartości glisty. Ale to była rola za godna dla niego, była mu ciężarem i doprowadzała go do rozpacz. A ja w ciągu kilku zaledwie miesięcy sprowadziłem go do stadium larwy — Marvin jest zachwycony tym osiągnięciem. Nie zauważyłeś tego? Czyż nie był zadowolony?

Ale, niestety, to już długo nie potrwa. Marvin jest zbyt ambitny. W końcu będzie chciał, żebym na niego nadepnął i zmiażdżył obcasem, kładąc kres jego istnieniu. Ale tego nie było w umowie. Znacznie lepiej sobie radzę przy stanach pośrednich, kiedy wymagana jest pewna doza subtelności; nie dla mnie młotki, noże i tym podobne narzędzia. Co więcej: Marvina nie stać na to, żeby zostać zamordowanym — nie z jego pensją. Choć jeśli szczęście mu dopisze, ktoś może stracić panowanie i załatwić go za darmo. Ale nie ja. Znam swój fach.

— Pewnie, że znasz — powiedział Joe. — I bardzo dużo wiesz. Perry, ile może mieć lat taki facet jak ty?

— Dwadzieścia dziewięć... Niedługo skończę sto.

— Cholera, ja mam dwadzieścia pięć — powiedział Joe.

— I serio, Perry, przepierdoliłem te lata. Choćby teraz — nie zrozumiałem połowy tego, co mówiłeś, wiesz?

— Joe, zdumiewasz mnie! Ale to mi się właśnie w tobie podoba, twoja dziewiczość.

— Nie, nie, Perry, nie jestem żadnym prawiczkim. Jestem głupi jak but, ale dup miałem na pęczki.

— Nie o tym mówię.

— Nie? To powiedz o czym. Kurwa, Perry, muszę się tego wszystkiego nauczyć!

Perry patrzył na niego tak długo, że Joe zaczął się niepokoić, czy samochód na nic nie wpadnie. Po chwili Perry znowu zwrócił wzrok na szosę, pokiwał głową, jakby ujrzał coś nie z tego świata, i powiedział niby sam do siebie:

— Nauczysz się, nauczysz.

W nagłym przypiływie wdzięczności i przywiązania Joe położył rękę na ramieniu Perry'ego i lekko je uściśnął.

— Jesteś najlepszym kumplem, jakiego miałem w życiu — powiedział.

To stwierdzenie wydało mu się niepełne, niedostateczne. Zapraǳął powiedzieć całą prawdę, mówić i mówić, dopóki choćby w części nie wyrazi swoich uczuć do Perry'ego.

— Słuchaj, jesteś nie tylko moim najlepszym kumplem, bo byłem, kurwa, w woju, znałem masę facetów, ale żaden nie był dla mnie taki jak ty. Wieziesz mnie teraz, żebym mógł wydupczyć jakąś babkę, a przedtem te hamburgery... Ale to wszystko się nie liczy! No nie, pewnie, że się liczy, ale najważniejsze, że rozmawiasz ze mną, mówisz: Joe to, Joe tamto. Nigdy jeszcze nie słyzałem o nikim, kto miałby takiego, no, takiego, kurwa, przyjaciela, właśnie przyjaciela! Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

— Rozumiem, Joe. Ale teraz zamknij się, dobrze?

Joe zdjął powoli rękę z ramienia Perry'ego i spojrział prosto przed siebie. Wstrzymał na moment oddech i zapytał:

— Za bardzo się rozgadałem, tak?

— Nie, wcale nie — rzekł Perry. — Ale teraz chcę, żebyś się zamknął. To wszystko.

— W porządku. Perry — powiedział Joe. — Przynajmniej tyle mogę zrobić.

## 9

Mały sportowy wóz skręcił z autostrady między parkingi zamieszkałych przyczep kempingowych, składy materiałów budowlanych, stare domy i małe fabryczki — bezładne skupisko, znane jako Newville w stanie Teksas — i wjechał na otwarte pole, pozbawione drzew, krzaków, w ogóle jakiegokolwiek roślinności — stał tu tylko stary, obszerny, drewniany dom, otoczony pasem nagiej ziemi. Żadna ścieżka czy podjazd nie prowadziły do niego. Wyglądał, jakby postawiono go tu przypadkiem, jakby był zabawką porzuconą przez olbrzymie dziecko, które jutro może nakręcić mechaniczny spychacz i zburzyć całą konstrukcję.

Perry zatrzymał przed nim wóz.

Kiedy wchodzili po stopniach, na ganku zapaliło się światło, otworzyły się drzwi, a w nich, przytrzymując drucianą siatkę, stanęło wysokie, niezgrabne indywiduum imieniem Tombaby Bosa Stopa.

Tombaby Bosa Stopa był to dziwacznie zbudowany, blady, jasnowłosy mieszaniec. Niewielka główka tkwiła na wąskich ramionach, ale od pasa w dół był wielki, masywny i ciężki. Miał na sobie szary podkoszulek z napisem „Harvard”, sprane, podarte levisy, tenisówki, a w uszach złote kolczyki.

— Cześć, Perry — powiedział.

Miał piskliwy, wysoki głos i teksaski akcent.

Z domu dobiegł gniewny ryk:

— Zgaś światło, królewno!

Tombaby uśmiechnął się.

— Mama chce, żebyście połamali nogi. Miła, co?

Przywitał się z Perrym i podał rękę Joemu.

— Joe — Tombaby Bosa Stopa — przedstawił Perry.

— Bardzo mi przyjemnie — rzekł blady Indianin, który sprawiał wrażenie obojnaka.

— Cześć, Tombaby — powiedział Joe.

Tombaby Bosa Stopa zaprowadził ich korytarzem do salonu. Poruszał się niezdarnie jak krowa cierpiąca na rozmięczenie stawów i zdawało się, że się lada chwila rozsypie, obróci w stos łokci i kolan. Wszedł do środka i odsunął się na bok.

— Witajcie w pałacu Matki Cholery — powiedział.

Salon umeblowany był ciężkimi, nieporęcznymi gratami z Grand Rapids, w stylu uważanym za nowoczesny w latach trzydziestych. Na kominku po obu stronach zdobionego cekinami wazonu z flagą amerykańską stały w ramach fotografie (wszystkie z autografami) ludzi dziś nieznanych, lecz z wyglądu sławnych, a na ścianach pomalowanych w ciemnoróżowe pasy wisiały oprawne oleodruki przedstawiające fragmenty fresków z plafonu Kaplicy Sykstyńskiej: przeważnie piersi, pośladki i ręce.

Na drugim końcu pokoju pośrodku kanapy siedziała w pozie Buddy ze skrzyżowanymi nogami niepozorna jędra w czerwonym atlasowym kimonie. Miała ogromne, bladoniebieskie załzawione oczy, czerwone od gorączki i podkrążone z niewyspania. Oczy te stanowiły jakby zbyt wielkie brzemię dla jej ciała: drapieżne, ruchliwe, pasowałyby prędzej do jakiegoś olbrzymiego potwora ze złego snu niż do drobnej kobiety w średnim wieku. Z ust, pociągniętych jedną krechą szkarłatnej szminki, sterczał żarzący się papieros.

— Perry! — zawołała niespodziewanie męskim głosem.

— Dobry wieczór, Juanito — powiedział Perry.

— Ładny mi wieczór! — odparła i zwróciła się do Joego: — Czołem, synu!

Podczas gdy Perry przedstawiał Joego Juanicie Collins -Harmeyer-Bosa Stopa, jej syn ulokował swoje cielsko w fotelu na biegunach i splótł ręce na brzuchu.

— Wstawaj, wstawaj! — krzyknęła Juanita, wymachując ręką. — Obsłuż gości, królewno, obsłuż gości. Whisky dla wszystkich!

Tombaby podniósł się z mniejszym wysiłkiem, niżby się można było spodziewać.

— Whisky dla wszystkich — powtórzył.

Wychodząc z salonu minął szczególny przedmiot oparty o ścianę przy drzwiach jadalni — wysoką na osiem stóp zabawkę przedstawiającą żyrafę. Joe wyobraził sobie, że Tombaby dosiada żyrafy i odjeżdża nie tylko z salonu, ale w ogóle z Teksasu, i że nagle

żyrafa ugina się pod jego ciężarem i ma miejsce straszna katastrofa — stos poobijanych kolan i połamanych kości. Podczas gdy borykał się z sytuacją powstała w jego wyobraźni, na jawie on i Perry usiedli w wysokich krzesłach naprzeciwko Juanity przy niskim stoliku z lustrzanym blatem.

— Ale musiałam się przez ciebie namachać, niech to diabli! — powiedziała do Perry'ego.

Perry uśmiechnął się.

— Jak zawsze, Juanito.

— Patrz!

Wysunęła brudną rękę z palcami poplamionymi nikotyną i paznokciami obgryzionymi do żywego ciała, pokazując dwa świeże zadrapania na wierzchu dłoni.

— Wściekła kocica! Podrapała mnie, kiedy ją budziłam.

Nagle zwróciła swoje wielkie oczy na twarz Joego:

— Lepiej dla ciebie, żebyś lubił kocice, słyszysz?

Joe uśmiechnął się. Zrobiło mu się jednak niedobrze. Słuchając Juanity, ujrzał w wyobraźni zagłodzoną półkobietę półtygrysy, przemierzającą tam i z powrotem klatkę. Nie pragnął jej, nie pragnął żadnego zwierzęcia, Chciał jakiejś miękkiej, pulchnej, łagodnej istoty z miłymi krągłościami, wśród których mógłby się schować.

— Bo nic innego tu nie ma — dokończyła Juanita i zwróciła się do Perry'ego: — Myślisz, że to może być niebezpieczne? — zapytała, demonstrując podrapaną dłoń. — W zeszłym tygodniu ugryzła mnie. Do krwi!

Tombaby Bosa Stopa wrócił z butelką Old Overholt i ze szklankami po marmoladzie.

— Opowiedz, co jej zrobiłaś, mamó. Chętnie posłuchamy.

— Co on powiedział? Wymądrza się? Pewnie się wymądrza? — spytała Perry'ego, po czym odezwała się do mieszańca: — No dalej, dalej, posepleń sobie jeszcze!

Tombaby podał jedną szklankę Perry'emu, a drugą wyciągnął do Joego. Sam łyknął haust z trzeciej ruszył w stronę fotela na biegunach.

Juanita porwała ze stolika ciężką kryształową patere.

— Królewno! — krzyknęła groźnie, zamierzając się kryształem.

— Och! — Tombaby udał zdziwienie. — Przepraszam cię, mammo! Zupełnie o tobie zapomniałem.

Postawił przed nią na stoliku swoją szklanę, a sobie nalał następną.

Juanita odstawiła paterę i wzięła szklanę.

— Włącz muzykę! Co to jest, burdel czy zakład pogrzebowy?

— Słuszne pytanie — powiedział Tombaby. — Jeżeli ty, mammo, masz być główną atrakcją, to chyba można rzec, że to skrzyżowanie...

— Stul pysk! — od ryku Juanity wszystko się zatrzęsło.

Tombaby opuścił salon.

— Żeby nie było nieporozumień — powiedziała Juanita do Joego — zawsze wyjaśniam nieznanym, że ten kogut z tłustym zadem nie jest moim synem, o nie! To skutek pomyłki jakiejś niewydarzonej pielęgniarce — niech ją cholera — na nocnym dyżurze w szpitalu w Shreveport. Zamieniła niemowlęta! Myślisz, że mogłabym z czegoś takiego żartować? Pamiętam każdy szczegół tej nocy, nocy, kiedy Darlington, zrobił mi dzieciaka, pamiętam różne sprawy, o których inni pozapominali, mam idealną pamięć, pamiętam, gdzie to się stało, jak leżałam, co czułam, co się działo potem, Darlington Bosa Stopa i ja leżeliśmy na ganku jego domu, cały świat do nas należał, piliśmy i patrzyliśmy na księżyc. Pamiętam wszystko dokładnie, jakby to było dziesięć minut temu. Nikt mi nie powie, że właśnie biedny Tombaby ma być pamiątką po takiej nocy. W dodatku mój dzieciak, kiedy go urodziłam, miał czarne włosy. Wiem, nie spałam przecież! Widziałam, jak ze mnie wychodził — miał czarne włosy! A jakie niby miał mieć syn Darlingtona Bosej Stopy z Brownsville, może różowe! Kurwa! Nazajutrz rano przynieśli mi do karmienia to paskudztwo — sama gęba i tyłek. Mówię ci, na ten widok cycki wyschły mi z przerażenia. Patrz!

Rozchyliła poły czerwonego kimona, pokazując obwisłe piersi.

— Myślisz, że żartuję? Od tamtego dnia do tej pory ani kropli mleka: suche jak wiór!

— Cała ta opowieść — powiedział Tombaby Bosa Stopa, wychodząc z jadalni, z której właśnie zaczęła dobiegać piosenka „Ona kołysze łodzią moich marzeń” zespołu Ink

Spot — sprowadza się do tego, że chciała pokazać swoje nędzne cyce. Gdyby miała czekać, aż ktoś ją o to poprosi... no, sami wiecie, jak długo by to trwało.

Juanita podniosła brwi, nasłuchując uważnie.

— Słyszałam każde słowo tej zniewagi, półgłówku! Przebrała się miarka! Niech cię Bóg ma w swej opiece, niech cię Bóg ma w swej opiece!

— Nie, mamó, źle mnie zrozumiałaś...

— Co on powiedział, co on powiedział? Powtórz, Perry.

— No, powiedział — zaczął Perry wymawiając dobitnie każde słowo — że Dolores powinna już być gotowa. Ja też tak myślę.

— Pewnie, pewnie. No więc Darlington Bosa Stopa spojrzał na to paskudztwo i... Czujesz? Urodził się w czepku, ale tak cuchnącym, że musiałam zatykać nos, kiedy się do niego zbliżałam. W każdym razie Bosa Stopa, jak tylko go zobaczył, od razu wziął nogi za pas, jakby go wymiotło. Czy mogę mu to mieć za złe? No, bo spójrz na to z jego punktu widzenia: ojciec Darlingtona był wojownikiem, indiańskim wojownikiem! Więc co miał Darlington zrobić do jasnej cholery? Zabrać to cudo — pannę Wyschnięte Cycki, czyli mnie — do swojego plemienia i pokazać wszystkim dzieciaka? Akurat!

— I dlatego — wtrącił Tombaby — mama. która po tych przejściach i tak musiała leżeć w łóżku, nie miała najmniejszych kłopotów z zarabianiem na życie, musiała jednak ograniczyć się do gości z zaburzeniami wzroku, czyli do pijaków, ślepców i tym podobnych.

Mrugnął niewinnie do matki i pomachał jej ręką.

— Właśnie opowiadam — oznajmił podnosząc głos — jak ciężko zawsze pracowałaś na moje utrzymanie.

Nagły ruch na kanapie, błysk czerwonego rękawa i szklanka whisky wylądowała w fotelu na biegunach. Jasnowłosy mieszaniec zdążył jednak opuścić fotel. Podniósł szklankę, całą, choć teraz pustą, i spojrzał na matkę.

— Może chciałabyś się napić?

— Powiedzieć ci, dlaczego go toleruję? — spytała Juanita Joego. — Bo go kocham jak rodzone dziecko! Powiesz, że jestem głupia. Wiem, ale się z tym nie kryję.

— Ja też cię, Kocham, mamó — rzekł Tombaby. — Kocham też, no, na przykład węże, policjantów, wojnę, wielkie włochate pająki i co jeszcze? Ach, wiem! Raka odbytnicy!

— Wszystko, co mi mówi, nawet te najgorsze obelgi, wynikają z miłości i szacunku. Prawda, Tombaby?

Solista zespołu Ink Spot dopytywał się teraz falsetem: „Gdy kładą się wieczorne cienie, czy myśl o tobie odbiera mi sen?” Gdzieś w głębi domu trzasnęły drzwi.

— Dolores na ciebie dzwoni — powiedział Indianin do matki.

— Idź, przygotuj ją. Powtórz jej, że powiedziałam: *ahora mismó*.

Tombaby znów wyszedł, a Juanita mówiła dalej:

— Biedactwo, co z nim będzie, Perry? Tak się martwię! Ile razy jedzie do Nowego Orleanu, do Dallas czy gdzie indziej, żeby znaleźć robotę, zawsze napatoczy się jakiś glina, który wygania go stamtąd do mamuśki. Aż mi się serce kraje. Naturalnie daję mu tu pracę, ale może jestem dla niego za pobłażliwa? Wrócił właśnie z Pensacola. Nie było go trzy miesiące, już chciałam dziękować Bogu, że się go pozbyłam. Nie wiem, co się stało w Pensacola, nie chce mi powiedzieć. Jest brzydki, jest pedałem, nawet Kaczor Donald jest zgrabniejszy od niego. Nikt nie chce na niego patrzeć, tylko ja. Co mogę zrobić? Posłałam go do szkoły fryzjerskiej, ale choćby się go miało zabić, nie potrafiłby ułożyć jednego loka! Ledwie umie tyłek sobie podetrzeć. Pomyśleć tylko, ile ja się przez niego nacierpiałam, a przecież nie jest nawet moim dzieckiem! Powiem wam, co z nim jest nie tak, jeżeli chcecie wiedzieć: zła krew, a na złą krew, niech to cholera, nic nie można poradzić!

Wyciągnęła z pudełka na stoliku papierową chusteczkę i wytarła nią nos.

— Wiem, wiem, w takim interesie nie powinno się płakać. Ale jestem uczuciową kobietą i do cholery ciężkiej mogę robić, co chcę, a jak się komuś nie podoba, to może mnie pocałować w dupę!

Dopiła whisky ze szklanki Tombaby'ego i kiedy alkohol zaczął rozchodzić się po jej ciele, zgarbiła się wysuwając do przodu ramiona, odchyliła w tył głowę, zaciśnęła mocno wargi i przymknęła oczy. Potem niby kapłanka tajemnego kultu odetchnęła głęboko i wskazując szybkimi ruchami głowę, gardło, piersi i brzuch, powiedziała:



— Tu boli, tu boli, tu boli, tu boli. Kogo to obchodzi? Mnie na pewno nie! Gwizdź na ból. Podaj mi butelkę, Perry!

Tombaby Bosa Stopa wrócił kołysząc się wdzięcznie i opadł na fotel.

— Dolores pytała — oznajmił z wyraźną satysfakcją — ile señor ma lat. Powiedziałem, że jakieś siedemdziesiąt trzy. Teraz beczy.

Musiał to powtarzać, dopóki Juanita nie usłyszała. Wtedy wyprostowała nogi i podniosła się. Kiedy wstawała, Joemu mignęły jej kolana, podobne do kolan jego babki, ale z pewną różnicą — kolana Juanity, choć równie kościste, nie miały w sobie nic żalosego.

— Słuchaj — powiedziała do niego — pewnie sobie pomyślisz, że jestem okropnie źle wychowana, ale muszę teraz zabrać Perry'ego do kuchni, bo chcę mu coś szepnąć w sekrecie.

Pragnąc być uprzejmy, Joe skinął przyzwalająco ręką i nadał twarzy wyraz, który miał dać do zrozumienia Juanicie, że zwyczaj prowadzenia prywatnych rozmów w kuchniach burdeli jest mu od dawna znany.

Wychodząc z salonu, Juanita zatrzymała się przy krześle, na którym siedział, i przyjrzała mu się z bliska. Potem, wciąż mu się przypatrując, kiwnęła głową i powiedziała:

— Chłop na schwał, chłop na schwał! Gdyby mój był taki, pojechałabym z nim na wschód do Nowego Jorku. Tam podobno same pedały; pedały, forsa i wygłodniałe babki. Z takim ogierem w stajni zarobiłabym ładny kawał forsy.

Wzruszyła ramionami i podeszła do drzwi.

— Ale widzicie; co mam!

Dźgnęła kciukiem powietrze, wskazując Tombaby'ego Bosą Stopę, a następnie razem z Perrym ruszyła przez jadalnię w głąb domu.

Joe nie miał najmniejszych wątpliwości, że kobieta, która przed chwilą wyszła z salonu, jest osobą przerażającą. To, co mówiła, było dość okropne, żeby jądra Tombaby'ego skurczyły się jeszcze dziesięć razy bardziej, a poza tym była najwyraźniej gruboskórną i pod każdym względem wstrętną egoistką. Natomiast w ustach Tombaby'ego Bosej Stopy, który siedział teraz z rękami splecionymi na brzuchu niczym

dobrotliwa babunia, tkwił cięty, złośliwy, ostry jak brzytwa język; szedł w parze z sercem przepelnionym żółcią. Nawet i sam dom z szeregiem pogrążonych w ciemnościach pokoi był groźny jak gniazdo żmij, ale mimo to Joe wprowadziłby się do tych ludzi bez chwili wahania. Bo nie mieszkali tu samotnie, w pojedynkę, ale we dwoje, wspólnie dzielili okropności domu i swoich charakterów. Widział wyraźnie w ich związku — choć nie wiedział, jak nazwać to uczucie (miłością? nienawiścią?) ani skąd się wzięło, ani dokąd może zaprowadzić — jakąś bezcenną gwarancję bezpieczeństwa.

Poczuł, że łagodne oczy mieszańca wpatrują się w niego. Podniósł do góry szklankę i powiedział:

— No, twoje zdrowie, Tombaby!

Tombaby nie miał szklanki. Poruszał nerwowo dłońmi spoczywającymi na brzuchu i z wilgotnym uśmiechem na ustach przyglądał się Joemu.

— A tak, moje zdrowie — powiedział i nadal się uśmiechał, nadal patrzył.

Po pewnym czasie, wystarczającym, żeby Andrews Sisters odśpiewały „Kapliczkę świętej Cecylii”, zjawiała się Juanita.

— Synu! — powiedziała, zapraszając gestem Joego. — Chodź, chodź! Mamy coś dla ciebie!

Przeprowadziła Joego przez jadalnię i wyszła z nim na długi, ciemny korytarz. Zatrzymali się przy zamkniętych drzwiach na samym jego końcu. Juanita uderzyła w nie wierzchem dłoni.

— Hej, Dolores! — zawołała, po czym odwróciła się do Joego. — Idź, synu, i baw się dobrze.

Przekreśliła gałkę u drzwi i popchnęła go lekko do przodu.

W kącie pokoju stała niska, ciemna, ładna, najwyżej siedemnastoletnia dziewczyna. Miała na sobie długi granatowy szlafrok, którego poły zaciskała kurczowo, jakby dla osłony. Patrzyła na Joego z lękiem i wrogością — zdawała się szukać sposobu, żeby go do siebie nie dopuścić.

Joe zamknął drzwi i zrobił krok w jej stronę. Dziewczyna zeszywniała.

— O co chodzi, panienko? — zapytał.

Nie odpowiedziała.

Zdezorientowany, odwrócił się, żeby wyjść z pokoju, ale kiedy dotknął ręką klamki, dziewczyna zawołała:

— Nie!

Zwrócił się znów do niej. Przez chwilę wpatrywała się w niego badawczo. Lęk i wrogość znikły z jej twarzy, ustępując miejsca rezygnacji. Stała do Joego plecami i zaczęła wolno rozwiązywać szlafrok. Kiedy go zdjęła, podeszła szybko do łóżka — patrząc na to, Joe miał wrażenie, że odbiera jej coś cennego. Położyła się na wznak i utkwiała wzrok w suficie. Leżała nieruchomo.

Joe zbliżył się po chwili i popatrzył na jej twarz. Dziewczyna unikała jego wzroku.

Starał się nie patrzeć na jej nagość, bo czuł, że nie został do tego tak naprawdę upoważniony, ale spojrzenie wymykało mu się spod kontroli, oczy obiegały szybko łóżko — widział przyjemnie pulchne, oliwkowokremowe ciało z miękkimi krągłościami: dwie z

nich były zakończone idealnymi rozetkami, a trzecia, najmniejsza, tajemnicza, porośnięta była kępką ciemnych włosów. Wyciągnął przed siebie ręce.

— Panienko, ja... hm...

Pragnął coś powiedzieć tej dziewczynie, coś ważnego, głębszego od myśli, pewną prawdę o sobie: to, że kochanie się z kobietą stanowi jedyny specjalny użytek, jaki znalazł dla siebie, i dlatego nie może wziąć jej tylko dla własnej rozkoszy — za wiele by się wtedy straciło. Ale te sprawy, ledwie uchwytnie dla osób bezpośrednio zaangażowanych, trudno jest ująć w słowa.

— Nie wiem.... chyba że ty masz ochotę, bo tak, to może byśmy...

— Nie mówić — powiedziała. — Nie rozumieć.

Joe obszedł łóżko i zatrzymał się obok zrzuconego przez nią szlafroka. Podniósł go z podłogi i przykrył nim dziewczynę. Popatrzyła na Joego ze zdziwieniem. Potrzęsnał powoli kilka razy głową, usiłując przekonać ją o swoich skrupułach. Spojrzała na niego badawczo, doszukując się podstępów. Joe poczęstował ją papierosem. Odmówiła, więc zapalił sam.

Dziewczyna długo patrzyła na niego, po czym podniosła głowę, oparła się na łokciu i znów spojrzała w jego stronę.

— Hej! — zawołała i poklepała miejsce na łóżku obok siebie.

Joe zbliżył się i usiadł koło niej. Wyjęła mu z palców papierosa i zgasiła o blat nocnego stolika, pozostawiając jeszcze jeden czarny ślad na klonowym fornirze.

Wzięła rękę Joego, pocałowała ją i uśmiechnęła się. Joe pocałował jej rękę. Wtedy znowu wzięła jego rękę i po kolei pocałowała każdy palec. Joe zrobił to samo, a potem pocałował jej otwartą dłoń. Przez długi czas patrzyli sobie w oczy, aż dziewczyna zmarszczyła brwi i łzy ukazały się na jej rzęsach. Ona też najwyraźniej chciała coś powiedzieć, coś, co nie miało zostać powiedziane — nie tej nocy, nie do Joego Bucka, może nigdy i do nikogo.

Joe pochylił się nad nią i zlizal jej łzy. Odsunął twarz i uśmiechnął się, pokazując wspaniałe białe zęby, a wtedy dziewczyna roześmiała się. Zaczęła ściągać z niego ubranie.

Chwilę później leżeli razem, wymieniając uściski, pieszczoty i pocałunki, badając, próbując i dotykając się nawzajem. Na moment wstrzymali oddech — był to moment

skupienia i czułości, niebezpieczny i ważny. A potem oboje jednocześnie zaczerpnęli powietrza. Wtedy objęli się mocno i rozpoczęły się owe powolne, powolne, powolne ruchy, tam i z powrotem, tam i z powrotem, które spowodowały, że oczy dziewczyny zaszły mgłą. Aż w pewnej chwili Joe zatrzymał się i czekał, czekał, czekał — wtedy dziewczyna wykrzyknęła słowa miłości w swoim własnym języku. Zrozumiał je jednak — i kiedy uznał, że czeka już dostatecznie długo, zaczął wznosić dla niej coś najwspanialszego, co mógł jej ofiarować.

Nagle przestał się poruszać.

Dziewczyna zacisnęła kurczowo palce na jego ramionach.

Joe leżał nasłuchując z głową przekrzywioną na bok. I nagle cofnął się tak gwałtownie, że dziewczyna krzyknęła z bólu, zerwał się z łóżka i spojrzał na szafę w ścianie przy samym rogu pokoju. Drzwi były uchylone.

Dziewczyna usiadła na łóżku.

— Hej! Hej! Oszalaleś?

Ale Joe stał bez ruchu. Po chwili drzwi pchnięte od wewnątrz otworzyły się na oścież i zobaczył, że nie jest to szafa w ścianie, tylko sąsiedni pokój.

Na stołku siedział Perry. Za nim stała Juanita, a nad obojgiem górował Tombaby Bosa Stopa.

Perry uśmiechał się.

— No dalej, Joe — powiedział. — Nie przeszkadzaj sobie.

Sekundę później leżał na podłodze, a nagi Joe siedział mu okrakiem na piersiach i okładał go pięściami po twarzy, ścierając z niej uśmiech. Dziewczyna krzyknęła przeraźliwie, ale sam Perry nie stawiał żadnego oporu. Patrzył wyzywająco Joemu prosto w oczy, najwyraźniej usiłując pobudzić go do jeszcze większego gniewu. Juanita wykrzykiwała jakieś krótkie, niezrozumiałe zdania, złożone z przekleństw i hiszpańskich słów. Joe zatrzymał się na chwilę z pięścią wzniesioną nad twarzą Perry'ego.

— Przestań się uśmiechać — powiedział prosząco. — Już przestań. Błagam cię.

Ale Perry nie chciał przestać, więc ciosy posypały się znowu. Dziewczyna stanęła za plecami Joego i z całych sił ciągnęła go za ramiona; Juanita i Tombaby przyłączyli się do niej. Joe poczuł na swoim nagim ciele trzy pary rąk, które oderwały go od leżącego

pod nim okrwawionego mężczyzny. Szamotał się, żeby się uwolnić, gdy naraz czyjaś pięść uderzyła go w żołądek. Była to pięść Juanity. Dech mu zaparło. Zgiął się w pół, usiadł na krawędzi łóżka i usiłował zaczerpnąć choć trochę powietrza. Jego pochyloną głowę otaczał krąg nóg, zamykając go jakby w celi. Wciąż czuł na sobie ręce, z których jedna para, miękka i wilgotna, głaskała go po plecach i udach. Od bólu w dołku i od dotyku tych rąk zrobiło mu się niedobrze — charczał, wstrząsały nim mdłości. Ale nie wymiotował. Ręce wciąż go głaskały — jedna rozpoczęła przedziwne manipulacje, które zaskoczyły go i napełniły nieprzytomnym przerażeniem. Gdy więc udało mu się wreszcie zaczerpnąć odrobinę powietrza, zebrał się w sobie do dalszej walki. Ale w tej właśnie chwili jakiś głos, głos Juanity, powiedział donośnym szeptem:

— Jak chcesz, Tombaby, to teraz, inaczej nic z tego! Rozległ się głośny trzask, wszystko znikło i zaraz ukazało się znów, ale w całkiem innej perspektywie.

Pokój stał się teraz głębokim dołem podobnym do studni, a Joe leżał na dnie i patrzył w górę. Nie, to tylko jego głowa była na dnie. Wszystko inne, nawet jego ciało na łóżku, było wyżej. Za palcami u nóg, wysoko na szczycie, stali ludzie: mieszaniec i jędza. Klócili się o coś, ale nie mógł rozróżnić słów. Miał wrażenie, że zanurzono mu uszy w jakiejś cieczy nie przepuszczającej dźwięków. Potem jędza znikła i został sam z pochyloną nad nim wielką, żółtawą bryłą, która wyciągnęła do niego ramiona. Tłusty kształt przysłonił zupełnie otwór dołu — zrobiło się ciemno i Joe nic już nie widział. Bryła odcięła mu też dopływ powietrza — ale z trudem chwytając oddech Joe przekonał się, że w dole zostało dość powietrza, żeby mógł oddychać. Pragnął jednak za wszelką cenę światła i napinał mięśnie szyi, żeby podnieść głowę i wyrwać się z mroku.

Stopniowo uświadomił sobie, że tam, wysoko, ktoś mu pomaga, usiłuje wyzwolić go z udręki i ciemności. Czuł, że przez otwór studni jakaś nadludzka siła ciągnie go powoli do góry, do góry, do góry, używając jego męskości jako uchwytu. Im bliższa była chwila wyzwolenia, tym cięższy był do zniesienia obecny brak swobody. Walczył, robił, co mógł, żeby dopomóc sile ciągnącej go do góry, wspierał ją pracą wszystkich mięśni. I naraz, w chwili gdy uświadomił sobie, co się z nim czyni, coś się w nim załamało, zrozumiał, że walczył zbyt zapamiętale i wszystko w tym wysiłku utracił. Czuł, jak życie tryska z niego niepohamowaną strugą — i wstyd mu było, ale zarazem przyjemnie, że

walka już skończona. Ale nie wygrał jej, bo w otworze dołu nic nie było widać, a on wciąż leżał na dnie, tam gdzie...

„Perry mnie wepchnął — powiedział sobie w myśli. — Perry, mój przyjaciel, wepchnął mnie do dołu”.

„Nikt mnie już nie wepchnie do dołu! Może i jestem gównem wart, ale od tej chwili, jeżeli komuś jeszcze strzeli do łba, że może wrzucić mnie do kibla i spuścić z wodą, to lepiej niech uważa!" Joe patrzył gniewnie w lustro. Od dwóch dni nie wychodził ze swojego pokoju. Był blady, brzuch go bolał z głodu, miał guza z tyłu głowy. Ale nawet w tym żalonym stanie ani na chwilę nie opuszczała go pewna, całkiem nowa myśl: mianowicie, że na całym świecie jest tylko jeden człowiek, któremu leży na sercu dobro Joego, wyłącznie Joego.

— Kowboju — powiedział do swojego odbicia, wymawiając to słowo z gorączkowym entuzjazmem, bardzo zbliżonym do miłości — będę się o ciebie troszczył, będę harował dla ciebie jak wół, będę cię rozpieszczał aż strach. Widzisz tę latrynę, którą tu nazywają pokojem? Niedługo się stąd wyprowadzisz. Głowa ci się zgoi, możesz być tego pewien.

Podobała mu się stanowczość przebijająca teraz z jego głosu i radował się widząc w swoim spojrzeniu coś nowego, coś niepokojącego i niebezpiecznego.

W ciągu tych dwóch dni Joe sam, bez niczyjej pomocy, odkrył w sobie nowe źródło energii. Wszystkie urazy, duże i małe, dawne i nowe — uraza do Perry'ego nie miała tu specjalnego zszaczenia, spełniła tylko funkcję zapalnika — zlały się razem, tworząc krzepiącą, niemal odurzającą mieszankę: furie. Przejrzał — niby rzeczy przechowywane w walizce — lata swojego życia, szukając w nich wspomnień, które miały posłużyć mu jako paliwo dla nowej, gniewnej siły. Okazało się, że wszystko, o czym tylko pomyślał, nadawało się idealnie do tego celu, i utwierdziło go to w przekonaniu, iż źródłem obojętności świata wobec niego była po prostu wrogość. Nie wiedział, skąd się brała, ale najwyraźniej miał w sobie coś, co wszystkich odstręczało od niego. Uczucie, wciąż czające się pod powierzchnią, że jest człowiekiem bez własnego miejsca na ziemi, kimś obcym nawet pod czerwono-biało-granatową flagą swego kraju, nawet w mieście, w którym się wychował, było jednym z wielu, z którymi jego rozum nie potrafił się uporać.



Zawsze — nawet po miejscach dobrze mu znanych — poruszał się marszcząc z zakłopotania brwi, wciąż nasłuchując, starając się znaleźć jakiś klucz do prawdziwego znaczenia mowy, którą słyszał wokół siebie, ale która najwyraźniej nie była jego mową — stąpał ostrożnie, jakby niepewien gruntu pod nogami na tej dziwacznej planecie. Teraz, gdy zastanawiał się nad wszystkim dokładnie, choć niewprawnie, stało się dla niego jasne, że od samego początku istniał spisek, którego celem było uświadamianie mu zawsze i wciąż, zawsze i wciąż, że jest kimś obcym. Doszedł też do okropnego wniosku, iż wszyscy, którzy go kiedykolwiek znali, musieli w tym spisku brać udział. Nawet ci — a było ich sporo — wśród których cieszył się pewnym wzięciem erotycznym; zwłaszcza ci nie chcieli mieć nic wspólnego z innymi stronami jego istoty, chcieli tylko doznań zmysłowych, po których uciekali od niego czym prędzej, śmiejąc się pewnie z sumienności, z jaką starał się ich zaspokoić. Dlatego też myślał o nich ze szczególną furią, choć nie pomijał też wielu innych. Wspominał po kolei osoby, grupy i instytucje, które budziły w nim ten straszliwy gniew — nauczycieli ze szkoły, wojsko, różowego szefa z baru samoobsługowego, paczkę Adriana Schmidta i tak dalej. Przeważająca większość była bezimienna. Należeli do niej prawie wszyscy, z którymi kiedykolwiek chodził do szkoły, a także dziesiątki urzędników, funkcjonariuszy i nieznajomych, którzy obeszl się z nim kiedyś szorstko, z wyższością albo w ogóle go zignorowali. Lista rosła gwałtownie, aż znalazły się też na niej budynki, banki i biblioteki, których funkcji dobrze nie rozumiał, a których pracownicy traktowali go zawsze tak, jakby myśleli, że przyszedł obrabować albo zbezczścić daną instytucję. W końcu doszedł do wniosku, że należy wciągnąć na tę listę całe Albuquerque, i wtedy postanowił posunąć się do uogólnień: skoro Houston nie jest lepsze od Albuquerque, to śmiało mógł założyć, że Hongkong, Des Moines czy Londyn nie są lepsze od Houstonu. Rozumując dalej w ten sam sposób, pokrył szybko mapę całego świata barwą swojej furii.

Poczuł jednak, że uogólniając w ten sposób, niechcący coś upiększył lub pominął — jakieś wyjątkowo wredne bydlę bawiło się w chowanego z jego pamięcią. Ale kto to mógł być? Albo może co?

I wtedy przypomniał sobie Sally Buck.

Sally Buck przy telefonie:

— Joe, jak się masz, kochanie... To ładnie, słuchaj, kończę dziś późno pracę, będę pewnie bardzo zmęczona, więc może wstąpię na piwko tu obok, do baru „Koń i Siodło”...

— To ty, skarbie? Jak się czujesz? Słuchaj, twoja babcia jedzie się bawić do Santa Fe, chyba znalazłam sobie nowego kawalera, co ty na to? Dasz tam sobie radę beze mnie, prawda?

Sally Buck w drzwiach swojego pokoju:

— Chyba rąbnę się do łóżka, mój śliczny, nareszcie się porządnie wyśpię. Dobrze się bawiłeś? Lepiej opowiesz mi o tym jutro rano, bo teraz jestem taka zmęczona, że nic do mnie nie dociera.

Sally Buck w salonie kosmetycznym:

— Słuchaj, najdroższy, poczekalnia jest dla klientek, a sam wiesz, jakie one są, więc jeżeli chcesz, weź to pismo do domu i pamiętaj, nie szalej za bardzo.

— Hej, słonko, nie czekaj na mnie! I tak muszę jeszcze wpaść do Molly i Eda. Zaśniesz beze mnie?

— Znowu stopnie? Przecież podpisywałam ci zaledwie tydzień temu! Co już następny okres? Mój Boże, ale ten czas leci, gdzie mam podpisać, tu z tyłu? Gotowe! A teraz zmykaj, mój mały, muszę klientce zrobić trwałą.

Sally Buck. Nie pamiętał już, dlaczego tak bardzo ją kochał — głupia, stara, pomarszczona trajkotka, która nie potrafiła usiedzieć w miejscu, wciąż tylko przytykała do nosa uperfumowaną chusteczkę, żeby nie czuło się od niej alkoholu (choć to nie pomagało), wyciągała z portfela dolarowe banknoty, żeby tym sposobem wykpić się z obietnic, a ile razy chciał jej coś powiedzieć, natychmiast chwytła za puderniczkę albo zbierała z sukienki nitki. Jedyne, co w jego pamięci przemawiało na jej korzyść, to wspomnienie jej patykowatych łydek i dużych, kościstych kolan, które wyglądały tak żałośnie, kiedy zakładała nogę na nogę. Nawet kiedy ukazała mu się w pokoju hotelowym w Albuquerque jako duch, też nie interesowała się właściwie losem Joego. Siedziała tylko i martwiła się o odzyskanie domu czy upadkiem z konia albo jeszcze czymś tam.

„Idź sobie, Sally, stara idiotko! — pomyślał. — Idź do diabła! I przy okazji zakręć mu loki... Gównno!”

Ale kto — Joe nie dawał za wygraną, pragnąc bezstronnie rozpatrzyć sprawę, a tym samym udowodnić czarno na białym, że ma słuszność — kto kiedykolwiek uważał go za człowieka, z którym warto zamienić słowo? Kto? No, kto? Przypomniawszy sobie dwie twarze i kowbojską piosenkę. Twarze odrzucił: jedna należała do dziewczyny zamkniętej w domu wariatów, a właściciela drugiej, jeżeli w ogóle kiedyś żył, nie było na ziemi od prawie dwóch tysięcy lat. Zostało mu: „Chodź tu, mały piesku, chodź tu, chodź tu...”

Woodsy Niles!

Woodsy Niles najwyraźniej stanowił wyjątek. Ale co Joemu teraz po nim? We wspomnieniach był postacią świetlaną i nieskazitelną — aż zanadto, żeby można było teraz w to uwierzyć. Tak naprawdę wiecznie uśmiechnięty, pachnący tytoniem i brzdąkający na gitarze Woodsy był już tylko wspomnieniem z czasów dzieciństwa, z dawno minionego lata, zbyt rzadkim wyjątkiem, żeby zająć trwale miejsce w jakimkolwiek praktycznym światopoglądzie. Joe tedy wyrzucił poza obręb swoich myśli wesołą brodatą twarz Woodsy'ego Nilesa i duże kościste kolana Sally Buck — te wspomnienia były niebezpieczne, łagodziły jego gniew, a Joe rozumiał już, że jeżeli ma radzić sobie na tym świecie, potrzebna mu będzie cała złość, na jaką tylko potrafi się zdobyć.

Joe pracował teraz w barze „Słoneczko” coraz szybciej i intensywniej. Z gorączkowym pośpiechem ładował naczynia na tace, a tace ciskał na taśmę. Zupełnie tak, jak gdyby musiał wrzucić tyle to a tyle milionów naczyń w buchającą parą paszczę zmywarki, a wtedy zaspokojony automat wypluje dosyć pieniędzy, żeby...

Joe niezbyt wiedział, na co mają pójść te pieniądze. Wiedział tylko, że musi zebrać trochę forsy, żeby sprawy ruszyły z miejsca. Pracował z uporem człowieka mającego konkretny plan. Ale nic sobie jeszcze nie zaplanował.

Trzy razy na tydzień chodził rano do klubu sportowego i ćwiczył zawzięcie — trenował na worku bokserskim i osiem razy przepływał tam i z powrotem basen. Wiedział, że jego ciało nabiera nowej siły i zwinności. Masował skórę głowy i poświęcał wiele czasu swoim włosom. Opętało go pragnienie skompletowania garderoby utrzymanej w kowbojskim stylu — w dzień i w nocy towarzyszyło mu uczucie, że wszystko obróci się na lepsze, kiedy stworzy sobie nową osobowość. Wiedział, że chce stać się kowbojem, ale nigdy nie zapytywał siebie, w jaki sposób zmieni to jego bytowanie. Istnieje legenda indiańska mówiąca, że raz w życiu młodzieniec widzi we śnie maskę; po przebudzeniu

powinien wyrzeźbić taką samą, by ją włożyć, gdy wkroczy na ścieżkę wojenną. Wtedy zwycięży.

Można by sądzić, że Joe miał taki sen i całą energię poświęcał teraz na rzeźbienie zaczarowanej maski.

Nie tracił już czasu na ponure myśli, na tęsknotę za ludźmi. Skoro nie miał na całym świecie nikogo bliskiego, to za kim miał tęsknić?

W nocy po wyjściu z baru często wałęsał się na pozór bezcelowo po mieście. Ale dla Joego wędrówki te bynajmniej nie były pozbawione celu. Gdyby zagadnięto go, co robi, zbyłby to pytanie, tak jakby przyczyna jego spacerów leżała głębiej, niż można sięgnąć słowami. Jednakże, chodząc po mieście, najwyraźniej czegoś szukał. Rozglądał się uważnie niczym indiański zwiadowca, obserwując bacznie nocne ulice Houston. Z tego, co widział, niewiele warte było zapamiętania. Większość obrazów, które przewijały się mu przed oczyma, nie zostawiała śladu trwalszego niż odbicie na powierzchni lustra.

Z wielu nocnych wędrówek trzy obrazy wryły mu się głęboko w pamięć i raz po raz stawały mu przed oczami:

Jeden to oświetlona sylwetka młodego aktora z Hollywoodu, reklamująca film. Wielka na dwa piętra, kolorowa postać stoi na dachu kina — nogi ma szeroko rozstawione, biodra wysunięte do przodu, na opalonej twarzy groźny mars, rewolwer podniesiony do strzału. Gruba lśniąca lufa mierzy wprost w patrzącego — lada chwila wypali.

Drugą pozycją w nocnej kolekcji była krótka scenka, która rozegrała się na skrzyżowaniu ulic. Długi biały kabriolet stoi na czerwonym świetle. Kobieta za kierownicą patrzy na wysokiego, przystojnego, ubranego po kowbojsku młodzieńca, który stoi przy krawężniku. Silnik kabrioletu gaśnie. Ale kobieta wciąż patrzy na młodzieńca.

— Nie dam rady ruszyć bez pomocy — mówi po chwili.

— Jasne, maleńka — powiada młodzieniec.

Trzeci obraz, jaki Joe zapamiętał ze swoich spacerów, był jedynym, który wspominał niechętnie. Ale czy mu to odpowiadało, czy nie, obraz należał do kolekcji i Joe nie mógł go zapomnieć. Był to duży plakat przedstawiający młodego, brodatego

mężczyznę, w którego oczach zgromadził się cały smutek ludzkich dziejów. Nad głową mężczyzny biegło dużym gotykiem przypisywane mu przesłanie, a na dole plakatu ktoś nabazgrał szkarłatną szminką: „całuj w dupę!”

I to już wszystko, co znalazł Joe Buck, szukając dla siebie nowej drogi.

# **CZEŚĆ DRUGA**

Potężny autobus dalekobieżny z miejsca wywarł na Joem wielkie wrażenie i przez pierwsze sto mil podróży pochłaniał całą jego uwagę zgrzytem zmienianych biegów, westchnieniami hamulców, a na otwartej drodze — głębokim, basowym szumem mechanicznego potwora, którego przebywane mile nie męczyły, a wręcz przeciwnie, zdawały się pokrzepiać. Joe przesiadł się na wolne miejsce obok kierowcy i paląc papierosa siedział tam przez jakiś czas, zafascynowany tym, co zachodziło między autobusem i szosą, sposobem, w jaki szosa znikwała pod pojazdem, oraz tymi pochłanianymi przez olbrzymią maszynę dziesiątkami mil, które tylko dodawały jej sił. Przed powrotem na swoje miejsce Joe zapragnął odezwać się do kierowcy.

— Silna maszyna, no nie?

Kierowca nawet na niego nie spojrzał.

Wracając na miejsce, Joe czuł się jak akrobata cyrkowy balansujący na grzbiecie konia. Ten wielki stwór, którego środkiem się teraz posuwał, miał coś wspólnego z nim samym, ale Joe był niewiele bardziej przystosowany do myślenia o takich sprawach niż autobus. Odczuwał to jednak — pewien władczy współudział w świecie czasu i przestrzeni, ruch naprzód ku przeznaczeniu.

Znalazłszy się na swoim miejscu, skwitował uśmiechem to nowe uczucie, przesłał pocałunek nowym butom — a po chwili oczy mu się zamknęły i zapadł w głęboki, kamienny sen nie narodzonej jeszcze istoty.

W ten sposób upłynęła pierwsza połowa wielkiej podróży Joego na wschód. Co pewien czas otwierał oczy, ale wtedy — wciąż tak pełen wiary w siebie i w swoją przyszłość, że się nad nią nie zastanawiał — śnił na jawie: wkomponowywał siebie w mijany krajobraz.

Dopiero drugiego dnia po południu — o piątej autobus miał dojechać do celu — Joego ogarnął niepokój. Wszystko odbywało się tak idealnie, że obudziły się w nim podejrzenia. Przyszło mu na myśl, że może wplątał się w jakiś niesłychany szwindel, którego jest zarazem ofiarą i sprawcą. Na przykład: co u diabła będzie robił w Nowym

Jorku? Co chwila spoglądał w górę, czerpiąc otuchę z widoku czarno-białej walizki zawierającej jego wspaniałą garderobę, i raz po raz dotykał tylnej kieszeni z pieniędzmi. Przyglądał się badawczo twarzom współpasażerów, zastanawiając się, czy któryś z nich może się okazać sprzymierzeńcem, czy też wszyscy tak jak on pochodzą z daleka i z obawą myślą o rychłym przyjeździe do najbogatszego i najwyższego miasta na świecie.

Ostatni postój był w Pensylwanii przy restauracji Howarda Johnsona. Joe wziął walizkę i poszedł do toalety, w której przez dwadzieścia minut szykował się na wjazd do Nowego Jorku. Ogolił się, spryskał wodą kolońską, włożył czystą koszulę, napluł na chustkę i przetał buty. Mimo że w toalecie byli też inni, Joe nie powstrzymał się od skorzystania z lustra na swój sposób. Odszedł kilka kroków, przybrał odpowiedni wyraz twarzy, właściwą pozę i obrócił się nagle do lustra, żeby zaskoczyć swoje odbicie. To, co zobaczył, bardzo go pokrzepiło na duchu. Kiedy stukając obcasami opuścił toaletę, pozostali pasażerowie wracali już do autobusu. Dwie siedzące z przodu młodziutkie dziewczyny, które przez całą drogę zdradzały zainteresowanie osobą Joego, wsiadały właśnie tuż przed nim. Jedna z nich zachichotała, podniecona jego bliskością. Joe był wniebowzięty. Kiedy przechodził obok ich foteli, uchylił rondo stetsona i obdarzył obie uroczym półuśmiechem, który sobie wypracował. Ich reakcja była żywiołowa, histeryczna: przez wiele mil w niebiańskim piekle aż bolesnej rozkoszy tłumiły okrzyki, chowały się za wilgotnymi chusteczkami i poszturchiwały się nawzajem. Joe odzyskał pewność siebie i zapomniał o obawach. Co ma robić, kiedy dojedzie do Nowego Jorku? Kurwa, nic prostszego! Iść sobie na Times Square i zdać się na los szczęścia.



## 2

W hotelu „Times Square Palace” stary, pomarszczony portier zaprowadził Joego do jego pokoju. Nazywał go „szanownym panem” i niósł jego walizkę. Joe dał mu dolara, zamknął drzwi i rozejrzał się po pokoju. Wprawdzie dwa razy droższy od pokoju w Houston, był jednak bez porównania ładniejszy, i do tego z łazienką. Ściany świeżo pomalowane na zielono, brązowa kapa — nieskazitelnie czysta — meble pokryte klonowym fornirem. Nad łóżkiem akwarela wieżowców Manhattanu, przy łóżku telefon. Pierwszorzędna sytuacja!

Rozpakował walizkę, postawił radio na nocnym stoliku. Potem zapalił papierosa i usiadł przy biurczku pod oknem, ze zdumieniem spoglądając raz tu, raz tam na swoje dwa nowe światy: na tętniącą życiem, hałaśliwą Czterdziestą Drugą Ulicę i na wnętrze, w którym będzie mógł wieszać kapelusz i układać się do snu.

Przez długi czas wpatrywał się w komodę, aż nagle ogarnęło go zwątpienie, czy rzeczy, które do niej schował, jeszcze tam są. Przez krótki szalony moment był przekonany, że wszystko, czego nie widać, przestaje istnieć.

Przeszedł szybko przez pokój i spojrzął w lustro. Poczul ulgę, kiedy przekonał się, że istnieje, ale pewności nabral dopiero wtedy, kiedy skinął ręką, uśmiechnął się do swojego odbicia i wypuścił kłęb dymu. Następnie sprawdził szuflady komody i szafę. Uspokojony, znów przeszedł przez pokój, zatrzymał się przed lustrem i uśmiechając się do swojego odbicia, powiedział:

— Tylko bez nerwów. Już się tu urządziłeś, kowboju, niedługo będziesz bogaty.

Wykonał biodrami płas, jakby naśladując ruchy kopulacyjne, i wrócił do biurka, żeby dokończyć papierosa.

— Nowy Jork — powiedział, wyglądając na ulicę.

Gruba, niemożliwie brudna stara kobieta siedziała na chodniku przed wejściem do kina. Trzymała w ręce butelkę i lejąc z niej jakiś płyn na swoje czarne bosc stopy, rozcierała je wolną dłonią. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Z pewnym zainteresowaniem, chociaż dość beztrosko, obserwował ją tylko policjant. Ale po chwili i on ruszył dalej.

— Twój pokój — powiedział Joe do radioodbiornika. Podszedł do stolika i włączył radio, w nadziei, że płynące dźwięki przekonają go do reszty, iż naprawdę przybył już do celu.

Rozległ się wysoki, nieco histeryczny kobiecy głos:

— Taki mam system!

Kobieta zachichotała.

— Coś podobnego! To dopiero! Kiedy cierpi pani na bezsenność, wstaje pani po prostu z łóżka? — zapytał ze szczególnym elektronicznym zapalem męski głos.

— Tak! — krzyknęła kobieta, nie panując już zupełnie nad sobą.

— Ale co pani wtedy robi? — chciał wiedzieć mężczyzna.

— Zapalam światło! — powiedziała zdyszana. — Ubieram się! Biorę się do pracy, czasem nawet gotuję! Albo piekę!

Była tak przejęta, że nie mogła mówić dalej.

— Ale czy nie jest pani bardzo zmęczona nazajutrz? — spytał mężczyzna.

— Och, nie! — zawołała z przekonaniem kobieta, jakby nagle oskarżono ją o coś strasznego, na przykład o symulowanie choroby. — Nie jestem wcale zmęczona, daję słowo honoru!

Joemu żal było kobiety, ale to, co usłyszał, również go ucieszyło, bo zdawało się potwierdzać wszystkie plotki o kobietach z Nowego Jorku.

— Już ja tam wiem, co pani dolega — powiedział głośno. — Niechbym tylko był w studio, zrobiłbym, co należy, i od razu poczułaby się pani lepiej!

— Oczywiście może się zdarzyć, że padnę tu przed mikrofonem! — zawołała kobieta i wybuchnęła szalonym, nieopanowanym śmiechem.

— Ale najpierw musi pani dla nas zaśpiewać! — odpowiedział jej spiker, parskając głupkowato.

Włączył płytę — z płyty nagranej w komorze pogłosowej, kiedy kobieta była w spokojniejszym nastroju, rozległa się piosenka: „Moje niemądre serce”.

Słuchając jej Joe otworzył szufladę biurka. Znalazł tam długopis i dwie pocztówki przedstawiające hotel, w którym teraz mieszkał. Przyglądając się im, ustalił

wreszcie, które okno jest jego. Obrysował je długopisem, przekreślił pocztówkę na drugą stronę i w miejscu na korespondencję napisał: „Dro...” Nie dokończył słowa, bo nie przyszedł mu na myśl nikt, komu mógłby wysłać kartę. Nie wiedząc, do kogo ją zaadresować, przedarł kartę na pół i wyrzucił przez okno.

Kobieta śpiewała właśnie przez radio, że tym razem to nie oczarowanie, to miłość.

Joe wziął teraz drugą pocztówkę, na niej również obrysował okno swojego pokoju i nakreślił na niebie dwa słowa: „Tu ja”. Na odwrocie bez żadnego wstępu napisał:

„Jestem już na miejscu. Nowy Jork taki sobie, znalazłem pokój, jest bardzo czysty — a w miejscu przeznaczonym na nazwisko i adres odbiorcy drukowanymi literami: „Gówno”. Potem przedarł kartę na pół i powiedział:

— Kurwa! Nie po to tu przyjechałem, żeby pisać pocztówki.

Kiedy wyrzucał kawałki papieru przez okno, przypomniał mu się nagle ktoś, do kogo mógł wysłać pocztówkę: Murzyn, z którym pracował razem w pomywalni „Słoneczka”. Wystawił głowę przez okno i zobaczył opadające w dół kawałki. Przez chwilę wyglądało na to, że jeden z nich wylądował na czapce stojącego na ulicy marynarza, ale ten właśnie poruszył się i włączył w strumień wieczornych przechodniów.

### 3

Joe specjalnie zmienił tempo, żeby on i bogata dama doszli równocześnie do rogu ulicy. Przy odrobinie szczęścia może się zapalić czerwone światło, a wtedy będą czekać stojąc obok siebie i może wywiąże się rozmowa, która da bogatej damie okazję do zaproponowania mu godziwej ceny. Park Avenue była inna, niż się spodziewał, i żadna z kilku osób przechodzących tędy o zmierzchu nie zwróciła na niego uwagi. Ponieważ jego wiara w siebie i we własne plany była i tak bardzo krucha, musiał teraz zręcznie unikać wszelkich wątpliwości, które mogłyby ją zniszczyć do cna.

Na przykład w wyglądzie bogatej damy, za którą właśnie szedł, nie było nic, co przywodziłoby na myśl, że pragnie ona właśnie tego, co Joe ma jej do zaoferowania. Ale Joe wiedział, że jeżeli choć na chwilę weźmie pod uwagę zupełną samowystarczalność eleganckiej damy, widoczną w każdym szczególe jej ubioru i w każdym jej kroku, to od razu odstąpi od swojego postanowienia.

Kobieta była średniego wzrostu i drobnej budowy — włosy miała ciemne. Idąc za nią przez Park Avenue, Joe zachwycał się jej kostkami u nóg. Były cienkie, pięknie ukształtowane i zdawały się mówić: „Nie jesteśmy bardzo mocne, ale wystarczająco mocne... i bogate”.

Na rogu Trzydziestej Dziewiątej Ulicy, czekając pod światłem, Joe zdjął kapelusz i przyłożył go do serca.

— Przepraszam panią — powiedział rozciągając mięśnie twarzy w szerokim uśmiechu. — Jestem tu nowy. Właśnie przyjechałem z Teksasu, z Houston, i szukam Statuy Wolności.

Bogata dama wciąż stała do niego bokiem, ciesząc jego oczy ładnym, delikatnym profilem, ale nie dała mu niczym poznać, że słyszała jego słowa.

Kiedy zmieniło się światło, przeszła przez Park Avenue. Joe za nią. Po drugiej stronie ulicy zatrzymała się i zwróciła do niego.

— Czy to żart z tą Statuą Wolności? — zapytała go wprost, tonem, który nie był ani wrogi, ani przyjazny.

— Żart? Nie, proszę pani. Skądże znowu! To nie żart!

— W takim razie proszę mi wybaczyć — powiedziała najwyraźniej nie przekonana, ale z jakichś własnych powodów udając, że mu wierzy. — Myślałam, że chciał mnie pan... mniejsza o to.

Uśmiechnęła się. Joego rozczuliła jej specyficzna uroda kresu młodości — starość tuż, tuż pod powierzchnią skóry, ale jeszcze niewidoczna — i jej niebieskie, wciąż młode oczy, o wiele bardziej wyrozumiałe niż oczy naprawdę młodej osoby.

Kobieta zwróciła się w stronę południa.

— Nigdy nie widziałam jej z bliska, tylko ze statku. Powinien pan chyba wsiąść do metra, tak, na Siódmej Alei, i wsiąść na końcowej stacji. Ale nie jestem pewna. Na wszelki wypadek powinien pan spytać jeszcze kogoś innego.

Joe był tak oczarowany, że prawie wcale jej nie słuchał, choć każde słowo, wypowiedane przez jej usta, wydawało mu się cudownie piękne.

— Ale z pani ładna kobieta — powiedział, zadziwiając tym sam siebie.

Zaskoczona dama odwróciła się szybko do niego i oblała rumieńcem, który przyprawił Joego o dreszcz radości.

— Och! — zawołała, usiłując przybrać gniewną minę, która najwyraźniej nie pasowała do niej. — Pan wcale nie szuka Statuy Wolności!

— Nie, proszę pani — odpowiedział — nie szukam.

— To... to przecież okropne! Jak panu nie wstyd?

Uśmiechnęła się, co powiększyło liczbę zmarszczek na jej twarzy i rozjaśniło wesołe iskierki w niebieskich wyrozumiałych oczach. Twarz, a szczególnie niezwykle oczy zdawały się mówić: „Ty i ja jesteśmy wspaniałymi ludźmi, którzy dostrzegają piękno niedostępne dla innych, a to, co zaszło między nami, było bardzo przyjemne i będzie naszą tajemnicą — teraz jednak musimy się rozstać”.

Głośno powiedziała mu tylko: „Do widzenia” — i odeszła.

Patrzył za nią i widział, jak poruszają się jej zgrabne pośladki, świadome jego wzroku. Sprawilo mu to przyjemność, ale równocześnie poczuł ściskanie w dołku. Zawsze cenił sobie chód niektórych kobiet, lubił patrzeć, jak idą, przerzucając miarowo pośladki z boku na bok, a głowę trzymając wysoko w górze, jak gdyby chciały powiedzieć, że

myślami są siedem tysięcy mil na północ od Morza Arktycznego — i że myśli te są lodowate. Ale teraz oprócz zadowolenia poczuł słabość, jakby jakieś niespokojne wiercenie gdzieś głęboko w ciele. Żeby ustać, musiał wyteńczyć mięśnie w udach i wpić się palcami nóg w podeszwy butów.

— Fajna kobieta! — powiedział cicho, obserwując ją, jak idzie Trzydziestą Siódmą Ulicą. — I bogata — dodał, posuwając się za nią powoli przeciwną stroną. Z każdym jej krokiem jego uznanie dla niej rosło. — Szkoda, że nie skorzystała z moich usług — stwierdził z żalem, kiedy skręciła w stronę okazałego domu z piaskowca i weszła na frontowe schody.

Patrzył, jak otwiera drzwi wejściowe. Patrzył, jak wchodzi do środka. A potem wydał nieartykułowany dźwięk, jakby coś zimnego i strasznego chwyciło go nagle za serce: drzwi domu zamknęły się za nią.

Usiadł w pobliżu na murku i dalej obserwował dom, zastanawiając się, co może być źródłem tego niespodziewanego, nowego cierpienia. Czarne okna salonu cicho i bezgłośnie rozjaśniły się nagle światłem. Miało bursztynowy blask i wydawało się ciepłe jak ludzka istota — Joe nie wiedział, dlaczego widok ten sprawia mu ból. Wiedział tylko, że zapadł już mrok i czas pójść gdzieś do knajpy na szklankę mocnego trunku.

Zmusił się, żeby wstać i odejść. Po chwili napotkał bogatą damę zupełnie innego pokroju.

Druga bogata dama spacerowała z białym miniaturowym pudlem po Lexington Avenue — była akurat przy numerach trzydziestych. Joe ujrzał ją, kiedy przypatrywała się żółtym daliom, wystawionym przed kwiaciarnią.

Pudiel był tak mały, że wyglądał jak nakręcana zabawka, ale jego pani była osobą okazałą. Przypominała aktorki, o których się czyta, że przez łakomstwo zniszczyły sobie karierę. Brunetka o rzęsach długich na dwa centymetry, grubo polakierowanych paznokciach, miała mocno umalowaną twarz. Przesadny makijaż nadawał jej wygląd marionetki, wewnątrz której tkwi nie sama tylko ręka, ale cała osoba; widząc małe zielone oczka spozierające z tej dużej lalki, każdy musiał zastanawiać się, kim u licha może być ta maleńka osóбка ukryta wewnątrz.

Podczas gdy dama przyglądała się daliom, Joe udawał, że ogląda róże, dopóki nie nabrał pewności, że dostrzegła jego obecność.

— Baby, pospiesz się — powiedziała z nagłą irytacją do pudła, który skulony pod stołem z kwiatami wysilał się, jak mógł. — Zrób kupeczkę! No, zrób dla mamuski kupeczkę.

Joe przyłożył swój stetson do serca.

— Przepraszam panią — powiedział — przyjechałem tu świeżo z Houston, szukam Statuy Wolności.

Kobieta uniosła z niedowierzaniem brwi i aż otworzyła usta.

— Czego?

— Statuy Wolności — odparł i obdarzył ją uśmiechem, który zaćmiłby księżyc.

Potrafił wprawiać wargi w lekkie drżenie, co sprawiało, że wyglądał, jakby uśmiechał się wbrew sobie — uśmiech jego zyskiwał na tym niepomierne.

Bogata dama spojrzała mu prosto w oczy, jakby była mężczyzną.

— Poszła się odlać w Central Park! — powiedziała. — Jak się pośpieszysz, zdążysz na wieczorny pokaz. A teraz spływaj!

Mówiła głośno, szorstkim tonem.

Jednakże odchodząc, druga bogata dama Joego zrobiła do niego oko i uśmiechnęła się wyraźnie prowokująco. Zaskoczony, patrzył za nią, kiedy w czarnej obcisłej sukience i różowych pantofelkach na wysokich obcasach szła tanecznym krokiem Lexington Avenue, a mały piesek pędził co sił, żeby dotrzymać jej kroku.

Kiedy doszła do skrzyżowania, odwróciła się, pochwyciła spojrzenie kowboja, uśmiechnęła się i schyliła, żeby wziąć na ręce psa, po czym znikła za rogiem, szepcząc ciepłe słówka do maleńkiej istoty tkwiącej w zgięciu jej łokcia.

Joe ruszył pośpiesznie do skrzyżowania — kobieta czekała na niego pod markizą nad wejściem do bloku mieszkalnego. Kiedy się upewniła, że Joe idzie za nią, weszła do budynku.

Chwilę później Joe przeszedł przez drzwi ze szczerego złota — nie były może ze szczerego złota, tylko obite blachą złotej barwy, ale sprawiały wrażenie, że wystarczy przez nie przejść, aby nigdy już nie troszczyć się o pieniądze. Znalazł się w wyłożonej wykładziną windzie, w której stała bogata dama i patrzyła w przestrzeń, jakby nie miała pojęcia o jego istnieniu. Ale gdy tylko drzwi windy zamknęły się z cichym, kosztownym

sykiem, bogata dama przejechała długim językiem po wargach Joego, jednocześnie napierając na niego całym ciałem. Potem, choć była osobą tęgą, uśmiechnęła się, jakby była małeńka, i powiedziała:

— Cześć!

Pudel zaszczeakał, rozległ się następny syk i wyszli z windy — wprost do mieszkania z puszystymi białymi dywanami.

Bogata dama wzięła Joego za rękę.

— Dwa telefoniki i już — powiedziała, prowadząc go za sobą do biało-złotego biurka z aparatem telefonicznym. Kręcąc jedną ręką numer, drugą rozpięła guzik u dzinsów Joego i zaczęła manipulować przy suwaku.

Wydarzenia potoczyły się o wiele szybciej i z większym szykiem, niż Joe to sobie kiedykolwiek wyobrażał.

— Mówi Cass Trehune — powiedziała bogata dama do słuchawki, wsuwając lewą dłoń głęboko do spodni Joego. — Są dla mnie jakieś wiadomości? Z kim rozmawiam? Imelda? Cześć, kochanie! Masz coś dla mnie? Aha, Needleman. Rozumiem. Dawno dzwonił? Pytałam, kiedy. Dobrze, jaki tam numer, Murray Kill pięć? Nie, nie, nieważne, mam. Mam. Mam! Imelda, kochanie, mam to, co chcę, rozumiesz? Dziękuję! Pa!

Wciąż trzymając słuchawkę, kciukiem nacisnęła widelki. Potem spojrzała w dół, żeby zobaczyć, co trzyma w lewej dłoni.

— Rety! — zawołała zachwycona i nie rozluźniając uchwytu zaczęła wykręcać następny numer.

— Chciałabym mówić z panem Needlemanem.

Czekając, puściła Joego, uniosła do góry sukienkę, odwróciła się do niego tyłem i przytuliła plecami, tak kierując jego rękami, żeby ją objął w talii.

— O, dzień dobry, panie Palmbaum, co pan tam robi? Dobrze, dziękuję. Nawet wyśmienicie. Może pan poprosić Moreya?

Nastąpiła nowa krótka przerwa. Cass przysunęła ucho do ust Joego.

— Och, przestań, o Boże! — zawołała. — Nie wytrzymam, nie mogę dłużej. Morey?

Zmieniła ton, mówiła teraz cicho, słodko, jakby kusząc cukierkami dziecko namawiała je do wejścia do komory gazowej.



— Cześć, Morey! Podobno dzwoniłeś. Wyszłam z Baby. Nie, najdroższy, wychodziłam tylko raz. Przecież musiał się załatwić! A tak, rzeczywiście, wyprowadzałam go też przedtem. Około trzeciej. Ale, najdroższy, sprawdzałam w centrali i nic mi nie powiedzieli. Nie zostawiłeś przecież żadnej wiadomości, prawda? Już dobrze! Właśnie to powiedziałam! Ech, zaczynasz mnie denerwować. Niedobrze mi się robi! Odłożę słuchawkę i porzygam się na dywan. Morey, naprawdę zaczynasz mi grać na nerwach. Wciąż mnie tylko podejrzewasz, więc może byś tak się odpiardolił, co? — Zachichotała i ciągnęła dalej: — Nie, mój słodziutki, oczywiście nie mówię tego poważnie. A teraz mi powiedz, o której możesz tu przyjechać?

Obróciła twarz do Joego i włożyła mu język głęboko w usta. Zrobiła to bez namiętności, jakby kierowała nią czysto lekarska ciekawość zbadania jego zębów trzonowych.

Potem szybko wycofując tę swoją sondę, znowu odezwała się do słuchawki:

— Dobrze, jak chcesz, ale jestem bardzo zawiedziona.

Mrugnęła do Joego i pokazała mu podniesiony do góry kciuk.

— W takim razie, Morey — powiedziała — zdrzemnę się godzinę, potem zrobią sobie błyskawiczny obiad i zacznę się powoli ubierać dla zabicia czasu. W porządku? No to świetnie, koteczku, o północy w klubie. Duża buźka!

Cmoknęła oblesnie do słuchawki i zakończyła rozmowę głosem małej dziewczynki:

— Nie, dostaniesz tylko jednego! Ja też kocham cię ogromnie!

Odłożyła słuchawkę i całą uwagę oraz swoje obfite wdzięki poświęciła Joemu.

Dalsze wydarzenia rozgrywały się w trzech pokojach, przeważnie na oczach miniaturowego pudła. Początkowo miejscem akcji było biurko, następnie niski stół, dwa fotele i puf, z kolei kuchenny zlew, ale pudel tymczasem stracił zainteresowanie i wyszedł z pokoju. Po kilku minutach Joe i bogata dama udali się do sypialni. Ponieważ łóżko było zajęte przez psa, zadowolili się podłogą.

Wkrótce zasnęli na puszystym białym dywanie, a gdy tak spali, zapadła noc.

Joe obudził się z dziwnym wrażeniem, że pies ogryza mu palce u nóg. Wyzwolił ostrożnie stopę. Wtedy poczuł na kostce czyjąś dłoń. Otworzył oczy i przekonał się, że to

bogata dama gryzie go w nogę. Usiadł i wyciągnął do niej rękę, ale ona wstała z figlarną miną i nago wybiegła na taras. Joe pobiegł za nią, wciąż nie mogąc się nadziwić obfitości jej kształtów i ku swojej radości odkrył, że jego pierwsza pracodawczyni mieszka w ekskluzywnym domku na dachu wieżowca. Gonił ją po tarasie, aż wreszcie pozwoliła mu się złapać — z trudem chwytając oddech przystanęła i oparła się o niski murek, który chronił ją przed upadkiem z wysokości piętnastu pięter.

— Tss! — syknęła wpatrując się w niego i przykładając palec do ust. — Pierwsza gwiazdka na niebie, daj mi, co chcę od ciebie! Już!

Teraz przechyliła się przez murek, opierając na nim brzuch.

— Och, och, och! — zawołała. — Tak się boję, tak się boję, tak się boję wysokości!

— Nie uciekniesz mi teraz — powiedział Joe, powoli robiąc jeden, ostatni krok w stronę bogatej damy.

— Rety! — krzyknęła. — Co ty wyprawiasz, to straszne, jak ty w ogóle...

Potem umilkła.

Joe, kierując spojrzenie z północy na południe ogarnął wzrokiem Manhattan, wielką wyspę, po czym spojrzał na samego siebie tu, pod usianym gwiazdami niebem: stał na dachu jednego z manhattańskich wieżowców, nagi, połączony z kobietą — świadomość tej chwili przejęła go do głębi. Miał wrażenie, że do tej pory stanowił dwie istoty: tę, którą był, i tę którą pragnął zostać. Obie wędrowały oddzielnymi drogami i dopiero tej nocy, tu, na dachu, zespoliły się w jedność. Na chwilę znieruchomiał, żeby przyjrzeć się temu cudownemu spotkaniu ze sobą, i łzy napłynęły mu do oczu. Była to chwila szczęścia.

Bogata dama poruszyła się nagle, przywołując go tym samym do spraw bieżących.

## 5

Tak się stało, że Joe dość lekkomyślnie oparł swoje przypuszczenia co do sytuacji materialnej Cass Trehune na dwóch czynnikach, z których jednym była miniaturowość jej psa — utrzymanie takiego maleństwa przy życiu musiało kosztować majątek — a drugim jej bransolety ozdobione mnogością dużych sztucznych brylantów, które wziął za prawdziwe. Jego szacunek podtrzymywała również kolejna niepewna przesłanka, a mianowicie: osoba mieszkająca na dachu wieżowca musi być bogata jak Krezus.

Dlatego też kilka minut po jedenastej, kiedy Cass brała prysznic, szykując się do wyznaczonego na dwunastą w nocy spotkania z panem Needlemanem, Joe zwrócił się do swojego odbicia w lustrze w sypialni:

— Słuchaj, Cass — powiedział głośno na próbę. — Bawiłem się świetnie jak nigdy! Możesz mi wierzyć. Dlatego aż głupio mi teraz poruszać sprawę pieniędzy, ha, ha!

Ponieważ jego zdaniem nie wypadło to najlepiej, przerwał i zdecydował się na inną technikę:

— Hej! Moja ty urocza!

Wsparł się oboma rękoma na toaletce i skierował wzrok do lustra.

— Możesz mi dać dwadzieścia dolców?

— Oczywiście, mój miły! — posłyszał w myśli cienki głosik. — Weź pięćdziesiąt! Choć prawdę mówiąc, wart jesteś stu!

Joe wyduł wargi i posłał pocałunek swojemu odbiciu, po czym jeszcze raz się do niego uśmiechnął.

Cass wróciła na palcach z łazienki. Była umalowana, ale wciąż naga. W dziwnym przypływie pokąpielowej wstydlivosti trzymała przed sobą ręcznik.

— Nie patrz! — zawołała, kierując się w stronę szafy.

— Wiesz co, Cass — powiedział kowboj — naprawdę było mi fajnie tu z tobą.

— Mnie też, kocie — dobiegł go głos zza drzwi szafy.

— Dawno się tak świetnie nie bawiłem!

Chwilę później stanęła obok niego wieża dzetów i kości słoniowej.

— Zapnij mnie, dobrze?

Joe podciągnął do końca zamek błyskawiczny jej sukni, po czym powiedział:

— Słuchaj, Cass, ja, no, jakby to, prawdę mówiąc, ja pracuję.

— Och, mój ty biedaku! — zawołała siadając przy toaletce i spryskując włosy lakierem. — Morey ma straszne wrzody żołądka.

— Hm.

Joe myślał przez chwilę.

— No, nie wiem, co robi Morey — powiedział wreszcie — ale moja praca jest całkiem odmienna.

Cass zdawała się być pochłonięta czym innym.

— Sam też znacznie się różnisz od Moreya — powiedziała. — Możesz mi wierzyć!

Przyjrzała się sobie w lustrze. Wzięła pomadkę, żeby poprawić linię uszmkowanych ust.

— W rzeczy samej — odezwał się Joe, nie wiedząc, czy dalsze słowa przejdą mu przez gardło — ja... żyję z kobiet.

Poszło!

— Hm — powiedziała, napinając na zębach górną wargę i przejeżdżając po niej pomarańczową szminką — haży muzi jakoż zrawiadź na życie.

— Słucham?

Rozluźniła usta i zamknęła pomadkę.

— Powiedziałam, że każdy musi jakoś zarabiać na życie.

Joe roześmiał się.

— Czy rzeczywiście usłyszałaś, co mówiłem?

Cass nic nie odpowiedziała. W nim jednak obudziła się nadzieja, bo kobieta wstała od toaletki, podeszła do komody i wyjęła z niej przetykaną złotą nicią torebkę wieczorową.

— Przepraszam cię, skarbie — powiedziała — ale bardzo się teraz spieszę. Czas się pożegnać.

Otworzyła torebkę. Joe zadrzał z radości. Żeby ukryć zadowolenie, zaczął — wciąż siedząc na skraju łóżka — bawić się cholewami butów. Kątem oka zobaczył, że Cass podeszła do niego i opuszczała torebkę na wysokość jego oczu.

Szeroko otwarta torebka ziała pustką.

— Słuchaj, Teksas! — powiedziała Cass. — Możesz mi dać forszę na taksówkę? Nie poszłam dziś do banku.

Ujęła go ręką pod brodę i popatrzyła na niego uwodzicielsko.

— Przystojniaczek z ciebie — powiedziała. — Pieniądze to coś okropnego, prawda? Boże, ale było fajnie! Zapisz może mój numer, dobrze?

Wstrząs był silny, ale Joe szybko wrócił do siebie. Zaśmiał się słabo i powiedział:

— Co za traf, że wspomniałaś o pieniądzach. Chciałem cię właśnie o nie prosić.

Chciał złagodzić swoje żądanie śmiechem, ale śmiech zamarł mu w gardle i cisza zawisła w powietrzu. Na długą, groźną chwilę starły się ich spojrzenia.

Wreszcie Cass, wciąż trzymając go pod brodę, zasyczała gniewnym szeptem:

— Ty chcesz ode mnie pieniędzy, tak? Mam ci dać forszę, tak? Masz czelność żądać ode mnie forsy?

Joe nie był w stanie odezwać się ani słowem, ale Cass najwyraźniej znalazła odpowiedź w jego wzroku.

— Ty gnoju! — krzyknęła wykręcając mu brodę. — Za kogo ty mnie masz, za jakieś stare babsko? Spójrz na mnie: mam trzydzieści jeden lat! Myślisz, że jak masz wielki kawał mięcha między nogami, to ujdzie ci taki numer? Upadłeś na głowę! Jestem szalową babką, mam trzydzieści jeden lat, właśnie, twoje słowa! Zabiłabym cię z zimną krwią!

Nagle łzy trysnęły jej z oczu. Zawyla i rzuciła się na łóżko, powtarzając „nigdy dotąd” i jeszcze coś, czego nie można było zrozumieć, bo trzymała w ustach palec.

Joe wstał. Nie wiedział, co powiedzieć, jak się zachować. Zapalił papierosa, wrzucił zapałkę do popielniczki i zaciągnął się głęboko. Stojąc nad leżącą kobietą patrzył na nią, usiłując z linii jej ciała wyczytać, co ma zrobić. Nagie ramiona Cass trzęsły się od płaczu, jakby była wyrzuconym na brzeg wielorybem w śmiertelnych drgawkach. Joego zaskoczyło, że rozpacz może tak bardzo powiększyć czyjeś rozmiary.

— Hej — powiedział siadając na łóżku obok kobiety. — Hej, Cass!

Położył jej rękę na plecach i zakołysał nią lekko.

— Myślisz, że mówiłem serio? Z tą forszą? Skądże znowu, to był taki żart! Ech, ty, myślałem, że masz poczucie humoru, a ty co?

Potem wstał, udając, że sprawa skończona.

— Pewnie się tylko zgrywasz. Wcale nie płaczesz. No powiedz, ile chcesz na taksówkę?

Wyciągnął pieniądze, cały swój rulon banknotów.

— Ile ci potrzeba, złotko? Pięć? Dziesięć? No już, powiedz, niech cię...

Pochylił się nad nią i podsunął jej pod nos pieniądze.

— Otwórz oczy! Popatrz! Po co mi twoja forsa, skoro dźwigam na tyłku taki rulon? Rusz głową! Do cholery, jestem przecież z Teksasu, mój stary siedzi w nafcie! Zawsze miałem wszystkiego pod dostatkiem. Przestań już beczeć!

Odgłosy jej niedoli przybrały tylko na sile. Joe podał Cass ze stolika garść papierowych chustek. Przycisnęła je do twarzy, ale szlochała nadal.

— Hej — szepnął jej cichutko do ucha i dotknął jej policzka. — Naprawdę jesteś szalową babką, Cass. Wystarczy raz na ciebie spojrzeć, a już chęćka bierze człowieka.

Otworzyła oczy. Joe skinął głową.

— Poważnie — powiedział.

Wziął dwudziestodolarowy banknot i wetknął jej między piersi.

— Masz!

Cass Trehune usiadła i wytarła nos.

## 6

Po wyjściu od Cass Joe wstąpił na szklaneczkę do pobliskiego baru. Był zmęczony i w głowie miał zamęt. W myślach jawiła mu się straszna kobieta z teksaskiego burdelu, matka Tombaby'ego. Nie wiedział, czemu twarz tej jędzy wciąż staje mu przed oczyma, ale widział ją niemal ciągle.

Wypił drugą szklaneczkę w nadziei, że alkohol oczyści mu umysł, pomoże zebrać myśli. Potem ruszył dalej. Szedł patrząc na nazwy ulic, ale nie zastanawiając się, dokąd idzie. O północy wstąpił do wielkiego jak stodoła baru Everetta na Broadwayu przy Czterdziestej Ulicy. Telewizor i szafa grająca wyły do siebie niczym para elektronicznych szaleńców, dźwięki odbijając się od brudnej posadzki i wysokiego blaszanego sufitu tworzyły istny raban, ale żaden z dwudziestu kilku gości baru nie zwracał na to uwagi.

Joe wypił jeszcze dwie whisky pod piwo. Zapalił papierosa i rozejrzał się w poszukiwaniu lustra — patrząc w nie mógłby nareszcie zacząć coś rozumieć. Tymczasem Juanita Bosa Stopa na dobre opanowała jego wyobraźnię. Widział, jak siedzi w kucki i daje mu znaki, podobna do diabła przewodniczącego naradzie w piekle. Poruszała ustami — Joe słyszał nawet jej głos, ale nie mógł odróżnić słów. Dostrzegł małe lusterko na automacie z papierosami i kupując niepotrzebną mu paczkę cameli napotkał swój zmęczony wzrok. Nadal myślał o Juanicie. To ona podsunęła mu ten cholerny pomysł, żeby jechać do Nowego Jorku, więc jeżeli chce udzielić mu jeszcze jakiejś porady...

Porada.

Tego mu właśnie potrzeba, nic więcej. Ta myśl przerodziła się w obsesję, że nic nie zdziała w Nowym Jorku, dopóki nie znajdzie kogoś, kto zna się na rzeczy i mógłby udzielić mu wskazówek.

W tym nowym nastroju Joe wrócił do bufetu i zorientował się, że jakiś przybysz lustruje go wzrokiem. Był to chudy, niski chłopak lat dwudziestu jeden czy dwu, który siedział na sąsiednim stolku.

Widząc, że Joe go zauważył, chłopak uśmiechnął się i wykonał ręką nieokreślony gest.

— Przepraszam, że się tak gapię — powiedział z nowojorskim akcentem — ale podziwiałem tę wspaniałą koszulę.

Pokiwał z aprobatą głową.

— Tak, to mi dopiero koszula! Musiała nieźle kosztować, co?

Mówił miękkim szeptem, który dla Joego brzmiał wyraźnie konspiracyjnie. Nawet się nad tym nie zastanawiając, był przekonany, że taki głos idzie w parze ze znajomością świata przestępczego.

— No, nie była tania — odparł skromnie.

Wsparł pięści na biodrach i spojrzał po sobie okiem rzeczoznawcy.

— No tak, powiedziałbym, że to porządna koszula. Nie lubię, no... nosić na grzbiecie tandety. Słusznie, nie?

I nagle zrozumiał, skąd uzyska potrzebne mu wskazówki. Wyciągnął rękę:

— Joe Buck z Houston, z Teksasu. Postawię ci coś do picia, zgoda?

Uścisnęli sobie ręce. Brudny kurdupel z kręconymi jasnymi włosami przedstawił się jako Rico Rizzo z Bronxu. Wyglądał, jakby wiedział wszystko, co tylko wiedzieć warto. Potrafił też słuchać: jego wielkie, brązowe oczy były mądre i współczujące, a duże uszy odstawały mu prostopadle od czaszki, jak gdyby niewidzialne ręce trzymały je w tej pozycji po to, żeby nie uronił ani słowa.

Podczas rozmowy Joe dbał, żeby Rizzo miał co pić i palić. Czuł się w tej sytuacji gospodarzem i chętnie usługiwał gościowi, za każdym razem sam nalewając mu piwa i zapalając papierosa.

Był przekonany, że dokonał cennego odkrycia co do właściwości alkoholu. Trunek sprawił, że czuł się teraz nadzwyczaj swobodnie i co więcej: dał mu nową władzę nad językiem; Joe potrafił w najdrobniejszych szczegółach opowiedzieć o swoich kłopotach, i to w sposób, który gwarantował mu niepodzielną uwagę słuchacza. A kiedy Rizzo zainteresował się stanem jego finansów, ten podał mu sumę z dokładnością buchaltera, a mianowicie, że ma jeszcze równo dziewięćdziesiąt jeden dolarów. W gotówce. W tylnej kieszeni spodni. W lewej kieszeni.

Rizzo uważał, że powinni przeliczyć pieniądze. Na wszelki wypadek.



W tym momencie uwagę nowego przyjaciela Joego odwróciło wejście dwóch młodych ludzi. Nowo przybyli usiedli na stołkach przy bufecie. Rizzo najwyraźniej wolał się z nimi nie spotkać. Zaproponował, żeby przenieśli się do stolika za przepierzeniem.

Idąc za Rizzem na koniec sali, Joe spostrzegł dwie rzeczy. Po pierwsze: Rizzo był kaleką. Lewą nogę miał krótszą i zdeformowaną, prawdopodobnie na skutek jakiejś choroby, przebytej w dzieciństwie. Przy każdym kroku jego ciało przechylało się na bok, przez co chód przypominał ruch scentrowanego koła. Drugie spostrzeżenie dotyczyło dużych, odstających uszu Rizza: nie wyglądały na uszy dorosłego. Kuternoga zamienił się nagle w dwunastoletniego pędraka i Joe musiał się powstrzymać, żeby nie pociągnąć go za ucho albo nie zmierzić mu brudnych kudłów.

Usiedli przy stoliku tuż obok szafy grającej — Joe patrzył, jak Rizzo ujął lewą nogę w obie ręce i wsunął ją pod stół. Zaciśnął zęby i twarz pobladła mu z wysiłku.

Dla Joego był to trudny moment; świadomość, że jego nowy przyjaciel cierpi, prawdopodobnie nawet żyje w ciągłym bólu, mogła zupełnie zepsuć ten wspaniały, wspólny wieczór. Alkohol otworzył mu oczy i Joe zrozumiał pewną prawdę, dotychczas dla niego niedostępną: zawsze, nawet w najpiękniejszych chwilach, czai się gdzieś utajona brzydota, której człowiek się nie spodziewa. Nowa znajomość świetnie się rozwija — i nagle dowiadujemy się czegoś, co zamienia dotychczasową radość w żal i smutek. Ta myśl i świadomość, że nic nie może poradzić na kalectwo Rizza, wzbudziły w Bucku straszliwy gniew, gniew nie do opanowania. Joe zmagął się z furią, której nie miał przeciwko komu skierować, gdy nagle wzrok jego padł na szafę grającą. Zaczął miotać przekleństwa na hałasujący automat, a w myśli ujrzał jakby krótki film, w którym wysoki kowboj miążdży obcasami kolorowe światelka szafy. Wstał z miejsca, żeby uczynić ten obraz rzeczywistością, ale powstrzymało go coś w twarzy Rizza: zdumienie i błysk strachu.

Z zakłopotaniem uśmiechnął się przepraszająco i ruszył do toalety. Po drodze zdał sobie sprawę, że alkohol ma niepożądane skutki uboczne: mdłości i zawroty głowy. Musiał czym prędzej dojść do ubikacji, żeby nie zwymiotować na posadzkę.

Później przy umywalce, kiedy wyplukał już usta i patrząc w lustro zaczął besztuć siebie na głos, zaskoczył go wydobywający się z jego ust głos Juanity Bosa Stopa, o wiele grubszy od jego własnego:

— Starczy tego chlania, kowboju! Robota czeka!

— Zamknij się, stara wiedźmo, wiem, co robię — powiedział, starając się mówić własnym głosem.

Kiedy wrócił do stolika, oświadczył: Chyba dosyć wypilem. Tak jest!

Rizzo, pochłonięty czym innym, kiwał głową i patrzył na Joego przez zmrużone powieki.

Wszystko już wiem — powiedział zgrzytliwym głosem, przywodzącym na myśl ruch zardzewiałych trybów. Masz szczęście, Joe. Daj mi papierosa.

Joe szybko mu podał camela i ogień. Czując, że następna chwila będzie mieć dla niego zasadnicze znaczenie, też zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko i pochylił do przodu.

Rizzo wypuścił kłęb dymu. Następnie, wciąż patrząc na Joego, kiwnął jeszcze kilka razy głową.

— Mm-hmm — powiedział i powtórzył to samo trzy czy czterokrotnie, za każdym razem dostrzegając coś nowego w twarzy Joego.

— Potrzebny ci — oznajmił wreszcie — pan O'Daniel.

Akurat w tej chwili z grającej szafy rozległ się diabelski hałas kolejnej płyty i Joe nie usłyszał, kto mu jest potrzebny.

Uwagę Rizza zaabsorbował tymczasem skrawek tytoniu, który zdjął sobie z języka i teraz oglądał, trzymając między kciukiem a palcem wskazującym.

Joe chwycił go za przegub dłoni.

— Kto mi jest potrzebny? Kto?! — zawołał:

— Pan O'Daniel — powtórzył Rizzo.

— Kto?

— Pan O'Daniel.

— Mów głośniej!

— Impresario! — zawołał Rizzo. — Potrzebny ci impresario, rozumiesz?

— Wytłumacz mi.

— Dobra, uważaj!

Rizzo pochylił się do przodu i — o dziwo — Joe słyszał teraz wyraźnie każde jego słowo.

— Te babki, które gotowe są płacić, to najczęściej starsze, bogate, bardzo dystyngowane damy z wyższych sfer. Jasne? No więc nie mogą zasuwać same na Times Square, żeby wybrać sobie towar. Jakby to wyglądało! Muszą mieć pośrednika, jakiegoś agenta czy przedstawiciela. Kapujesz, Joe?

— Tak! Tak! — Joe kiwnął energicznie głową, po czym znów zbliżył ucho do ust Rizza.

— Więc wszystko gra — zakończył Rizzo. — Pan O'Daniel to gość, który tym się zajmuje. — Podniósł do góry obie ręce: — I po kłopotcie!

Joe odprężył się. Oparł się swobodnie. Siedzenie było twarde, ale miał wrażenie, że jest miękkie jak puch. Potrząsnął głową, uśmiechnął się i powiedział: „Kurwa!”, po czym roześmiał się uszczęśliwiony.

— Skoro o tym mowa — rzekł Rizzo — to dwa tygodnie temu umieściłem u pana O'Daniela pewnego faceta. Świetnie mu się powodzi. Odstawiony, że hej! Ma wóz. Co rusz chodzi do banku — oczywiście wpłacać forszę. A o ile mi wiadomo, to wcale nie jest takim znowu nadzwyczajnym kochankiem. Facet jakich wielu.

Joe znów nachylił się.

— Do diabła, żałuję, że cię nie spotkałem kilka godzin wcześniej!

— Tak, rzeczywiście szkoda, żeby taki facet jak ty rozdawał forszę grubym babkom. To szaleństwo! Nie, żebym ci się dziwił. Cholera, zdarzają mi się podobne numery. Gorsze nawet! Wystarczy, że jakaś babka mi się rozbeczy, a już daję jej, co tylko chce. Jedna łza, a gotów jestem wyciąć sobie serce.

— Moim zdaniem — odezwał się nowy głos — byłaby to drobna operacja kosmetyczna.

Dwaj młodzi ludzie, których Joe dostrzegł, kiedy wchodzili do baru, stali przy stoliku. Głos należał do wyższego z nich. Był to rumiany, błękitnooki chłopak, który wyglądał na farmera — wrażenie psuły jednak cienkie, dokładnie wyregulowane brwi.

— Wycięcie ci tej grudki — powiedział chłopak — byłoby równie proste, jak usuwanie czyraka.

— Joe, chodźmy stąd — powiedział Rizzo.

Nie ruszył się jednak z miejsca, bo młodzi ludzie blokowali mu drogę.

— W rzeczy samej — ciągnął wysoki chłopak — siedź spokojnie, a ja ci wytnę serduszko pilnikiem do paznokci. Oszczędzisz na lekarzu. Co ty na to, Gnida?

— Nazywam się Rizzo.

— Słusznie, Gnida, słusznie.

W tym momencie Joe Buck podniósł się z miejsca. Jego powolne ruchy zaczerpnięte z westernów, były groźne i zarazem dobrodusze.

— Hej — powiedział uśmiechając się do wysokiego chłopaka, jakby mówił: „Nie lubię specjalnie rozlewu krwi, ale jak mnie ktoś przycisnie...”

Obaj młodzi ludzie popatrzyli na niego ze sporym szacunkiem. A Joe Buck pokiwał tylko powoli i dostojnie głową, nakazując natychmiastowe zaprzestanie wszelkich wrogich kroków.

— W porządku, Joe! — powiedział Rizzo. — Tacy faceci jak ci, co to lubią dokuczać kalekom, to dla mnie nie pierwszozna. Rynsztoki są ich pełne.

— Przepraszam bardzo — odezwał się grzecznie chłopak o wyglądzie farmera, zwracając się do kowboja. — Czy wolno o coś spytać?

Joe opuścił powoli i przyzwalająco powieki.

— Chodzi mi o jedno: jeżeli pan siedzi tutaj, a on — wskazał na Rizza — tam, to jak sięgnie do pańskiej kieszeni? Ech! — westchnął i wzruszył ramionami, porzucając ten temat. — Pewnie dobrze to sobie przemyślał. Dobranoc, kochasiu — dodał zwracając się do Rizza.

Obaj młodzi mężczyźni opuścili bar. Rizzo z poważnym wyrazem twarzy przyglądał się badawczo Joemu.

— No — powiedział — teraz myślisz pewnie, że jestem nieuczciwy!

Zanim Joe zdążył cokolwiek powiedzieć, Rizzo odezwał się znowu:

— I jestem! A jak nie chcesz mnie dłużej znać, to droga wolna!

— Kurwa! — zawołał natychmiast Joe. — Nigdzie nie idę! Nie zrywam z kumplem tylko dlatego, że coś tam kiedyś przeszkrobał.

Teraz znów ujrzał na moment w myśli Juanitę Bosą Stopę: stała patrząc w niebo i ziewała.

— Co więcej — ciągnął, nie zwracając uwagi na jędzę — wyznajesz się na tym, co mi trzeba. Z twoją pomocą wydobędę się z tarapatów.

Rizzo uspokoił się nieco. Obliznął szybko wargi i rzekł:

— Podchodzisz rozsądnie do sprawy.

Joe nachylił się do niego przez stół.

— Zaprowadzisz mnie teraz do tego faceta, pana Jakmutam?

— Teraz? — Rizzo wyraźnie się zdziwił. — O tej porze?

Zmarszczył brwi, jakby się zastanawiał.

— No, pewnie bym mógł, ale...

Spojrzał wyzywająco Joemu prosto w oczy.

— Sam powiedz, czemu miałbym cię zaprowadzić. Dlatego, że równy z ciebie gość? Że postawiłeś mi kilka piw? Bardzo to ładnie, ale wiesz, ile czasu zajmie mi szukanie tego typu? Będę musiał się nachodzić, a z tym kulasem to długo trwa i nie jest żadną frajdą. I nic z tego nie będę miał: zmęczone się, a forsę mi nie przybędzie. Rozumiesz to? Ty będziesz się jutro wylegiwał w szykownej rezydencji i jakaś bogata rura będzie cię drapać po plecach, a gdzie będzie wtedy Rizzo? W jakimś obskurnym barze.

— Słuchaj no! — oburzył się Joe. — Zastanów się, zastanów się, co ty wygadujesz! Za kogo mnie masz? Za jakiegoś sukinsyna, który całą forsę zatrzyma dla siebie, a tobie nic nie odpali? Mówisz jak kutas!

Joe machnął ręką, jakby chciał raz na zawsze skończyć z takimi bredniami.

— Dziękuję, Joe — powiedział Rizzo. — Mówiłem, że jesteś równy gość, a ty przed chwilą to udowodniłeś. Ale, hm... — pokręcił głową. — Niby drobiazg, ale ja nie lubię ryzykować. Taką mam zasadę, rozumiesz?

— Nie było mowy o drobiazgu — zaproponował stanowczo Joe. — Powiedziałem, że ci odpalę część forsę. Powiedz, ile chcesz...

— Nie, nie, nie, Joe! Chodziło mi o to, że nie ufam nikomu, zanim mi nie zapłaci z góry. Bez urazy, wyglądasz na uczciwego gościa, masz uczciwą twarz. Ale ja tak samo. Jak? Mam uczciwą twarz?

— Kurwa, pewnie, że masz uczciwą twarz!

— No widzisz! — Rizzo strzelił palcami i wymierzył wskazujący Joemu w nos. — Do tego zmierzam: mam uczciwą twarz, a jestem zwykłym oszustem. Więc czemu miałbym ci ufać? Sam powiedz.

Joe myślał przez chwilę, marszcząc z wysiłku czoło. Zgasił papierosa i sięgnął do tylnej kieszeni spodni.

— Zaraz ci coś dam, od razu!

— Joe, zaczekaj chwilę — powiedział Rizzo. — Zastanów się.

Przybrał smutny, cierpiętniczy wyraz twarzy, jakby to, co miał powiedzieć, przyprawiało go o straszną mękę. Kręcąc głową, przemówił cichym, cienkim głosem:

— Nie powinienes mi ufać. Nie rozumiesz tego?

Mówiąc to skurczył się w sobie i spojrzał Joemu w twarz szeroko otwartymi oczyma — tak szeroko, jakby kąciaki powiek miały mu się zaraz rozerwać.

— Tak łatwo byłoby cię oszukać — dodał.

— Ech, uważasz, że się tym przejmuję?

Joe zbył tę myśl machnięciem ręki. Następnie rozłożył na stoliku pieniądze.

— Powiedz, ile ci się sprawiedliwie należy?

Rizzo nachylił się, gotów ubić interes.

— Sam. zdecyduj, Joe.

— Dobra, obliczmy wszystko jak stare kutwy. Ile zarobię za noc z taką bogatą damą?

— Za noc? Powiedziałaś „za noc”? Mój drogi! — zawołał Rizzo — Pan O'Daniel nie traci czasu na umawianie na jedną noc. Kurczę, on ci znajdzie stałe miejsce! Może zostaniesz już przy pierwszej damie, a może nie... Kto wie, może nie przy drugiej i nawet nie przy trzeciej... Żeby wylądować na stałe, wszystko musi się idealnie ułożyć. Ale za samą próbę zgarniesz pięćdziesiąt, sto, może jeszcze więcej. Słyszysz, za samą próbę!

— Za próbę?

— Za pierwszą, próbną noc!

Na Joem wywarło to wrażenie.

— Pięćdziesiąt albo sto? Dolarów?

Stuknął w blat stolika, na którym leżały rozłożone pieniądze.

— Ile chcesz? Dziesięć?

Rizzo zaśmiał się lekceważąco, po czym powiedział, uśmiechając się pobłaźliwie:

— Och, Joe, proszę cię! Wiesz, ile mógłbym zarobić przez ten czas zamiast szukać tego faceta? No dobra, nie jestem wymagający. Słuchaj, zrobimy tak: wezmę dychę — schował banknot do kieszeni, jak gdyby ten nie przedstawiał dla niego żadnej wartości. — Ale kiedy przekażę cię panu O'Danielowi, dasz mi drugą dychę. Sprawiedliwie?

Zapadło milczenie.

— Słuchaj, jeśli według ciebie to niesprawiedliwe, nie mamy o czym gadać.

— Powiedz mi jedno — poprosił Joe. — Jaka jest szansa, że ten gość znajdzie mi robotę już na dzisiejszą noc?

— Szansa? To nie loteria. Jeszcze dziś będziesz pracować. Nie ma dwóch zdań. Murowana sprawa! Nie wiesz, jak to jest w Nowym Jorku, Joe. Nie rozumiesz tutejszej sytuacji. Znasz wyrażenie „chłonny rynek“?

Joe pokręcił głową.

— To sytuacja, kiedy popyt jest o wiele większy od podaży. Kapujesz? .

Joe zmarszczył czoło.

— Czeka, ujmę to inaczej: kiedy kobiet jest więcej niż gachów i roboty jest od metra.

Joe natychmiast zerwał się na nogi.

Idąc Broadwayem w stronę Times Square, Joe przekonał się, że kulawa noga zupełnie nieźle służy kalece na dłuższych odcinkach. Rizzo ustalał sobie jakiś cel – na przykład najbliższy róg – po czym wprawiał ciało w ruch, natychmiast wpadając w rytm zwichrowanego koła i kuśtykając do obranego punktu w tak szaleńczym tempie, że nie wiadomo było, czy uda mu się zatrzymać, jeśli będzie czerwone światło.

Przy Czterdziestej Drugiej ulicy Rizzo powiedział:

– Zaczniemy od jego hotelu. Jeżeli będziemy mieć niesamowite szczęście, naprawdę niesamowite szczęście, to może zastaniemy go w jego pokoju. Chodź!

Przewijali się pośród tłumu ludzi, których twarze nigdy nie widziały słońca, tylko zamieniające noc w dzień światło neonów i żarówek, światło, które przebija się przez pierwszą warstwę skóry, również przez kosmetyki, wydobywając spod jej powierzchni brudne kolory: zmęczony błękit, chorowitą zieleń, narkotyczną szarość, bezsenną biel i trupi fiolet.

– Nie, żebym się tego spodziewał – wymamrotał Rizzo. – Pewnie będę musiał włączyć się z tym giczołem po wszystkich barach w okolicy. Prawdę mówiąc, sam nie wiem, po co się tego podjąłem, forsa nie jest mi aż tak potrzebna.

Kiedy weszli do hallu hotelu „Times Square Palace”, Joe zawołał:

– Kurwa, stary, ja tu mieszkam!

Rizzo zatrzymał się. Spojrzał uważnie na Joego.

– Tu mieszkasz? – spytał cienkim, słabym głosem.

Joe skinął głową.

– No.

– Uhm. Znasz może jeszcze kogoś, kto tu mieszka? Co?

– Chyba nie. Dopiero dziś się wprowadziłem.

– Jesteś pewien, że nie?

– Tak, jestem pewien.



— No, co ty na to! — Rizzo uśmiechnął się słabo. — Ale traf, co?

Podniósł słuchawkę hotelowego telefonu.

— Z panem O'Danielem, proszę. Chciałbym mówić z panem O'Danielem.

Czekając na połączenie, Rizzo mrugnął do Joego i dał mu znak ręką, stykając kciuk z palcem wskazującym, żeby zrobić kółko.

— Pan O'Daniel? Dobry wieczór panu. Mówi Enrico Rizzo... Och, ale ja pana pamiętam. Tak jest. Tak, proszę pana, wiele razy, niezapomniane przeżycie... Proszę pana, jest tu ze mną pewien młody człowiek, bardzo sympatyczny młody kowboj. Jest, no, gotów jest — szczerze mówiąc, dopiero co przyjechał z zachodu i potrzebuje pańskiej pomocy, bardzo jej potrzebuje... Mógłby pan coś z nim zrobić dzisiejszej nocy? Jeszcze nigdy nie widziałem... Chciałem powiedzieć, że strasznie mu zależy, pragnie zacząć jak najprędzej... Och, to wspaniale... Tak, gdyby pan mógł, zaraz mu...

Przykrył dłonią słuchawkę i szepnął do Joego:

— Z nieba mu spadłeś! Tonie w zamówieniach, a nie ma kogo posłać. Na pewno chcesz?

Joe skinął tak energicznie, że aż zgiął się w pasie.

— Tak, proszę pana, trzysta siedemnaście — powiedział Rizzo do telefonu. — Dziękuję panu, bardzo panu dziękuję.

Rizzo odłożył słuchawkę.

— Bardzo pragnie cię poznać.

— C-c-co mam teraz zrobić? Iść na górę, ot tak? — Pokój trzysta siedemnaście. Niech cię obejrzę! Rizzo cofnął się i zlustrował Joego od stóp do głów.

— W porządku, fajno wyglądasz. Teraz dasz mi tę drugą dychę, tak?

— Słuchaj, mały! — Joe wręczył Rizzowi dziesięciodolarowy banknot. Potem ujął kalekę jedną ręką za nadgarstek, a drugą za łokieć. — Chcę, żebyś wiedział, że jestem ci wielce zobowiązany. I co więcej, jak wszystko się ułoży... no, nie zapomnę o tobie. Możesz mi wierzyć, nie mówię na wiatr.

— E, nic mi nie jesteś winien. Cieszę się, że mogłem ci się przydać.

Rizzo schował banknot do kieszeni jednym szybkim ruchem.

— Nie, nie — nalegał Joe. — Chcę wiedzieć, gdzie mogę cię znaleźć. No bo, kurwa, chcę ci się odpłacić! Podaj mi swój adres.

— Ty, daj spokój, dobrze?

— Daj adres — napierał Joe.

— Niech ci będzie, mieszkam w hotelu „Sherry-Netherland”, a teraz włącz na górę. On czeka!

Joe puścił ramię Rizza. Zamknął oczy i przykładając palce do skroni powtórzył:

— „Cherry Neverlin”, „Cherry Neverlin”, „Cherry Neverlin”. Zapamiętam!

Kiedy otworzył oczy, zobaczył, że Eizzo przechodzi przez szklane drzwi i gna ulicą tak jak przedtem w szaleńczym tempie.

Joe przejrzał się w lustrze przy wejściu do windy. Ponieważ był trochę blady, zgiął się w pasie zwieszając głowę i ręce w dół, żeby nabrać rumieńców. Potem uczesał się, wciągnął koszulę do spodni, poprawił mankiety, stuknął kilka razy obcasami o posadzkę, żeby dodać sobie otuchy, uśmiechnął się do siebie i wszedł do windy.

Gdy tylko otworzyły się drzwi, Joe poczuł się małym dzieckiem. Bo mężczyzna w pokoju 317 najwyraźniej był czymś ojcem: miał dość lat, żeby nim być. Był stary, ale nie tak naprawdę stary, i miał na sobie fantazyjny, tani i wytarty szlafrok, który mógł być dawnym upominkiem na Dzień Ojca.

Pan o'Daniel był gruby, a jego ogromne, obwisłe policzki przywodziły na myśl ścisłą dietę albo niedawną chorobę. Najbardziej zwracały uwagę jego oczy, błyszczące znad ciemnych worów i spod gęstych brwi wypływającym błękitem niby oczy starego kapitana, na wpół ośleplego od wpatrywania się w horyzont. Stojąc tak ubrany w szlafrok i z lekko rozchylonymi ustami wpatrując się w Joego przenikliwym wzrokiem, wyglądał jak uratowany rozbitek, który nie zna jeszcze losu swoich dzieci. „Czy żyją? — pytały jego oczy. — Czy jesteś jednym z nich?”

Joe postąpił, jakby usiłował odpowiedzieć na takie właśnie pytanie, rzekł bowiem:

— Dobry wieczór panu, jestem Joe Buck.

Pan O'Daniel skinął głową. Powtórzył imię i nazwisko, Joego i jeszcze raz skinął głową. „Nie jest to właściwa pora na powrót do domu, ale dzięki Bogu, że żyjesz” — mówiły jego oczy.

— Joe Buck — powtórzył na głos.

Joe poczuł, że mężczyzna poddaje go ocenie, usiłował więc przybrać odpowiedni wyraz twarzy, żeby pokazać, jak wiele jest wart.

— Podobno jesteś kowbojem, czy to prawda?

— Nie, proszę pana.

Własna szczerość zdziwiła Joego. Żeby pokazać, że nie jest pozbawiony poczucia humoru, powiedział idąc za nagłym impulsem:

— Nie jestem kowbojem, ale pieprzę pierwsza klasa.

Reakcja mężczyzny była inna, niż Joe się spodziewał. Pan O'Daniel był wyraźnie zgorszony.

— Synu! — powiedział surowo. — Takie słowa są nie na miejscu. Wejdz.

Joe zobaczył ponury pokój, brudne zielone ściany i jedno okno wychodzące na duszną studnię, z której wionęło wilgocią i zapachem rozkładającej się padliny. Ani przez myśl nie przeszło mu jednak, że pan O'Daniel z nędzy mieszka w takich warunkach — był przekonany, że ma on po temu powody wynikające z zawodowej chytrłości.

— Choć z drugiej strony — powiedział ojcowski mężczyzna, siadając na łóżku — czemu nie, skoro masz ochotę na szczerą rozmowę? Przecież po to tu przyszedłeś, prawda?

— Tak, proszę pana — odparł Joe.

Zdawał sobie sprawę, że nie za bardzo rozumie, do czego zmierza pan O'Daniel, ale ponieważ jedną gafę już popełnił, chciał teraz sprawić wrażenie inteligentnego i układnego młodzieńca.

— Jesteś... hm...

Pan O'Daniel wciąż przypatrywał mu się badawczo.

— Jesteś nieco inny od większości chłopców, którzy do mnie przychodzą. Są, jakby to powiedzieć, zagubieni, niepewni. O tobie natomiast powiedziałbym, że doskonale wiesz, czego chcesz.

W głosie mężczyzny było coś staroświeckiego — wydłużone samogłoski prowincjonalnego krasomówcy, przekonywający ton szamana — ale poza tym pan O'Daniel mówił tak samo jak przeciętny mieszkaniec każdego z tysięcy amerykańskich miasteczek.

— Pewnie, że wiem, proszę pana!

— Ale pewnie jedno łączy cię z tamtymi chłopcami: samotność! — powiedział gniewnie pan O'Daniel. — Mam rację? Jesteś samotny, tak?

— Ja? No, jakby to... — Joe pragnął zyskać na czasie. Nie wiedział, czego jego rozmówca po nim oczekuje. — Nie za bardzo... No wie pan, tak trochę...

— Aha! Wiedziałem od razu! Zawsze to samo usprawiedliwienie: samotność! — Ton jego stał się skamlący: — Jestem samotny, dlatego jestem pijakiem. Jestem samotny, dlatego jestem narkomanem. Jestem samotny, dlatego jestem złodziejem, rozpustnikiem, dziwkarczykiem. Bzdury! Bzdury, mówię! Słyszałem to setki razy. Zawsze sprowadza się do jednego: byłem samotny, samotny! Po uszy mam tego!

Nagle Joe poczuł, że nareszcie wszystko rozumie: ten facet to na pewno tęgi stręczyciel, tak jak mówił Rizzo, ale jest też lekko pomyłony. Żałował, że Rizzo go nie uprzedził.

— Ewangelia podaje jasno — powiedział pan O'Daniel i patrząc w sufit zaczął recytować z pamięci: — „Błogosławieni ubodzy duchem, albowiem ich jest królestwo niebieskie. Błogosławieni, którzy płaczą...”

„Może byłby mi wdzięczny, stary biedaczysko, gdybym mu przypomniał o celu naszej rozmowy” — pomyślał Joe.

— „Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości, albowiem ich jest królestwo niebieskie”. Słyszałeś? — zakończył pan O'Daniel tonem człowieka, który udowodnił, że ma rację i może teraz pozwolić sobie na wielkoduszność. — Czy jest coś o samotnych? Choć jedno słowo? Jest o ubogich duchem, o cichych, o miłosiernych, również o tych, którzy pragną sprawiedliwości. Pewnie, że jest. Ale — pochylił się do

przodu, wciąż siedząc na łóżku oparł łokcie o kolana, splótł ciasno palce, tworząc grube iksy i wbił palące spojrzenie w Joego — nie ma ani wzmianki, ani jednej wzmianki, o samotnych. A wiesz dlaczego? Bo nie ma błogosławieństwa dla samotnych. Pismo święte nie mówi, że są błogosławieni. Nie ma o tym ani słowa!

Stopniowo wprawił się znów we wściekłość:

— Z samotnością trzeba się pogodzić! Pogodzić! Słyszysz mnie, do cholery, trzeba się pogodzić, pogodzić!

Wyprostował się, stulając ramiona, jakby nagle poczuł chłód. Nareszcie dotarła do niego wieść o losie jego dzieci: wszystkie się utopiły.

— Robią to, robią tamto, co tylko im się podoba, żyją jak bezbożnicy, folgują swoim zachciankom i myślą, że wszystko jest w porządku, jak najbardziej w porządku, bo byli samotni! Hm-mm! Hmm-mm! Hm-mm! Wcale nie jest w porządku!

Jego głos osłabł; kazanie skończyło się. Wstał z łóżka i zaczął krążyć po pokoju, mówiąc cicho i szybko:

— Przeczytaj piąty rozdział Ewangelii według Mateusza, tam wszystko jest napisane. Szósty też ci nie zaszkodzi, przeczytaj i szósty. A teraz wracajmy do sprawy. Jesteś kowbojem, tak?

— Tak, proszę pana, jestem kowbojem — odpowiedział Joe, szczęśliwy, że rozmowa wróciła na właściwe tory.

— No cóż, potrzebujemy kowbojów, potrzebujemy wszystkich.

Pan O'Daniel poddał Joego kolejnej lustracji, po czym skinął głową.

— Sympatyczny chłopak, młody, silny, z dobrą prezencją, ma w tej pracy nieograniczone możliwości.

Joe poczuł ulgę i wdzięczność, że został przyjęty. Uśmiechnął się szeroko. Czuł się coraz lepiej w towarzystwie tego pomyłonego, wiele znaczącego człowieka o ojcowskim wyglądzie.

— Synu, wiesz, co powinniśmy teraz zrobić?

— Cokolwiek to ma być — odparł Joe — jestem gotów.

— Tak, wierzę.

Ciężka ręka spoczęła na ramieniu Joego, a błękitne,, wilgotne, dobrotliwe oczy spojrzwały na niego przenikliwie.

— Mam pewne przeczucie, Joe Buck. To tylko przeczucie, ale coś mi się zdaje, że pójdziesz ci lepiej niż innym.

— Ja też tak myślę, proszę pana. — Joe skinął głową i znów się uśmiechnął. — To dla mnie chleb z masłem.

— Chleb z masłem!

Pan O'Daniel, zachwycony tym powiedzeniem, powtórzył je jeszcze kilkakrotnie; Spojrzał na Joego, jakby odkrył w nim poetę pierwszej wielkości.

— Widzisz? Na tym też polega twoja moc, twoja siła. Potrafisz ująć wszystko w proste słowa, które każdy człowiek jest w stanie zrozumieć. Synu, uprzedzam cię, nie będę cię oszczędzał! Będziesz harował jak wół! Nie boisz się ciężkiej, naprawdę ciężkiej pracy?

Joe zwinął dłoń w pięść i wyrzucił ją w górę. Następnie podniósł obie ręce ruchem, który oznaczał: „Co więcej mogę panu powiedzieć?”

Teraz pan O'Daniel również się uśmiechnął.

— Jesteś wspaniałym chłopcem — rzekł. — Do diabła, coś mi się zdaje, że czeka nas wiele wspólnych chwil radości! Bo może być wesoło, a pewnie! Słuchaj!

Podniósł rękę jak polityk, kiedy chce uciszyć zebranych, i powiedział cicho, niemal szeptem:

— Może ukłękniemy? Co ty na to?

W następnej chwili nie padło ani jedno słowo, żaden z nich nie drgnął, nie odetchnął. Joe wiedział teraz to, co zaczął podejrzewać, skoro tylko otworzyły się przed nim drzwi do pokoju.

Podejrzenia te powoli i nieodwołalnie przedostawały się do jego krwiobiegu niczym ohydna zielona trucizna, której istnienia nie chciał sobie uzmysławić. I teraz, chociaż już wiedział — i nie miał żadnych wątpliwości — wciąż było za wcześnie, żeby postąpić tak, jak powinien, wiedząc wszystko.

Dlatego też po długiej chwili zapytał:

— Ukłęknać... gdzie?

Wargi miał zaschnięte, a głos cichy i słaby.

— Tutaj! — odparł pan O Daniel. — Bo niby czemu nie? To też kościół. Każdy cal naszej ziemi jest kościołem. Modliłem się w szynkach, modliłem się na ulicy. Nigdzie nie wstydzę się modlić. Chcesz coś wiedzieć?

— Słucham, proszę pana.

— Modliłem się siedząc na sedesie! Jego nie obchodzi, gdzie. Chce tylko słyszeć modlitwy!

Joe skinął głową i nie wiedząc, co robić, postanowił uklęknąć i pomodlić się. Nie mógł się jednak skupić.

## 8

Przemyślał szwindel, którego padł ofiarą. Wciąż nie mógł uwierzyć w to, co zaszło, więc po raz drugi rozważył wszystko po kolei, później po raz trzeci. Potem dotarli do niego słowa pana O'Daniela o konieczności przyjęcia do serca Jezusa i wtedy zrozumiał nagle, co się stało.

Wstał bez słowa i wybiegł z pokoju, zdecydowany nie puścić oszustwa płazem.

— Chłopcze! Chłopcze! Chłopcze, nie bój się! — wołał za nim pan O'Daniel, ale Joe nawet się nie obejrzał. Nie czekając na windę zbiegł na dół przeskakując po dwa schodki, i wyleciał na Czterdziątą Ulicę, pognął w stronę Szóstej Alei, zawrócił i pobiegł w stronę Ósmej, choć dobrze zdawał sobie sprawę, że nie ma żadnych prawie szans na odnalezienie Rizza. Usiłował przypomnieć sobie nazwę hotelu kaleki — wiedział jednak, że to mu nic nie da. Joemu nie zależało już na odzyskaniu dwudziestu dolarów; pragnął teraz zemsty, która pozwoliłaby mu zapomnieć, że go wystrychnięto na dudka. Stojąc na Times Square, zwrócony twarzą do Broadwayu i Duffy Square, wyobraził sobie następującą scenę:

Groteskowa postać wypada kuśtykając zza rogu i znika w sklepie tytoniowym. Joe przebiega przez ulicę i odcina oszustowi odwrót. Rizzo bynajmniej nie okazuje skruchy: naigrawa się z człowieka, którego okpił, Joe wyciąga nóż i przykłada ostrze do gardła Rizza, zamierzając poderznąć je jednym zgrabnym cięciem — ale nawet w wyobraźni nie potrafił wbić noża w ciało chłopaka — upuszcza nóż i gołymi rękami dusi Rizza. Zabójstwo ściąga tłum gapiów, przyjeżdża policja i...

W tym miejscu scena się urwała; Joe zobaczył swoje zdjęcie na pierwszej stronie gazety. Przystanął, zamrugał oczyma i spojrzał raz jeszcze. Gazeta nie była fantazją, istniała równie namacalnie jak jego własne buty. Był także sprzedawca, zielony kiosk i stosy dzienników. Na pierwszej stronie jednego z nich widniała fotografia młodego mężczyzny, prowadzonego przez dwóch policjantów.

„Niemożliwe, żebym to był ja — pomyślał Joe. — Przecież nikogo nie zabiłem!”

Ale fotografia świadczyła o czymś innym.



Joe kupił gazetę i wszedł z nią do lokalu, gdzie sprzedawano pizzę. Oglądając przy świetle fotografię przekonał się, że młody mężczyzna, choć bliźniaczo do niego podobny, w rzeczywistości jest kim innym: mordercą z Zachodniej Wirginii, który zastrzelił jedenaścioro członków własnej rodziny w wyniku sprzeczki o organki.

Widok na tak oficjalnie wyglądającym papierze jak gazeta własnego sobowtóra, odprowadzanego przez policjantów, był dla Joego przeżyciem, po którym nie mógł odzyskać równowagi. Wyszedł z lokalu na poszukiwanie lustra. Znalazł je tuż obok drzwi.

— Nikogo nie zabiłem — powiedział do gładkiej tafli. — I nikogo nie zabiję.

Potrząsnął surowo głową w stronę swojego odbicia i odszedł. Słyszał stukot własnych butów, ale dźwięk ten był mu teraz obcy i niewiele znaczył.

W kilka minut później w pokoju hotelowym stał przed innym lustrem, tym nad komodą, i wpatrywał się pilnie w odbicie własnej twarzy, jakby widział je po raz pierwszy.

„Nie, taki człowiek nie zabija ludzi” — pomyślał. Ale w swoich oczach wyczytał pytanie. Odpowiedział na nie w myśli: „Nie, w żadnym razie, nawet gnid. Nawet Gnidy! Tak go nazwał jeden z tych pedałów — Gnida. Gnida Rizzo! Chromolę Gnidę Rizza”.

Tej nocy Joe położył się spać przy zapalonych światłach.

Następnego dnia budził się kilkakrotnie, ale na dobre obudził się dopiero po południu. Jednak nawet wtedy leżał jeszcze przez jakiś czas, udając, że śpi, i bezskutecznie usiłując wmówić sobie, że jest to prawda.

Ale tego dnia, a także przez kilka następnych, rzeczywiście udało mu się trwać w transie zbliżonym do somnambulizmu: poruszał się, rozmawiał i wykonywał zwykłe życiowe czynności, takie jak drapanie się, jedzenie, chodzenie do łazienki i tak dalej, niemal automatycznie. Wiedział, że pieniądze rozchodzą mu się błyskawicznie i wkrótce pozostanie bez forsy, ale nie potrafił się tym przejąć, i to nawet gdy pod koniec drugiego tygodnia otrzymał od dyrekcji hotelu ponaglenie w sprawie rachunku.

W nocy, w snach, groziły mu najstraszniejsze niebezpieczeństwa: nie panując nad kierownicą pędził samochodem na złamanie karku, przebywał na straszliwych wysokościach, pływał wyczerpany po bezkresnych oceanach... Natomiast kiedy nie spał, trwał w

stanie odrętwienia, odizolowany od własnej sytuacji wieloma warstwami nie powiązanych myśli, fantazji i drobnych trosk.

Wąłęsał się bez końca bocznymi ulicami Broadwayu, z głową przechyloną na bok, słuchając małego radia, które trzymał przy uchu — ten kontakt z niewidzialnym światem stacji nadawczych dawał mu kruche poczucie bezpieczeństwa. Najbardziej lubił, kiedy w programie szły rozmowy, i wtedy często się do nich włączał.

— Chcesz mi wmówić — zapytał pewnego dnia głos osoby mającej tak zatkany nos, że jej płci nie sposób było odgadnąć — że nic nie chciało stać w miejscu?

— Nie, nie, nie! — odpowiedział z rozdrażnieniem jakiś nadęty staruch. — Tego nie powiedziałem. Oznaczałoby to trzęsienie ziemi. Ja mówię o lewitacji, o lewitacji!

— Wiesz pan, co ja na to? — zapytał Joe Buck. — Ja na to mówię: kurwa! I ja tu jestem szefem!

Trzask. Joe przełączył radio na inną stację.

— Powiem wam jedno — oznajmił śpiewnie cienki starczy głos — kiedy będzie wam doskwierać reumatyzm, ischias czy inna dolegliwość starości, nie narzekajcie! Pomyślcie o tych, którzy pozbawieni są przywileju starzenia się w naszym wspaniałym świecie.

— Ha! — włączył się mężczyzna o cukierkowym głosie. — Czy to nie znakomita recepta na szczęśliwsze życie? Proszę państwa, czyż nie zachwyca was ta rada osoby, która doczekała się prawnuków?

— No pewnie — powiedział Joe, zagłuszając brawa płynące z radia. — Ale nie odchodź jeszcze, babciu, chcę cię zapytać o coś innego. Słyszałem o tobie pewną plotkę i chciałbym wiedzieć, czy to prawda. Jak? Rzeczywiście wciąż dajesz chłopakom? Co ty powiesz!?! Tak, tak, to zachwycające, nie ma dwóch zdań!

I tak dalej.

Pewnego dnia w barze nieco keczupu wylało się na beżową skórzaną kurtkę Joego, pozostawiając brzydką plamę. Odtąd Joe starał się tak stać i chodzić, żeby skaza w jego wyglądzie była niewidoczna. Następnie wpadł na pomysł, żeby narysować keczupem wokół plamy jakiś wzór, żeby wyglądało to na efekt zamierzony. Ukradł nawet trochę keczupu i poszedł do toalety, ale nie potrafił powziąć decyzji, co narysować. Wahania

zajęły mu dobre parę godzin. Było to charakterystyczne dla odrętwienia, które ogarnęło jego mózg.

Pewnego wieczoru w pierwszych dniach września wydarzyło się coś, co sprawiło, że Joe otrząsnął się gwałtownie z letargu: kiedy wrócił do hotelu, okazało się, że nie ma wstępu do swojego pokoju.

— Przechowamy pańskie rzeczy w piwnicy, nic się im nie stanie — wyjaśnił mu recepcjonista, kiedy Joe zapytał o walizkę z końskiej skóry w czarno-białe łaty. — Zwrócimy ją, kiedy ureguluje pan rachunek.

Joe próbował targować się z recepcjonistą, proponując mu wszystkie swoje rzeczy w zamian za zwrot walizki i pliku listów, które dostał od Sally, kiedy był jeszcze w wojsku.

— O, nie — odparł recepcjonista. — Zatrzymujemy wszystko, wszystko. Zawsze tak robimy.

Teraz najbardziej palącym problemem Joego stało się znalezienie miejsca do spania. Ale nie to było najgorsze. Zatrzymali jego walizkę z końskiej skóry!

Zszedł na stację metra pod Times Square, bo na znajdujących się tam automatach do sprzedaży różnych drobiazgów i słodyczy umieszczone były lusterka. Musiał zobaczyć swoją twarz, żeby przekonać się, czy to, co się teraz stało, zdarzyło się rzeczywiście, czy tylko to sobie wyobraził. Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby poznał prawdę.

— Dobra, kowboju! — powiedział do oszołomionego młodego mężczyzny, którego zobaczył w lusterku. — Dość już tego. Wiesz, co masz zrobić?

Skinął głową.

— Ale czy muszę?

— Chcesz odzyskać walizkę?

Skinął ponownie.

— Więc musisz.

Spojrzenia klientów nie omijały żadnego z młodych mężczyzn stojących na rogu Ósmej Alei i Czterdziestej Drugiej Ulicy. To było łatwe. Sztuka polegała na tym, by osiągnąć w myśli odpowiednią równowagę pomiędzy zainteresowaniem a jego brakiem, równowagę, która przebijałaby z całej sylwetki, ruchów ciała, oczu i tak dalej, i skłoniła klienta, żeby podszedł i rozpoczął rozmowę — żeby nabrał odwagi, ale nie stracił jednocześnie ochoty. Wówczas ważne stawały się inne umiejętności: trzeba było wiedzieć, co mówić, a czego nie, kiedy dobić targu, a kiedy domagać się wyższej zapłaty.

Joe nie miał ani doświadczenia w tych sprawach, ani też wrodzonych predyspozycji. Co więcej — nie mógł się skoncentrować; zrozumiał smętny sens tego, co robi, poczuł, czego ten wieczór stanowi początek, ogarnęła go paralizująca i ciężka jak ołów świadomość, że sukces jest tu prawdopodobnie czymś gorszym od niepowodzenia. Ale należało odzyskać walizkę.

Stojąc oparty o okno drogerii usiłował myśleć o walizce i listach w inny sposób niż dotychczas: jako o rzeczach bezwartościowych. Z listami mu się udało. I tak znalazł je na pamięć, a ich wartość dawno już się zdewaluowała; tyle razy czytał je i dotykał, aż mu wreszcie zobojętniały.

Ale z walizką była zupełnie inna sprawa. W chwili gdy zatrzęsnęły się za nią drzwi hotelu, stała się dla niego cenniejsza od najwspanialszego skarbu. Usiłował odgadnąć, dlaczego tak mu na niej zależy. Otworzył ją w wyobraźni i zajrzał do środka: było tam pusto, czarno, ale właśnie to nadawało jej ową ogromną wartość — jakaś nieuchwytna właściwość: słodycz ciepła i mroku. Ale chyba najważniejsze było to, że walizka może stanowić schronienie; w myśli widział, jak wsuwa się do niej i opuszcza za sobą wieko. Później przyszło mu do głowy, że rozpoznaje w niej różne zapachy: najpierw zapach końskiej sierści, potem nawozu, a także wszystkie zapachy rancza, znane z niedziel dzieciństwa, ponadto zapach czekoladowych cukierków i tytoniu do żucia, zapach Rio Grande, portmonetki Sally, czyjegoś forda z trzydziestego szóstego roku... Nie wiadomo, jak walizka kupiona w Houston przed kilkoma miesiącami mogła zgromadzić tyle

cennych wspomnień, ale tak się stało. I dlatego nic na świecie nie było dla Joego tak ważne jak jej odzyskanie.

Przez dwie i pół godziny czekania Joe rozmawiał jedynie dwa razy z ewentualnymi klientami. Kiedy opowiadał im o swojej walizce, wprawiało ich to w panikę i tracili zainteresowanie. A może suma, jakiej żądał — dwadzieścia siedem dolarów, tyle, ile był winien w hotelu — była za wysoka.

Kiedy wreszcie zaczął rozmowę z grubym, wystraszonego uczniakiem, który wyglądał najwyżej na siedemnaście lat, gotów był pójść na kompromis co do ceny, ale ku jego zdziwieniu chłopak zgodził się zapłacić całą sumę.

Joemu zrobiło się słabo, ale jednocześnie poczuł ulgę, że nareszcie znalazł kupca.

— Skąd masz tyle forsy? — zapytał, bowiem nauczył się już podejrzliwości.

— Od matki — padła odpowiedź.

Przez następny kwadrans nastolatek z podręcznikami szkolnymi pod pachą prowadził wysokiego kowboja ulicami Kuchni Piekła, zapewniając go, że zna odpowiednie miejsce. Na jednej z bocznic za Dziesiątą Aleją skręcił w bramę domu czynszowego.

Na niższych piętrach korytarze cuchnęły tak okropnie, jakby za wszystkimi drzwiami stare wiedźmy gotowały kocie szczyny. Ale kiedy dotarli do piątego, a potem szóstego piętra i wreszcie wyszli na dach, fetor ustąpił miejsca świeżemu, łagodnemu powietrzu, słodkiemu jak zwykle we wrześniu. Tu, na dachu, w najpiękniejszy chyba wieczór roku w pięknym bursztynowym blasku jesiennego księżyca, podczas gdy Joe Buck stał wyprostowany i czekał starając się myśleć o czym innym, nastąpiło pospieszne, żalosne wypełnienie transakcji. A później wyrośnięte, grube dziecko zwymiotowało u stóp kowboja, który podtrzymywał mu głowę.

— Przykro mi, dzieciaku — powiedział Joe — ale nic na to nie poradzę, że chce ci się po tym rzygać. Musisz mi dać forszę, tak jakeśmy się umówili.

— Nie mam ani centa, skłamałem — odpowiedział chłopiec. — Co ze mną zrobisz?

Joe popatrzył na niego gniewnie, powstrzymując się, żeby nie uderzyć go w twarz.

— Opróżnij kieszenie! — rozkazał.

Chłopiec opróżnił kieszenie, wykonując polecenie Joego z gorączkową gorliwością, z której wyraźnie wynikało, że w przeciwieństwie do uprzedniej czynności sprawia mu to wielką przyjemność. Ale w kieszeniach nie miał nic wartościowego: wytarty, tani portfel ze zdjęciami rodziny, brudną chustkę do nosa, dwa bilety z metra i to wszystko. Ale na ręce miał zegarek.

— Ile jest wart? — zapytał Joe wskazując na zegarek.

Pytanie przeraziło nastolatka. Począł skomleć:

— Nie mogę pokazać się w domu bez zegarka, dała mi go matka, dała mi na konfirmację! Umrze! Gotowa umrzeć albo mnie zabije!

Upadł na kolana.

— Błagam, błagam, tylko nie zegarek! Zabierz moje książki! Książki!

Joe zostawił go, ale nawet kiedy był już na schodach, wciąż słyszał, jak chłopiec powtarza w kółko i w kółko, że jest mu strasznie, strasznie, naprawdę strasznie przykro.

Joe mu wierzył.

Chodził przez długi czas bez żadnego konkretnego celu, ale w nadziei, że uda mu się znaleźć miejsce, gdzie nie będzie nikogo — niełatwa rzecz w Nowym Jorku, chyba że ma się pieniądze, żeby płacić za samotność.

W końcu skierował się na zachód, pamiętając, że gdzieś w tej stronie leży rzeka, rzeka łącząca się z innymi rzekami, kanałami i pewnie nawet z kochaną Rio Grande. Zaprażył usiąść na brzegu i zwiesić nogi nad powierzchnią wody. Ale kiedy doszedł już tak daleko na zachód, jak mógł, przekonał się, że drogę barykują budynki przedsiębiorstw wodnych; do rzeki nie było dostępu. Skierował się więc na wschód, przeszedł pod autostradą i wkrótce znalazł się na parkingu wypełnionym olbrzymimi ciężarówkami. W labiryncie pojazdów znalazł jeden, który miał z tyłu opuszczoną klapę, wdrapał się więc na platformę i usiadł ze zwieszonymi nogami, wyobrażając sobie, że pojazd jest w ruchu. Potem zdecydował się położyć, popatrzeć na niebo. Po jakimś czasie zdjął buty i powąchał je: śmierdziały. Joe zdał sobie sprawę, że w najbliższej przyszłości nie będzie miał warunków, żeby dbać o nie, jak należy.

Podczas gdy myślał o stanie swych stóp, gdy rozważał, jakiej barwy jest niebo, i zastanawiał się od niechcenia, czy platforma jest brudna, narastało w nim przeświadczenie zbyt straszne, żeby mógł przyjąć je do wiadomości, że jest nikim, człowiekiem bez swojego czasu i miejsca, nic dla nikogo nie wartym. Przeświadczenie to, zbyt przerażające, żeby mógł mu pozwolić wychynąć z podświadomości, znalazło sobie w niej różne szpary i pęknięcia i przenikało do myśli Joego, kiedy wciąż tkwił w zadumie, zastanawiając się na przykład, czy ktoś kiedykolwiek policzył gwiazdy albo czy przyszło już komuś do głowy, że gwiazdy są ze srebra, ponieważ tak samo właśnie migoczą jak srebro, migoczące srebro; a kto to były te trzy srebrnowłose kobiety, blondynki z jego dzieciństwa jeszcze sprzed Sally Buck, po prostu kurwy, tak?

Małe radio, spoczywające na jego piersi i kołyszące się lekko z każdym bum, bum, bum jego serca, przyciągnęło nagle jego uwagę. „Dzięki Bogu — pomyślał — że moje radio nie wpadło w ręce tych sukinsynów; nie ma co, mam je tutaj!” Ale ponieważ uznał, że należy oszczędzać baterie, wołał go nie włączać. Powąchał za to skórzany futerał, po czym skrzyżował ręce na radioodbiorniku.

Przez jakiś czas leżał tak, patrząc na gwiazdy i księżyc, nie myśląc o tym, jak się mają jego sprawy. Nie spał, a jednak jakby śnił o sobie i tej ciężarówce.

Ciężarówka, niezupełnie prawdziwa, mogła być jakimkolwiek odległym, nocnym miejscem, jaskinią na mrocznej powierzchni nieznanego satelity, a leżący w środku Joe nie miał tożsamości, nie był nawet człowiekiem, tylko jakąś pierwotną istotą, nie związaną z nikim i z niczym.

Żółta kula daleko w przestrzeni wydała mu się Ziemią, więc to, co teraz widział, mogło stanowić tło do jego dawnego snu, w którym tłumy ludzi maszerowały wkoło po jej obwodzie...

Z jedną tylko różnicą — nigdzie w pobliżu nie było widać ludzi.

Nie wiedząc zupełnie, dokąd się udać, Joe Buck brnął coraz głębiej we wrzesień.

Wkrótce miała nastać zima, a jeszcze wcześniej miały mu się skończyć pieniądze. Na razie Joe nie marzył, a jeśli chodzi o pieniądze, to — oszczędny jak uboga wdowa — wydzielał sobie po trosze pozostałe mu siedem dolarów, kupując wyłącznie rzeczy niezbędne, a i to nie wszystkie. Nauczył się tanio jadać — w barze samoobsługowym za jedne dwadzieścia centów można było kupić w automacie smażoną fasolę albo makaron zapiekany z serem; w „A & P” za ćwierć dolara można było napęlić kieszenie rodzynekami i marchwią, na Dziewiątej Alei łatwo kradło się jabłka, jak również śliwki i brzoskwinie, poza tym nie wszyscy piekarze Żydzi strzegli zazdrośnie bułek z cebulą i bajgli. I tak szczupły, Joe stracił tylko kilka funtów, więc nadal był w dobrej formie. Ale skóra wokół jego oczu nabrała sinej barwy, a same oczy wydawały się teraz głębiej osadzone — był to skutek niedosypiania, gdyż sypiał gdzie popadło: w ciężarówkach, w kinach lub na ławkach na Pennsylvania Station albo na pętli autobusowej przy lotnisku. Twarz jego była teraz smutna i niemal świątobliwa. Unikał przeglądania się w lustrze, bo ten wygląd stanowił dla niego haniebny dowód niepowodzenia. Ale tak samo jak przedtem Joe dbał o swoją powierzchowność, a jeszcze bardziej o czystość. Nosił w kieszeni mydło i maszynkę do golenia, a w skarpecie szczoteczkę do zębów — mył się w toaletach barów i restauracji. Regularnie mył także genitalia i prawie codziennie znajdował okazję, żeby zdjąć buty i umyć nogi w umywalce. Kiedy inni mężczyźni natykali się na niego, gdy właśnie zajęty był takimi czynnościami, Joe twardo panował nad zakłopotaniem, koncentrując się jeszcze bardziej na swojej potrzebie czystości. Uznał bowiem, że woda i mydło stanowią jego jedyną szansę na przetrwanie.

W sumie uwijał się od świtu do nocy. Komuś obserwującemu go z boku mogło się wydawać, że Joe marnuje wiele czasu — na przykład, kręcąc się w pobliżu sklepu, wpatrując się z zachwytem w stosy czystych skarpetek i dumając, czy by nie rąbnąć pary, albo stojąc przed zakładem fryzjerskim i przeciwstawiając w myśli potrzebę ostrzyżenia innym wydatkom. Ale prawie zawsze miał przed sobą jakiś drobny cel, który dla niego był w tej chwili ważny.



Czasem przychodziło mu do głowy, żeby się wziąć do pracy, ale podobne myśli, mało dla niego atrakcyjne, ulatniały się szybko, nie wywołując żadnego oddźwięku. Interesowała go jednak praca, a może nawet tęsknił za nią na swój sposób. Kiedy wałęsał się po mieście, widok pracujących ludzi za każdym razem nieodparcie przyciągał jego uwagę. Obserwował przez szybę przyrządzanie pizzy, jakby był to jakiś skomplikowany numer rozrywkowy, z nieuchwytnym dla niego sensem. Dlaczego człowiek pracuje? Dla pieniędzy. Na co mu pieniądze? Na czynsz, jedzenie, rodzinę. Wyjątkowo proste. I przez to tym bardziej zagadkowe, ponieważ umysł Joego kwestionował teraz wszelkie truizmy. Za każdym razem oprócz odpowiedzi, której potrafił sobie udzielić, zdawała się istnieć inna, ważniejsza, ukryta w jakimś zakamarku jego umysłu. I właśnie ta odpowiedź, gdyby kiedykolwiek stała się dla niego dostępna, byłaby jak światło, przy którym wszystko pozostałe nabiera wreszcie sensu.

Pewnej deszczowej nocy — a na jakiś czas miała to być jego ostatnia samotna noc — Joe wyasygnował sześćdziesiąt pięć centów na miejsce do spania i wszedł do kina na Czterdziestej Drugiej Ulicy. Wyświetlany był film fantastyczno-naukowy o tym, jak grupa ludzi z Ziemi znalazła się na odległej planecie we władaniu Głosu. Głosu znikąd. Film leciał seans po seansie non stop przez całą noc, a sny Joego doskonale dostosowywały się do akcji na ekranie.

Na przykład w pewnych momentach Głos wołał: „Ziemianinie! Ziemianinie!” — a Joe budził się wtedy zupełnie tak, jakby Głos wołał: „Joe Buck! Joe Buck!” Kiedy się już wyspał za wszystkie czasy, pozostał w kinie, żeby dowiedzieć się, czyj to Głos, licząc po trosze, że wyjawienie tego może mu pomóc zrozumieć inne sprawy. Ale okazało się oczywiście, że to tylko jakaś dziwaczna maszyna, skonstruowana wyłącznie po to, żeby było co pokazać na filmie.

Ale tego dnia w swoich wędrówkach Joe w dziwny, nowy i przyjemny sposób postrzegał, jak ludzie, a nawet on sam, są powiązani z planetą Ziemią, postrzegał, że się z niej biorą, należą do niej, istnieją właśnie na niej, żyją z niej i na niej załatwiają swoje sprawy, więc kiedy jego wzrok padał na kogoś, na przykład na starą kobietę na ulicy, biegnące dziecko, jubilera w oknie sklepu, wtedy Joe powtarzał w myśli: „Ziemianinie!

Ziemianinie!" — i widział rysy ich twarzy, ich kończyny, skórę i włosy przez pryzmat tego nowego daru postrzegania, jaki wykształcił się w nim w ciągu nocy.

Raz, w tym samym nastroju — i zupełnie niechcący, ponieważ wcale nie szukał lustra — natknął się na samego siebie. Było to przy wejściu do jakiegoś budynku na ósmej Alei. Szedł mu naprzeciw wielkooki, przystojny mężczyzna, wysoki jak strach na wróble, z groźną, rzeczową miną zdecydowanego i niestrudzonego myśliwego. Oczywiście, zorientował się błyskawicznie, że to jego własne odbicie, ale mając niejasne pragnienie, żeby nastąpił jakiś kontakt, zatrzymał się na chwilę i zawołał w myśli do siebie: „Ziemianinie! Ziemianinie!” Nic jednak z tego nie wyszło, zupełnie nic się w nim nie zmieniło; mógł powtarzać: „Ziemianinie”, ile tylko chciał, a wciąż był tą samą osobą.

Doszedł do Czterdziestej Drugiej Ulicy i tam, przed bankiem na rogu, zobaczył pana O'Daniela, który besztal gromadę ludzi za grzech samotności.

— Tak, przemierzyłem wzdłuż i wszerz ten wielki kraj — mówił, wymachując prawą ręką, a w lewej trzymając amerykańską flagę — i widziałem rzeczy straszne. Ulice tego kraju zapełnione są samotnymi ludźmi: chłopcami, mężczyznami w średnim wieku, dziewczętami i kobietami, których dusi okrutna samotność. I widziałem podwórka szkolne, a na nich bawiące się dzieci. I widok ten przeraził mnie. Widziałem w oczach dzieci ziarno tego samego straszego grzechu; samotność zapuściła w nich korzenie i jeżeli się temu nie zaradzi, powtarzam: nie zaradzi, przy tym kraju Sodoma i Gomora będą bajką dla grzecznych dzieci! Słyszcie! Czytajcie Ewangelię według Mateusza!

Joe zorientował się, że pan O'Daniel rozkręcił się na dobre i nie zamierza szybko skończyć. Ruszył dalej, a ostatnie, co usłyszał, było:

— „Wy jesteście solą ziemi; jeżeli tedy sól zwietrzeje, czymże ją nasolą?” Tak powiedział Jezus. A ja mówię: „Jezu! Pomóż nam! Zanim zwietrzejemy przez samotność i nic nie pozostanie”.

Joe szedł dalej, aż głos zlał się z gwarem ulicznym. Wtedy obejrzał się, żeby spojrzeć po raz ostatni: zobaczył kaznodzieję, który teraz wyglądał jak aktor z pantomimy, i spostrzegł, że ten wcale nie patrzy na ludzi zebranych na chodniku. Spoglądał ponad ich głowami, jakby gotów powitać przybysza, który się jeszcze nie zjawił. Wydało się Joemu, że pan O'Daniel wznieca cały ten rwetes dla zupełnie innego powodu, niż można było sądzić: wrzeszczał i wymachiwał flagą jak człowiek zagubiony,

który chce powiadomić, gdzie się znajduje, kogoś, kto jest bardzo, bardzo daleko. Ale kogo? Kobietę? Dziecko? I skąd ich oczekuje? Z New Jersey? Z Ósmej Alei? Z Dalekiego Zachodu? A może z nieba?

W sumie kaznodzieja o ojcowskim wyglądzie i szalonym spojrzeniu, gestykulujący i czekający na przybysza znikąd, stanowił niepokojący widok. Joego przeszył dreszcz. Wymamrotał słowo „Ziemianin” i ruszył dalej na swoją bezcelową cygańską wędrówkę, pragnąc jak najprędzej zapomnieć o całej sprawie.

I właśnie tego popołudnia wydarzyło się coś, co miało mienić całe jego życie: wałęsając się, trafił na kulawego oszusta, Gnidę Rizza.

Mijając bar Nedicka przy Siódmej Ulicy w Greenwich Village, Joe zobaczył przez szybę duże brązowe oczy patrzące na niego znad kubka kawy.

Gnida, spostrzegłszy Joego, zamknął je i zamarł w bezruchu, jakby się modlił o niewidzialność.

Ale Joe, który wałęsał się bezdomny i nie miał do kogo otworzyć ust od trzech tygodni — okres długi jak na życie w zawieszeniu — uradował się widząc znajomą twarz. Stał jak wryty, usiłując oswoić się z tą nagłą, niespodziewaną radością, i dopiero po dłuższej chwili przypomniał sobie, że Gnida Rizzo to wróg. Podszedł do drzwi i wszedł do baru.

Kiedy dłoń Joego spoczęła na jego ramieniu, Gnida zadrżał i jeszcze bardziej skurczył się w sobie.

— Nie bij mnie — powiedział. — Jestem kaleką.

— Och, nie zamierzam cię bić — odparł Joe. — Po prostu cię uduszę!

Złość w jego głosie była złością aktora, bo spotkanie kogoś znajomego sprawiło mu radość tak wielką, że nie chciała go bez reszty opuścić.

— Ale najpierw wyjmij wszystko z obu kieszeni. No już, zacznij od tej!

Gnida usłuchał go bez najmniejszego sprzeciwu. Rewizja ujawniła:

64 centy,

2 i 1/2 kawałka gumy do żucia „Dentyne”,

7 zgniecionych na płask papierosów „Raleigh”,

1 paczkę zapalek,

2 kwity zastawne.

— Co masz w skarpecie? — zapytał Joe, pamiętając o tym, żeby przybrać groźny ton.

— Jak Boga kocham! Ani centa — Gnida podniósł prawą rękę i na moment skierował wzrok w stronę nieba. — Klnę się na oczy mojej matki.

— Jeśli się przekonam, że łżesz — powiedział Joe — zabiję cię natychmiast.

Przesunął leżące na ladzie przedmioty, wydobyte z kieszeni Gnidy, w jego stronę.

— Masz, zabieraj te śmiecie, ja ich nie chcę.

— Joe, zatrzymaj te sześćdziesiąt cztery centy. No bierz, chcę, żebyś je wziął.

— Fuj! Kleją się te moniaki, jakbyś je obsmarkał! Nie chcę ich nawet dotykać.

Schowaj je z powrotem.

W tej chwili, wiedząc, że nic nie zyska, Joe uznał, że powinien raz na zawsze rozstać się z tą małą, parszywą gnidą. Ale jakoś nie potrafił zmusić nóg do odejścia. Miał dylemat: rozsądek podpowiadał mu, że jest w towarzystwie swojego najgorszego wroga, on jednak wcale nie miał ochoty się mścić. Zbyt długa samotność uczyniła coś dziwnego z jego sercem: ten już przedtem dziwaczny i niepewny narząd — teraz tętnił chyba zadowoleniem.

Gnida zaczął tłumaczyć coś prędko o tej pierwszej nocy, mówiąc: jak Boga kocham, że to, i nie wiedziałem, że tamto, starając się pewnie jakoś wyłgać z tego, że nabrał kowboja.

— Jeśli wiesz, co dla ciebie dobre — powiedział Joe — to nie piśniesz ani słówka więcej o tej nocy, rozumiesz?

— Tak, tak, dobra — zgodził się Rizzo. — Mówmy o czym innym. Gdzie mieszkasz? Wciąż w tym hotelu?

Pytanie to przypomniało Joemu coś, o czym już od pewnego czasu starał się nie myśleć: czarno-białą walizkę z końskiej skóry, zatrzymaną przez dyrekcję hotelu. Widział ją teraz przed oczyma wyraźniej niż na jawie, tętniącą jakby życiem, którego nigdy przedtem nie miała. W tej chwili wiedział, że już jej nigdy nie zobaczy, i nagle ta niestosowna radość, jaką poczuł na widok Rizza, zamieniła się w ból. Musiał zacisnąć zęby, żeby opanować łzy, po czym odwrócił się, wyszedł z baru, przeszedł na drugą stronę Szóstej Alei i skierował się w stronę centrum.

Kiedy zbliżał się do Dziewiątej Ulicy, ktoś zawołał go po imieniu. Joe obejrzał się i zobaczył, że Gnida biegnie za nim, przy każdym kroku gibając się groteskowo i ledwie łapiąc równowagę, jakby zaraz miał runąć na ziemię. Joe chciał być sam, ale wiedział, że

jeżeli przyspieszy kroku, kuternoga zrobi to samo. W obecnym nastroju nie miał ochoty na takie widowisko, więc zwolnił.

Kiedy Gnida go dopędził, Joe powiedział:

— Słuchaj, gnoju, odwal się ode mnie! Nie żartuję.

— Joe, gdzie mieszkasz? Masz jakąś metę?

— Słyszałeś, co powiedziałem?

— Bo ja mam. Mam metę!

— Słuchaj, Gnida, ja nie żartuję. Jak się nie odwalisz, to tak cię pieprzę, że się nie pozbierasz!

— Niech to diabli, przecież cię zapraszam! — zawołał Rizzo. — No, zapraszam cię!

— Gównu mnie zapraszasz!

— Zapraszam.

— Gdzie?

— Chodź, zaraz ci pokażę.

Poszli razem.

— Nie chcę z tobą mieszkać — powiedział Joe. — Myślisz, że ocipiałem, czy co?

Gnida nie zareagował na jego sprzeciw.

— Nie mam ogrzewania — powiedział — ale zanim nadejdą mrozy, będę na Florydzie. Więc co mi tam, no nie?

— Musiałbym upaść na głowę — ciągnął Joe. — Gotów jesteś opchnąć moje zęby, kiedy będę spał.

— Prawdę mówiąc, nie mam też i łóżek. Ale mam dość koców, żeby udusić konia.

— Aha, więc tak mnie chcesz wykończyć, ty wredny mały gnojku? Udusić mnie kocami? Tylko spróbuj!

— I obydam się bez elektryczności. Po kiego licha mi elektryka, mam świece. No nie?

Joe zaczął się po trosze orientować w warunkach mieszkaniowych Gnidy.

W Nowym Jorku zawsze jest wiele domów czynszowych, z których wysiedla się mieszkańców, ponieważ przeznaczone są na rychłe wyburzenie. Rodziny lokatorów

wyprowadzają się jedna po drugiej, a wtedy właściciel, wielka korporacja, każe nakleić olbrzymi biały iks z taśmy na każdym oknie opuszczonych pomieszczeń. Gnida mieszkał w wielu iksowanych mieszkaniach, jak je nazywał, odkąd w wieku szesnastu lat wyprowadził się z domu. Kiedy potrzebował mieszkania, chodził po ulicach i szukał domu, na którego oknach zaczęły się pokazywać białe ikсы. Czasami musiał wyłamać zamek, ale zwykle drzwi pozostawiano szeroko otwarte. Czasami zdarzało się też, że lokator, który się wyprowadził, zostawił po sobie jakieś graty — i te przejmował kaleka. Przenosił na nowe miejsce swój nędzny dobytek i mieszkał jak u siebie do chwili, kiedy dowiadywała się o tym administracja lub wyprowadzał się ostatni lokator i wyłączano wodę.

Teraz mieszkał na dwudziestej którejś ulicy w zachodniej części miasta w dzielnicy portorykańskiej. Zabrał tam Joego, zaprowadził go po schodach na opustoszałe drugie piętro, a potem w sam koniec korytarza, gdzie było małe mieszkanie z oknami wychodzącymi na podwórze.

Popołudniowe słońce wciąż jeszcze oświetlało nieco wnętrze — i pokój Gnidy wydał się Joemu znacznie bardziej gościnny od wszystkich miejsc, w których sypiał przez ostatnie tygodnie. Z mebli stały tu jedynie stół i krzesło, ale za to było dość koców, żeby zaopatrzyć dom noclegowy. Wzrok Joego spoczął na grubym ich stosie w kącie przy oknie — było tego co niemiara: pledy, kapy, koce wojskowe, indiańskie derki, a wszystko równo ułożone na podłodze, tworzące wygodne, miękkie posłanie.

Gnida pragnął zademonstrować Joemu wszystkie dostępne tu wygody. Przysunął mu krzesło, po czym zabrał się do przygotowywania kawy w rondelku na prowizorycznej kuchence, zrobionej z puszki. Joe ruszył w stronę krzesła, ale minął je i opadł na posłanie z koców. Zaczął mamrotać coś o tym, że jest twarde, ale zanim dokończył zdanie, zapadł w głęboki sen.

Po kilku godzinach obudził się oszołomiony. Wiedział, że leży twarzą do ściany w obcym, prawie ciemnym pokoju, w którym płomień świecy rzuca dziwaczne cienie na ściany i sufit. Ale gdzie? Obrócił się wolno i zobaczył, że znajduje się na prowizorycznym posłaniu na podłodze. Obok siebie ujrzał dwie niezbyt dobrane nogi w sztruksowych spodniach — i zaczął wszystko kojarzyć.

Gnida siedział oparty o ścianę i paląc papierosa oglądał przy blasku świecy radio Joego.

Joe usiadł i wyrwał mu je z rąk. Włączył, żeby sprawdzić, czy jest nie uszkodzone, wyłączył i przytulił do siebie.

— Gdzie są moje buty? — zapytał.

Były pod stołem. Gnida wskazał je palcem.

— Przecież miałem je na nogach!

— Ściągnąłem ci je.

Joe spojrział na buty, a potem znowu na Gnidę.

— Po co?

— Żebyś mógł spać! Jezu!

Joe wstał i podszedł do stołu, byle bliżej butów.

— Najmądrzej zrobię, jak od razu się stąd wyniosę.

Usiadł na krześle i zaczął wciągać buty.

— Dlaczego? Dlaczego, dlaczego, dlaczego? — dopytywał się Gnida. — O co chodzi?

Joe trzymał jeden but kciukiem i palcem wskazującym, kołysał nim powoli tam i z powrotem i podobnie przytrzymał w pewnym sensie wzrokiem Gnidę. Tak jakby ważył coś w myślach.

„Gnida to złodziej — myślał — niebezpieczny tylko wtedy, gdy się ma coś, co może ukraść”. Gdyby on, Joe, miał tu spędzić noc, mógłby schować radio pod poduszkę — jeżeli zaś chodzi o buty, to po co one komuś, kto ma każdą nogę innej wielkości? Co jeszcze mógłby ten smarkacz od niego chcieć? Nie wyglądał na pedała. Patrząc teraz na niego, Joe widział jedynie zupełnie niegroźnego, kalekiego chłopaczka, siedzącego na podłodze na stercie koców, który najwyraźniej bał się zostać sam. Więc czemu tu nie zostać? Joe nie wiedział, ale pomyślał, że ilekroć robi coś, co wydaje się zupełnie proste, za każdym razem musi za to słono płacić. Ale to, że się raz porządnie wyśpi, nie może mu przecież zaszkodzić. Najpierw jednak dla samej zasady postanowił napędzić stracha temu małemu łobuzowi:



— Słuchaj, Gnida, coś ci powiem — zaczął — ale najpierw daj mi papierosa.

Gnida dał mu jeden z pomiętych raleighów i przytrzymał świecę, żeby mógł odpalić.

Joe spojrział mu prosto w oczy i oznajmił:

— Coś ci chcę powiedzieć dla twojego własnego dobra. Bo chcesz, żebym tu został na noc, tak?

Gnida wzruszył ramionami:

— Ja cię nie zmuszam. Wiesz, ja tam cię nie zmuszam.

Ale mówił bez przekonania, gdy zaś wzruszył ramionami, żeby pokazać, jak bardzo jest mu to obojętne, ramiona wcale prawie nie drgnęły. Joe wiedział, że mimo własnych słów Gnida błaga go, żeby został. Musiał jednak upewnić się, że jest panem sytuacji.

— Aha! Aha, rozumiem.

Zaczął wciągać but.

— Cholera! Zdawało mi się, że chcesz, żebym tu z tobą został. Ale coś mi się zdaje, że źle mi się zdawało.

— No dobra, chcę — burknął Gnida. — Chcę, żebyś został, zaprosiłem cię. Już ci mówiłem.

— A wiesz, na co się narażasz?

— Co?

— Jak zostanę? Bo ja jestem niebezpieczny; nie wiedziałeś o tym, co? Wciąż tylko myślę o tym, jak mordować ludzi.

Zerknął na twarz Gnidy, żeby wyczytać jego reakcję. Gnida patrzył na niego, nie dając nic po sobie poznać.

— Szczera prawda — ciągnął Joe. — Ktoś mi wytnie taki numer jak ty, to zaraz myślę, jakby go wykończyć. No, to cię uprzedziłem. Słyszysz mnie, Gnida?

— Słyszę.

— Mówisz to, jakbyś niezbyt wierzył. Może ci to powtórzę, żebyś dobrze sobie zapamiętał.

— Dobra, już pamiętam! Jesteś niebezpieczny, jesteś mordercą!

Joe skinął głową.

— Radzę ci wierzyć! — Po chwili dodał: — Więc jeżeli mimo to chcesz, żebym tu został na dzień lub dwa — bo tego właśnie chcesz, tak czy nie?

Gnida zmarszczył brwi i warknął:

— Tak! Do jasnej, ciężkiej i nieustającej!

Joe, usatysfakcjonowany, podniósł rękę:

— Spokojnie, spokojnie.

Upuścił but i ruszył w stronę posłania.

— Chciałem się tylko upewnić. Bo nie chcę od nikogo żadnej łaski. Nie stać mnie na to.

Kiedy usiadł na kocach, rozejrzał się po pokoju, chcąc się oswoić z nowym miejscem. Przez chwilę palili w milczeniu. Potem Gnida zapytał:

— Zabiłeś kiedy kogo?

— Jeszcze nie — odparł Joe. — Ale jednego gościa porządnie uszkodziłem.

Opowiedział o tym, jak sprzął Perry'ego w burdelu Juanity Bosej Stopy.

— Nie mogłem się opanować. Jak wpadam w furję, to jestem silny jak diabli. Gdyby mnie nie odciągnęli, to z tego skurwysyna zostałyby tylko miazga. Tak samo z tobą. Tamtej nocy szukałem cię z nożem. Nie wiedziałeś o tym, co? Zadzgałbym cię — przerwał na chwilę, zastanawiając się, jak ubarwić opowieść. — Spędziłem noc w areszcie. Gdyby nie gliny, nie żyłbyś teraz.

— Ha! Myślisz, żebym żałował?

— Więc — ciągnął Joe — od dzisiaj, jak zobaczysz glinę, pošlij mu całusa, słyszysz?

Zgasił papierosa na pokrywce od słoika, którą Gnida trzymał w tym celu.

— A przy okazji, Gnida — powiedział kładąc się Joe — suń się dalej! Rozpychasz się!

Gnida posunął się tak daleko, jak tylko mógł, a potem odezwał się:

— Joe?

— Czego?

— Skoro jesteś u mnie, zrób mi jedną przysługę, dobrze?

— Nie. Żadnych przysług. Nic z tego.

— Posłuchaj, jesteś przecież u mnie, więc — no bo jesteś u mnie, tak czy nie?

— Skończyły się czasy, kiedy robiłem przysługi — powiedział Joe.

— Chodzi mi tylko o to, że jak jestem u siebie, nie nazywam się Gnida. Rozumiesz?

Bo tak już jest, że nazywam się Enrico Salvatore. Enrico Salvatore Rizzo.

— Kurwa, stary, przecież nawet tego nie spamiętam!

— Dobra! Mów mi Rico! Mów mi Rico, jak jesteś u mnie, do chuja pana!

— Idź spać — powiedział Joe.

— Jak, zgadzasz się? — nie ustępował chłopak.

Joe podniósł głowę i burknął opryskliwie:

— Rico! Rico! Rico! Starczy?

Odwrócił się twarzą do ściany.

— I trzymaj łapska z daleka od mojego radia — dodał.

— Dobranoc — powiedział po chwili Gnida cichym, chrapliwym głosem.

Ale Joe daleki był od tego, żeby z tym szczeniakiem wymieniać jakiegokolwiek uprzejmości. Udał, że śpi.

Tego to dnia pod koniec września rozpoczął się sojusz Joego Bucka z Gnidą Rizzem. Para ta stała się tej jesieni częstym widokiem na niektórych nowojorskich ulicach — mały blondynek, podskakujący jak okaleczony pasikonik, żeby dotrzymać kroku wysokiemu kowbojowi w podniszczonym stroju, obaj — ze skupieniem dzieci, które wierzą, że wystarczy nasypać soli na ogon ptakowi, aby go złapać — wędrujący przez czas w poszukiwaniu na ulicach Manhattanu czegoś, co miałoby jakąkolwiek wartość.

Gnida gryzł paznokcie, pił kawę i palił, ile tylko mógł, a w nocy leżał, rozmyślając i skubiąc zębami wargi. Z nich dwóch on był naturalnym przywódcą i na jego głowie spoczywał obowiązek wynajdywania sposobów na przetrwanie.

Joe Buck — zgodnie z rolą adepta — wyrażał się pesymistycznie o każdym przedstawionym projekcie, po czym na wszystko przystawał. Kiedyś na przykład Gnida dowiedział się gdzieś, że w pewnej dzielnicy Jersey City liczniki na parkingach dają się odkręcać zwykłym śrubokrętem. Joe Buck niezbyt w to wierzył i często wyrażał swój sceptycyzm, ale zgodził się zastawić w lombardzie radio, żeby mieli za co przedostać się na drugą stronę rzeki. Kiedy dotarli na miejsce, przekonali się od razu, że informacje Gnidy są już nieaktualne — wszędzie były nowe liczniki, najzupełniej odporne na śrubokręty. Mimo rozczarowania Joe potrafił zachować się wspaniałomyślnie, a w każdym razie trzymać gębę na kłódkę, podczas gdy Gnida przeproszał za niepowodzenie.

W sumie jednak osobnik ze słońcami na butach oschle i opryskliwie traktował drobnego blondynka. Zresztą zdawał sobie z tego sprawę. Joe dobrze wiedział, że zachowuje się jak ostatni gbur, i co więcej — wcale się tym nie przejmował. A nie przejmował się z jednego powodu: był szczęśliwy.

Po raz pierwszy w życiu czuł się wolny od uśmiechania się, udawania i zabiegania o czyjeś względy. Teraz w osobie Gnidy Rizza miał kogoś, kto tak ogromnie, prawie zapamiętałe pragnął jego obecności, że było to jak balsam na jego odkrytą, zaognioną i swędzącą ranę, wołającą o takie lekarstwo. Bóg jeden wiedział, jak i dlaczego, ale Joe Buck wreszcie trafił na istotę, która gotowa była go wielbić. Ponieważ nigdy dotąd nie

miał takiej władzy, nie był przygotowany i nie umiał nią rozporządzać. Mógł się nią jedynie wciąż od nowa rozkoszować jak złaknione słodczy dziecko, które nagle stanęło naprzeciw góry cukierków; klął, stękał, narzekał, wściekał się i patrzył, jak Gnida to przyjmuje. Bo tak właśnie każdy rozkoszuje się władzą — nadużywając jej. Było to wspaniałe i wstrętne, ale nie mógł się powstrzymać. Jedyne, czego kulas pragnął, to przywilej pozostawania gdzieś w cieniu wysokiego kowboja. A właśnie rzucanie cienia stało się teraz główną przyjemnością Joego Bucka.

Lubił także słuchać Gnidy. Kiedy chodzili po mieście, dzielili się kawą w jakimś barze albo trzęśli się, wystając w coraz zimniejszych bramach, Joe wysłuchiwał opinii Gnidy na różnorodne tematy. Powoli i pomału mógł sobie sklecić obraz dzieciństwa Rizza, spędzonego w dzielnicy Bronx.

Gnida był trzynastym dzieckiem umęczonych imigrantów. Pamiętał ojca, ciężko pracującego murarza, który po pracy zasypiał, ledwo tylko natrafił na jakąś w miarę poziomą płaszczyznę. Matka Gnidy, zniszczona rodzeniem dzieci i ustawicznie chora, kierowała rodziną jak dobrotliwa, nierozgarnięta królowa, wydając z sypialni sprzeczne ze sobą polecenia. Czasami narzucała na ramiona szlafrok i wędrowała po mieszkaniu, usiłując wprowadzić jaki taki ład do spowodowanego przez siebie chaosu. Podczas jednej z tych wypraw znalazła pod kuchenką siedmioletniego Gnidę; miał ciężkie zapalenie płuc. Wylizal się z tego, ale po kilku tygodniach nabawił się paraliżu dziecięcego, a kiedy w rok później wyszedł ze szpitala, jego matka dawno już nie żyła. Trzy jego siostry i dwóch z dziewięciu braci opuściło dom albo żeby wstąpić w związki małżeńskie, albo z innych powodów. Z ośmiu pozostałych chłopców, wliczając w to Gnidę, żadnego nie pociągało gotowanie czy prowadzenie domu, sam zaś tata Rizzo też nie troszczył się specjalnie o rodzinę. Widział siebie jedynie w roli żywiciela. Dlatego też raz na tydzień zapełniał półki krakersami oraz puszkami wieprzowiny i fasoli, a lodówkę serem, mrożonym mięsem i mlekiem. Przez sześć dni chłopcy jedli, co się dało, a siódmego dnia tata Rizzo zabierał ich na prawdziwy niedzielny obiad do pobliskiej włoskiej restauracji. Przedtem — zwykle na Wielkanoc albo na Dzień Matki — też prowadził rodzinę na obiad do tej samej restauracji i za każdym razem, kiedy właściciel podkreślał głośno, że potrzeba dla nich największego stołu, odczuwał dumę ze swojego licznego potomstwa. „*Ecco, che arriva Rizzo!* — wołał. — *Prende la tavola piu grande del locale!*” Nawet

teraz, kiedy pozostało mu już tylko ośmiu synów, trzeba było zsuwać razem dwa zwykłe stoły. Ale już mniej więcej po miesiącu frekwencja na niedzielnych obiadach zmaląła, bo stary murarz coraz łatwiej wpadał w złość i korzystał z tych okazji, żeby krzyżeć na dzieci i robić im wymówki. Chłopcy, którzy nauczyli się sami zdobywać pożywienie i nie chcieli wysłuchiwać awantur kłótliwego starucha, jeden po drugim na dobre porzucali dom. Wreszcie pewnego niedzielnego popołudnia tylko Gnida stawiał się na rodzinny obiad. Kiedy właściciel zaprowadził jego i ojca do dwuosobowego stolika, stary oburzył się, potem się zmieszał, a wreszcie przycichł. Jadł w milczeniu, traktując dobrotliwie i niemal uroczyście chudego, kulawego trzynastolatka, który był jego synem. Pił też dużo wina i wreszcie nastąpiła chwila, gdy przerwał milczenie i zakończył posiłek waląc z całej siły pięścią w blat pokrytego formiką stolika, wykrzykując swoje nazwisko i przypominając całemu światu, a także Bogu, że jest przyzwyczajony do większych stołów niż ten: „*Sono Rizzo! Io prendo la tavola piu grande del locale!*” Przyszedł właściciel i obaj starzy rozplakali się i uściskali. Potem Gnida odprowadził ojca do domu. Kiedy wchodzili do mieszkania, stary cofnął się i zawył przejmująco, zupełnie jakby się nagle obudził ze swojej najdłuższej drzemki i odkrył, że całą jego rodzinę wymordowali bandyci, a ściany mieszkania są zachlapanie krwią. Patrząc przez Gnidę, jakby chłopiec nie istniał, murarz zaczął płakać, dopytując się raz po raz, gdzie są jego synowie: „*Dove sono i miei ragazzi terribili?*” Stopniowo, może tylko z powodu nieobecności pozostałych, Gnida stał się najukochańszym dzieckiem i przez pewien czas powodziło mu się lepiej niż rodzeństwu. Ojciec dawał mu kieszonkowe i nigdy na niego nie krzychał. Niedzielne obiady odbywały się nadal. Przy stoliku niewiele mówili, ale nawiązała się między nimi cicha zażyłość, panował serdeczny i spokojny nastrój. Tata Rizzo, teraz już gruby dobrotliwy stary niedźwiedź dobiegający siedemdziesiątki, wypijał sam jeden kwartę Chianti i w drodze powrotnej do domu znajdował wiele okazji, żeby oprzeć rękę na głowie swojego ostatniego syna lub otoczyć go ramieniem, kiedy czekali przy czerwonym świetle. Któregoś lata właśnie podczas takiego niedzielnego popołudnia Gnida stracił równowagę pod ciężarem opierającego się na nim ojca i obaj upadli na chodnik. Kiedy Gnidzie udało się wstać, przekonał się, że stary umarł pośrodku zalanej słońcem Bronx River Parkway.

Od tej chwili Gnida musiał sam dbać o siebie. Miał szesnaście lat i nie miał żadnego zawodu. Ale był z natury bystry i jak większość osób wychowanych w dużych rodzinach potrafił dobrze i szybko kłamać. Z tym kapitałem rozpoczął uliczne życie.

Gnida potrafił opowiadać o Bronksie, potrafił opowiadać o Manhattanie, potrafił opowiadać niemal o wszystkim, co tylko można sobie wyobrazić. Ale najlepiej mówiło mu się o Florydzie i chociaż nigdy tam nie był, rozprawiał o niej z największym przekonaniem i pewnością siebie. Często czytał uważnie kolorowe foldery biur podróży albo przeglądał wycinki prasowe, których miał cały stos — posiadał również książkę zatytułowaną „Floryda i Morze Karaibskie”. W tym wspaniałym (jak twierdził) miejscu to, co przede wszystkim potrzebne jest do życia — światło słoneczne i mleko kokosowe — występuje w takich ilościach, że kłopot tylko, co robić z nadwyżką. Od słońca trzeba się chronić szerokimi kapeluszami, okularami słonecznymi i kremem. Jeżeli zaś chodzi o orzechy kokosowe, to na ulicach leży ich tyle, że każde miasto na Florydzie musi opłacać całe stada ogromnych ciężarówek, żeby je wywoziły, bo ruch uliczny byłby zablokowany. No i oczywiście orzechy kokosowe stanowią najpożywniejszy pokarm — to wie każdy. Jak się jest głodnym, wystarczy wziąć jeden, przedziurawić scyzorykiem i podnieść do ust. Opowiadając o tym, za każdym razem urządzał pokaz z niewidocznym orzechem.

— Jest z tym tylko jeden kłopot — mówił Joemu, wsysając w przerwach powietrze — jeden kłopot; powiedzcie ci jaki? Otóż to ciepłe mleczko spływa ci po twarzy i szyi. No, musisz się nieco natrudzić, podnieść łapę i obetrzeć brodę. Kupa roboty, no nie? Myślisz, że byś podołał? Bo ja tak. Podołałbym.

Kiedy mówił o łowieniu ryb, brzmiało to tak prosto, że Joe odniósł wrażenie, iż niepotrzebna jest wędka, kołowrotek czy choćby żyłka. Nie zastanawiając się za bardzo nad jego prawdopodobieństwem, Joe stworzył sobie w myśli obrazek siebie i Gnidy, jak stojąc nad brzegiem wody wołają: „Taś, taś, rybko, rybeńko!” — a wtedy dwa ogromne, płetwiaste stwory wskakują — już ugotowane — prosto im w ramiona. Dziecinny obrazek szczęścia; ale Joe czuł zapach ryb. Czasami, żeby podtrzymać przyjemną rozmowę, Joe zadawał pytanie:

— Kurwa, stary! Ale gdzie byśmy spali? Idę o zakład, że tam nie ma iksowanych mieszkań!

Ale Gnida na wszystko miał odpowiedź. Zachęcony pytaniem, mówił o ciągnących się milami plażach publicznych, na których zbudowano setki pagód, pergol i altan; w nich na rozgrzanym od słońca piasku albo na pokrytych obiciem ławkach można nie obawiając się deszczu ani wiatru spać jak w raj.

Jednakże najczęstszym tematem rozmów Gnidy i Joego była ich sytuacja finansowa. Gnida zwykle bagatelizował wszelkie tak zwane uczciwe rozwiązania. Żaden z nich nie był dość porządnie ubrany, żeby otrzymać jakąś niezgorzej płatną pracę, i ani jeden, ani drugi nie mieli żadnych kwalifikacji. Poza tym taką linię postępowania, która wiązałaby się z podjęciem pracy w pełnym wymiarze godzin, trudno było nazwać rozwiązaniem; dla Gnidy nawet sam pomysł był głupi i denerwujący. Życie własnym przemysłem było jednak równie trudne jak uczciwa praca: istniała ogromna konkurencja, wciąż trzeba było szukać nowych okazji, a nawet jak się coś trafiło, w każdej chwili mogło się dezaktualizować i należało być na to przygotowanym. („Bo weźmy, na przykład, te liczniki, niech je cholera, no nie?”) Jeżeli zaś chodzi o możliwości zarobkowe Joego, zdaniem Gnidy nie miał on żadnych szans, żeby utrzymać się z kobiet. Fach ten wymaga wysokiej specjalizacji, garderoby, manier i odpowiedniej pozycji społecznej. Mieszkanki Nowego Jorku nie lecą na kowbojski strój. Taki kostium jest przynętą wyłącznie dla homoseksualistów, i to też nie dla wszystkich, ale dla bardzo wąskiego grona masochistów. („Co to za jedni, nie będę ci tłumaczył, bo i tak byś mi nie uwierzył!”) Czasami — wbrew sobie — ale kiedy głód mocno ich przycisnął do muru, Gnida załatwiał dla Joego szybkie transakcje za pięć lub dziesięć dolarów — jedyne, co kowboj musiał zrobić, żeby spełnić warunki, to stać spokojnie przez kilka minut z rozpiętymi spodniami. Jednakże te przykre zbliżenia wprawiały Joego w depresję i wytrącały go z równowagi. Czuł, że następuje przy tym wymiana czegoś niewidzialnego i groźnego, czegoś nie objętego umową i niepojętego dla obu stron. Stawał się smutny, zgaszony i zły, i nie potrafił znaleźć ujścia dla swojego gniewu. Gnida też uważał, że to kiepski sposób zarabiania forsy. Twierdził, że prostytutka zawsze była najtrudniejszym zawodem na świecie, w dodatku z najostrzejszą konkurencją, a w dzisiejszych czasach dzieje się jeszcze gorzej, bo ten towar można dostać za darmo, i to w dowolnych ilościach. Jedynym sposobem, żeby wyjść na swoje, jest obrabowanie klienta, ale to wymaga zręczności i skoordynowania, których zdaniem Gnidy brakowało jego przyjacielowi, więc nie zachęcał



kowboja do żadnych prób w tym kierunku. Gnida uważał co prawda, że on sam jest dostatecznie cwany i przebiegły, aby tego dokonać, ale kulawa noga poważnie ogranicza mu szansę powodzenia. („Weź takiego przeciętnego pedała — rzadko który ma ochotę na kalekę”).

Gnida miał inną specjalność, do której bardziej się nadawał: był złodziejem kieszonkowym. Nie szło mu to jednak najlepiej. Bardzo często ktoś dwa razy większy od niego, kto bez trudu mógł go zaciągnąć do najbliższego policjanta, łapał go na gorącym uczynku — i wtedy Gnida musiał się ratować poniżającymi prośbami o litość dla biednego kaleki. Radził sobie o wiele sprawniej z pewną odmianą tej formy kradzieży, ale było to zajęcie bardzo czasochłonne i z reguły mniej lukratywne: siadał w barze i rozpoczynał rozmowę z jakimś nieznanym, wypatrując odpowiedniej chwili, żeby rąbnąć mu forszę. Czasami tracił nawet i godzinę, a wszystko, co z tego miał, to jedno czy dwa wypite piwa i trochę drobnych.

Joego mierzily tego typu operacje („Rzygać mi się chce!”) i nie chciał korzystać z takich dochodów. Gnida musiał zmyślać jakieś bajki, żeby wytłumaczyć, skąd ma pieniądze, w przeciwnym razie Joe nie brał do ust nawet kupionego za nie hamburgera i przez kilka dni chodził z nosem na kwintę.

Ale wciąż upojony był nową przyjaźnią z Gnidą Rizzo i w ciągu tych pierwszych tygodni nic nie wydawało mu się tak straszne jak myśl, że znów mógłby zostać zupełnie sam. Choć uwolnił się już od lat osamotnienia i wkroczył w nowy czas, tamte lata wciąż istniały, rzucając cień na teraźniejszość niczym jakieś potwory ze złego snu, czarne, bezwzględne, gotowe pochwycić go w swoje macki i wciągnąć na powrót w głęboką, bezdenną samotność.

Tak to Joe i Rizzo przeszli przez październik — nastąpiła wstrętne listopadowa słońca. Przez ten czas nie zdarzyło się im nic specjalnego.

Jednostajność ich dni i poczucie Joego, że znajduje się w potrzasku i nic nie wskazuje na to, by jego los miał ulec poprawie, wzbudziły w nim rosnący niepokój, który często przeradzał się w ból. Miał wrażenie, że Manhattan jest jego cełą, która kurczy się z przerażającą szybkością, a on sam skazany jest na przemierzanie jej tam i z powrotem coraz to mniejszymi krokami, aż wreszcie zmiażdżą go mury.

Wciąż się przeziębiali. Szczególnie Gnida; mówił wtedy głębokim, dudniącym basem, a Joego bawiło, że tak potężny głos wydaje z siebie ktoś o tak nikłej posturze. Gnida łykał takie ilości proszków i pił tyle syropu, że ciągle był ospały, kręciło mu się w głowie i w ogóle nie miał apetytu. Czasem tylko zjadał kilka łyżek zupy albo baton czekoladowy. Pił też oczywiście kawę. Zawsze gotów był wypić filiżankę kawy i zapalić papierosa. Joe obserwując, jak Gnida pali, za każdym razem miał wrażenie, że tytoń zawiera w sobie jakąś nadzwyczajną, życiodajną substancję, którą tylko Gnida potrafi z niego wydobyć.

Listopad okazał się okrutnym miesiącem dla ludzi, którzy tak jak oni wciąż wystawali po bramach — był zimny, wilgotny i wietrzny. A im bardziej psuła się pogoda, tym więcej czasu zdawali się spędzać na ulicy. Oczywiście pokusą stało się maksymalne przedłużanie nocnego odpoczynku, żeby jak najpóźniej wyjść z iksowanego mieszkania. Ale każdy z nich zaczął na swój sposób odczuwać lęk przed tym schronieniem i dodatkowe godziny, jakie w nim spędzali, były dla obu nienawistne, a na dobitkę groźne. W jakiś niewytłumaczony sposób obaj czuli, że jeżeli zdecydują się pozostawać w zamknięciu, nie wiadomo, co się z nimi stanie. Żaden czarodziej nie zapuka do ich drzwi, żeby za pomocą magii odmienić ich los albo chociaż dać im jeść. Ponieważ o tym wiedzieli, mogli spokojnie wracać na noc do tego obskurnego, prowizorycznego schronienia, żeby się przespać. Ale pozostawać tam w ciągu dnia po przebudzeniu, kiedy cień olbrzymiego białego iksa padał na pokój niczym jakiś zły omen, znaczyło pozwalać sobie na luksus tak złowieszczy, że wyczerpywał ich siły. Nigdy zresztą o tym nie mówili. Nie było potrzeby. W najgorszą nie pogodę, choćby się bardzo źle czuli i choćby mieszkanie wydawało się rajem w porównaniu z nieomalże beznadziejną włóczęgą po ulicach, zanim nastąpiło południe, nie było ich już w domu.

W witrynach sklepów i na ulicach pokazały się pierwsze oznaki Bożego Narodzenia. Ale nadchodzące święta nie miały wpływu na ich życie. Dni wlokły się jednostajnie. Pewnego dnia Gnida zjawił się z kozuchem, który ofiarował Joemu w prezencie. Twierdził, że okrycie to dostał w zamian za drobną przysługę od handlarza posiadającego je w nadmiarze, ale Joe miał powody podejrzewać, iż kozuch został ukradziony w kinie. Powiedział, że nie wolno kraść palt czy kozuchów, jeżeli się nie wie na pewno, czy właściciel ma w zapasie inny — i doprowadził do tego, że Gnida ogarnięty wyrzutami

sumienia schował po prostu kożuch do szafy. Joe zaś nadal nosił swoją poplamioną keczupem skórzaną kurtkę. Zapewniał, że nie jest mu zimno, ale mimo to stale dygotał i wciąż wynajdywał powody, żeby chować się do sklepów, hallów czy kin.

W niektórych chwilach Joe zdawał sobie sprawę, że niepokój, który czuje, nie ma nic wspólnego z jednostajnością jego dni. Gdzieś w sobie nosił świadomość, że jednostajność właściwie nie istnieje: można robić te same rzeczy, chodzić po tych samych ulicach i nawet trapić się tymi samymi sprawami, ale wewnątrz coś się zmienia, zmienia i zmienia, aż wreszcie nadejdzie chwila, w której zmiany się nagromadzą i uwidoczną. Wkrótce będzie wiadomo, że coś się wydarzyło, a własne życie stanie się nagle tak inne, że ledwie będzie można je rozpoznać.

Ale umysł Joego nie należał do takich, które potrafią pochwycić i utrzymać podobną myśl. Zjawiała się na moment albo na ułamek sekundy, po czym odpływała, jakby miała własne życie i własny rytm. Joemu więc własny jego niepokój wydawał się najczęściej lękiem przed nicością.

Jedynie w rzadkich, niespodziewanych chwilach był to lęk przed czymś konkretnym.

Aż wreszcie pewnej nocy na początku grudnia okres oczekiwania definitywnie się skończył.

## 13

— Tego? — zapytał chłopak.

— Poczekaj, niech spojrzę — powiedziała dziewczyna.

Stuknęła lekko Joego w ramię.

Była grudniowa noc. Joe pił kawę w barze Nedicka na Ósmej Ulicy, kiedy posłyszał za sobą te dwa głosy. Odwrócił się i zobaczył, że przypatruje mu się uważnie dwoje młodych ludzi o dziecinnym wyglądzie, ubranych jednakowo w czarne golfy i czarne obcisłe dzinsy. Wyglądali jak brat i siostra, może nawet bliźnięta. Mimo że płci odmiennej, niewiele się od siebie różnili. Ona miała włosy krótkie jak na dziewczynę, on długie jak na chłopaka. Oboje byli jasnowłosi, szaroccy i odznaczali się delikatną urodą. Żadne przy tym nie używało kosmetyków.

Dziewczyna była wyraźnie śmielsza z nich dwojga. Ujęła Joego pod brodę i spojrzała mu w oczy.

— O tak, stanowczo — powiedziała do brata. — Stanowczo.

Chłopak uśmiechnął się zdawkowo i wręczył Joemu mały kawałek cienkiego pomarańczowego papieru, zwinięty w rulonik i zaklejony srebrną gwiazdką.

Następnie chłopak i dziewczyna wyszli z baru. Joe, zafascynowany dziwnym spokojem i rzeczowością tej pary, odprowadził ich wzrokiem, dopóki nie znikli mu z oczu, i dopiero wtedy rozwinął papier. Wypisano na nim czarnym tuszem:

*Oczekujemy Cię przed północą ID królestwie szatana, które mieści się w odrażającym lokalu na północno-zachodnim rogu Broadwayu i Harmony. Tam zostaniesz otruty.*

*Jaś i Małgosia*

*MacAlbertson*

Joe wyszedł na zewnątrz i rozglądał się na wszystkie strony, ale po MacAlbertsonach nie zostało śladu. Jeszcze raz spojrzął na kartkę, przeczytał: „...przed północą” — i skierował wzrok na zegar na wieży z czerwonej cegły obok więzienia dla kobiet: była jedenasta. Zapalił papierosa i rozmyślał nad swoim szczęściem, że te jasnowłose dzieciaki wręczyły mu kartkę. Światło się zmieniło. Potrącali go przechodnie, którzy usiłowali przejść na drugą stronę, omijając sterty brudnego śniegu przy krawężniku.

Kilka razy przeczytał kartkę. Zdał sobie sprawę, że będzie potrzebował pomocy, aby zrozumieć jej treść. Gnida przypuszczalnie pracował teraz w pewnej knajpie przy Szóstej Alei. Joe przeszedł przez ulicę i ruszył w stronę tej knajpy, gdy nagle spostrzegł Gnidę pod zieloną markizą gazeciarza. Jego przyjaciel miał na sobie ów dyskusyjny kozuch, więc kiedy ujrzał Joego, przybrał wyzywającą minę. Joe natomiast ucieszył się, że kozuch nie leży bezużytecznie w szafie. Podał Gnidzie pomarańczowy rulonik.

— Jeżeli masz ochotę czytać — rzekł — przeczytaj to.

Następnie opowiedział Gnidzie, jak dostał kartkę.

— Na cały bar — powiedział — dali tylko mnie jednemu.

Gnida podciągnął kołnierz, żeby osłonić uszy i zrobił krok naprzód.

— Idziemy — oznajmił.

— Jak... jak... jak to? — spytał Joe, ruszając za nim.

— No, bo co to właściwie jest? Jakaś reklama, kościół czy co? Nie mamy nawet pojęcia, w co się ładujemy!

— To zabawa w wigilię Wszystkich Świętych.

— Wszystkich Świętych? Co ty wygadujesz! Przecież mamy już grudzień!

— Co za różnica? Jest zabawa, a my jesteśmy zaproszeni.

„My?” — zdziwił się w myśli Joe.

— Nic tam nie ma o tobie — powiedział.

— A tam! — Gnida zbył to lekceważącym ruchem ręki.

— Słuchaj — powiedział Joe — oni dobrze mnie obejrzel, zanim wręczyli mi ten świstek.

Szli teraz Ósmą Ulicą w stronę Broadwayu.

„No — myślał Joe — pewnie, że dobrze mnie obejrżeli, najpierw jedno zapytało: «Tego?», a drugie na to: «O tak, stanowczo». Ale dlaczego wybrali właśnie mnie? Może przez moje buty albo kapelusz? Może coś w mojej twarzy? Mój seksowny wygląd? Coś innego?"

Myśl o seksownym wyglądzie, atrybucie, który nagle stanął mu w pamięci, sprawiła, że się uśmiechnął, a następnie głośno roześmiał. Przechodzili właśnie obok piekarni, w której oknie stało lustro o bursztynowym zabarwieniu. Joe błyskawicznie obrócił do lustra twarz, w nadziei, że ujrzy swój wspaniały uśmiech. Jeszcze zdążył i przez moment go widział.

— Wiesz, jeszcze nie tak dawno temu siedziałem w bawialni u Sally Buck i oglądałem telewizję — powiedział do Gnidy.

— No i co? — Gnida popatrzył na niego. — I co z tego?

— To było w Albuquerque, rozumiesz? Cholernie daleko stąd. A gdzie jestem teraz? W Nowym Jorku, no nie? I wybrano mnie na jakąś pieprzoną... Sam nie wiem... Rozumiesz, o co mi chodzi?

— Nie.

Dla Joego sprawa była tak jasna, że niepojętność Gnidy wydała mu się rozmyślna.

— Ech, widzę, że uparłeś się rozpracować ten jubel — powiedział — nielecho rozpracować, ty pieprzony makaroniarski kulasku.

Gnida chwycił Joego za ramię i uczeplił się go mocno.

— Co? Co ja takiego powiedziałem?

— Mniejsza o to — odparł Joe. — Może i tak cię nie wpuszczą.

— Zakład?

Przed księgarnią na Ósmej Ulicy stała grupka studentów. Joe chciałby, żeby oni wszyscy wiedzieli, dokąd idzie. Ale nie było realnego sposobu, by ich powiadomić.

— Każę im ciebie wpuścić — oświadczył Gnidzie. — Powiem, że bez ciebie nie wejdem.

— Też mi, kurwa, coś!

— No, więc się nie przejmuj — dodał Joe.

— Wcale się nie przejmuję!

— To tak, jakbyś już tam był. Zresztą wcale nie wyglądasz kiepsko.

— A dlaczego miałbym źle wyglądać?

— Gdybyś był ostrzyżony i miał na kościach trochę mięsa, wyglądałbyś całkiem do rzeczy.

— Stokrotne dzięki!

— Więc im powiem, hm: „Bez mojego kumpla nigdzie nie idę”. Dobra?

Przez jakiś czas szli w milczeniu. Przy rogu University Place owionął ich zimny wiatr, który ucichł dopiero, gdy przeszli przez ulicę i znów znaleźli się pod osłoną budynków.

— Nie chcesz, żebym z tobą szedł, tak? — zapytał Gnida.

— Powiedziałem ci to? Ja tego nie powiedziałem!

— Nie, ale ja ci coś powiem, Joe. Przepraszam, ale w takim jestem nastroju, że muszę ci to wygarnąć. Więc słuchaj: jesteś wyjątkowo tępy. Nawet jak pada deszcz, to sam nie potrafisz się schować. Jestem ci niezbędny! Nawet tyłka nie potrafisz sobie podetrzeć, jak ci nie podam papieru. No, a teraz zapraszają cię na jakiś jubel, więc zaczynasz zgrywać ważniaka. Mam ci coś powiedzieć? Wcale nie chcę iść na ten cacany jubelek u Jasia i Małgosi MacAlbertson! — Gnida wymówił ich imiona sepleniąc jak dziecko, po czym czknął przeciągle. — Ooooch, jakie to dziuby, dziuby, dziu! Niedobrze mi się robi! Chciałem iść tylko dlatego, że pomyślałem sobie: „No, może podadzą kawałek kiełbasy i trochę rozmokłych krakersów, więc, do diabła, szkoda przepuścić taką wyzerkę!” Ale teraz straciłem, kurwa, apetyt, więc możemy się pożegnać! Cześć!

Gnida zatrzymał się.

— Daj mi adres! — zawołał Joe.

Wyrwał Gnidzie z ręki pomarańczową kartkę i ruszył dalej. Ale zanim doszedł do następnej przecznicy, minęła mu złość. Zatrzymał się na rogu Broadwayu i obejrzał za siebie.

Gnida wciąż tkwił w tym samym miejscu: stał pośrodku chodnika i z głową wtuloną w kozuch obserwował Joego.

Joe dał mu znak ręką i Gnida potoczył się w jego stronę; śpiesząc się, żeby go dogonić, tłukł powietrze jak ranny ptak. Joe miał ochotę krzyknąć mu: „Nie biegnij!” — ale zamiast tego odwrócił się specjalnie, żeby nie patrzeć. A potem usłyszał zbliżające się: krok-suw, krok-suw, krok-suw. Kiedy Gnida zrównał się z nim, obaj zachowywali się, jakby nie pamiętali już o sprzeczce.

Idąc Broadwayem doszli do rogu Harmony. Na jednej z tabliczek w hallu dużego gmachu był następujący napis: „MacAlbertsonowie. Drugie piętro”.

Zanim ruszyli na górę, Gnida oparł się na chwilę o poręcz schodów. Twarz miał zlaną potem, włosy tak mokre, że można je było wyżywać, a oddychając wydawał szczególny świst, przywodzący na myśl cienki ton organowej piszczałki. Joe tak się przyzwyczaił do kichania i kaszlu Gnidy, do jego głosu — jakby po niebrukowanej drodze ciągnięto kamienie — tak się przyzwyczaił do wyrazu bólu w jego rysach, że już od kilku tygodni nie przyglądał mu się dokładnie. Teraz zobaczył, że pokryta potem twarz Gnidy przybrała jakieś nienaturalne barwy: skóra, choć przede wszystkim żółta, była również szarawa i w dodatku miała zielonkawy odcień, białka oczu były morelowe i bez blasku, wargi zaś lawendowosine, a na brzegach białe.

— Co ci jest? — zapytał.

— Jak to: co mi jest?

Joe nie wiedział, co powiedzieć. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w Gnidę. Gnida zdenerwował się.

— Co? Co się stało? Krew mi leci?

— Nie. Nie, nie ma krwi. Tylko pot. Nie masz chustki?

Gnida wytarł czoło o kożuch.

— Lepiej osusz trochę włosy — poradził Joe.

Gnida przejechał po głowie rękami.

Joe wyciągnął ze spodni poły koszuli.

— Chodź tu! Wystaw, kurwa, głowę.

— Nie — warknął Gnida.

— Chodź tu! — nakazał głośniejszym głosem Joe.



Gnida pochylił się do przodu i wysunął głowę, żeby Joe mógł mu osuszyć włosy. Joe zaczął mu je wycierać połamami koszuli.

— Z mokrym łbem nie można iść na jubel — powiedział. — Teraz lepiej. Masz grzebień?

— Nie potrzebuję grzebienia.

Gnida zaczął się czesać palcami.

Joe dał mu swój grzebień.

— Chyba nie umrę od kilku wszy — zaznaczył.

Ale grzebień nie chciał przejść przez splątaną gęstwinę nie mytych włosów i wyłamało się kilka zębów. Gnida zwrócił grzebień i jako tako przyglądał fryzurę palcami.

— Jak wyglądam? Dobrze?

Joe przypatrywał mu się uważnie przez dłuższą chwilę. Jasne było, że Gnida wcale nie wygląda dobrze. Joe gotów był skłamać i dać temu spokój, ale kiedy tak przyglądał się Gnidzie, wydarzyło się coś niespodziewanego.

Co to było?

Żaden z nich właściwie nie wiedział.

Coś niejasnego, okropnego zjawilo się między nimi, zawisło między nimi w powietrzu jak kościotrup tańczący na nitkach, coś groźnego i tajemniczego, co napełniło Joego przerażeniem, sprawiło, że poczuł się odcięty, samotny i zagrożony.

Jeżeli chodzi o Gnidę, oznaki tego czegoś były subtelne, prawie niedostrzegalne. Odwrócił tylko z zakłopotaniem twarz. Spojrzenie miał nieruchome, a ramiona i głowa jakby zastygły.

Joe otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Gnida machnął niecierpliwie ręką i począł się wspinać na górę szerokimi ciemnymi schodami.

Joe obserwował go. Kiedy Gnida był już w połowie pierwszego piętra, Joe zawołał:

— Hej, zaczekaj chwilę! Hej, zaczekaj!

Gnida zatrzymał się i spojrział w dół. Jego oczy prosiły Joego, żeby nic nie mówił, ale na wszelki wypadek zawołał wyzywająco:

— Kurwa, idziemy na ten jubel, czy nie?!

Joe był tak oszołomiony, że nie mógł się poruszyć. Coś straszego wydarzyło się tu, u stóp schodów. Ale czy rzeczywiście? Nie był pewien.

— Nic ci chyba nie jest? — zapytał.

— Chodź! — zawołał niecierpliwie Gnida, po czym dodał błagalnie: — Proszę cię, chodź!

Zaczekał, aż Joe wszedł na schody, po czym znów, uchwyciwszy za poręcz, zaczął podciągać się w górę.

# **CZEŚĆ TRZECIA**

Poręcz schodów na podeście drugiego piętra służyła za wieszak. Leżały na niej stosy swetrów, szalików, futrzanych kurtek i przeróżnych zimowych okryć, jakie tylko można sobie wyobrazić. Gnida pozostawił na stosie kozuch i spojrzął na rzędy butów, śniegowców i kaloszy stojących na podłodze.

— Wychodząc, wybiorę sobie jakieś ładne kalosze — powiedział.

Drzwi były szeroko otwarte. Gnida wszedł pierwszy. Joe był ogromnie krępowany, bo nie wiedział, jak powinien się zachować. Wkroczył zuchwale, ze zmarszczonym czołem, gdyż nie chciał dać się zaskoczyć bez żadnej przybranej pozy.

Sala była ogromna: ciągnęła się przez całą długość i szerokość budynku. Było tu dosyć głośno, ale nie za bardzo jak na taki tłum gości. Śmiech brzmiał sztucznie, tak samo rozmowy, a w dźwiękach bonga, fletu i garnka przebijało pewne onieśmienie, świadczące o tym, że muzykanci nie rozkręcili się jeszcze na dobre. Jedna para usiłowała tańczyć, a jeszcze bardziej starała się nie zwracać na siebie uwagi. Było sporo małych gromadek — ludzie stali lub siedzieli na podłodze — i pojedynczych osób, samotnych lub oscylujących w pobliżu grup, do których jednak nie należały. Jedna para — kilkunastoletni chłopcy, jeden biały, drugi brązowy — siedziała pośrodku sali, trzymając się za ręce, nie był to jednak romans w obrębie dwóch ras, ale raczej związek dwóch odcieni rozpaczy; stykały się ich ręce, ale nie spojrzenia, każdy z nich spoglądał niechętnie w przestrzeń. Ludzie samotni, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, zdawali się wstydzić tego, że są sami. Widać było, jak rozglądają się wokół, szukając miejsca, gdzie by mogli zgubić swoją samotność, szukając sposobu, żeby ją ukryć, lub czegokolwiek, do czego mogliby ją doczepić: trunku, papierosa, kąta, rozmowy, uśmiechu, kogoś obcego, jakiejś pozy.

Przy jednej ścianie znajdował się duży stół, a na nim spory wybór serów, wędlin, krakersów i pieczywa, na podłodze zaś tuż obok były balie z lodem i puszkami piwa.

Po drugiej stronie sali Joe spostrzegł MacAlbertsonów, którzy siedzieli na podłodze u stóp chudej umalowanej pani o długich siwych włosach.

Za tą trójką, zakrywając część ściany od sufitu do podłogi, wisiało kilka podłużnych arkuszy grubego papieru. Biegł przez nie czarny napis: „Jest później, niż myślicie” — a obok stał kubek czarnej farby z wetkniętą do niego szczotką, której kij oparty był o ścianę.

Joe przyglądał się MacAlbertsonom. Siedzieli cicho pod napisem jak figury na ołtarzu, z tym samym niesamowitym spokojem, na który zwrócił już uwagę w barze Nedicka.

Starsza pani za nimi stanowiła dla Joego jeszcze bardziej niepokojący widok. Nie chciał na nią patrzeć, ale nie mógł opanować spojrzenia, które wciąż biegło w jej stronę. Coś było z nią nie w porządku. Ale co? Miała małe czerwone usta, a nad oczami grube warstwy czarnego tuszu. Mrugała często, zupełnie jakby jej powieki poruszały się za pomocą sznurków, którymi szarpie ktoś roztargniony. Głowa osadzona luźno na szyi balansowała i kiwała się jak u marionetki. Z tej odległości nie wyglądała na żywą osobę, ale na kukłę, skleconą przez parę milczących, złowieszczych dzieci siedzących u jej stóp, wyobrażającą może któreś z utraconych rodziców, a wykonaną z patyków, słomy, toreb po cukierkach i woskowych kredek.

Przed chłopcem stało kilka słoiczków; właśnie wytrząsnął coś z jednego z nich (pająka? robaka?) i podał pięknej, młodej Murzynce. Cokolwiek, to było, dziewczyna wrzuciła to coś do ust, popiła piwem i zabawnie udając zmysłową rozkosz, wyciągnęła ramiona, zakołysała szczupłym ciałem opiętym dżersejową sukienką, tańcząc przeszła przez środek sali i wpadła w objęcia wspaniałego czarnego olbrzyma, przyciągając uwagę wszystkich obecnych.

Ale Joe obserwował młodego MacAlbertsona, który wciąż zajęty był słoiczkami. Podszedł bliżej w nadziei, że uda mu się poznać ich zawartość, i wtedy właśnie siostra chłopaka pochwyciła jego spojrzenie i przywołała go ruchem głowy. Joe odwrócił się, żeby uzyskać od Gnidy jakąś wskazówkę, ale Gnida był zajęty przy stole z zakąskami: rozglądał się chyłkiem i napychał kieszenie kiełbasą salami.

Tymczasem Małgosia MacAlbertson wstała i podeszła do Joego. Jej twarz i głos pozbawione były zupełnie wyrazu. Z bliska nie wyglądała tak złowieszczo, a jej spokój mógł być po prostu oznaką zwykłej nudy.

— Przyszedłeś — powiedziała. — Czy chciałbyś czegoś? Bo jest piwo i... — otworzyła dłoń i pokazała mu dużą, brązową kapsułkę— ...to, jeżeli chcesz.

Widząc w jego twarzy pytanie, dodała:

— Mocne! Starczy na cztery godziny.

Joe popatrzył na kapsułkę, na dziewczyną, uśmiechnął się, żeby zatuszować swój brak rozeznania, i nie bardzo wiedział, co zrobić.

Dziewczyna zmarszczyła lekko brwi.

— No, weź — powiedziała tonem ni to rozkazu, ni to wyzwania.

Joe wziął kapsułkę, wsadził ją do ust, zebrał ślinę i przełknął. Dumny z siebie, uśmiechnął się i spojrzał na dziewczynę, oczekując pochwały i aprobaty. Ale jego bravura wprawiła ją tylko w stan jeszcze większego znudzenia. Omdlewającym gestem wskazała stół z zakąskami.

— Piwo może z tym iść — powiedziała. Tym razem było coś w jej głosie, może łagodność.

Gnida zbliżył się właśnie, niosąc dwie otwarte puszki piwa. Podał jedną Joemu. Joe spróbował go przedstawić:

— To jest, hm, Gnida, i...

— Rico! — poprawił go Gnida.

Ale takie formy towarzyskie były najwyraźniej zbyt uciążliwe dla Małgosi MacAlbertson, która natychmiast odeszła.

Joe pociągnął dobry łyk piwa i zaczął się zastanawiać, czego ma się spodziewać po kapsułce.

— Jeżeli chcesz wiedzieć, jak się mają sprawy z tym braciszkiem i siostrzyczką — oświadczył Gnida — to ci zaraz powiem. Jaś to pedał, a Małgosia jest zakochana w sobie. Ale co nam do tego?

Dźgnął kciukiem powietrze, wskazując stół:

— Salami tu jest od groma. Napchaj sobie kieszenie.

Joe poczuł, że ktoś na niego patrzy. Odwrócił się: przy drzwiach do łazienki stała młoda kobieta w pomarańczowej sukni i uśmiechała się do niego tajemniczo i prowo-

kująco. Stała oparta o framugę, jakby łazienka była jej prywatnym namiotem, rozbitym na technikolorowej pustyni — choć może prócz niej były tam inne odaliski. Śmiało napotkała wzrok Joego, otworzyła jeszcze szerzej oczy i pokazując wszystkie zęby zanosła się szalonym, rozkosznym śmiechem. Zbliżyła się do Joego, poprawiając palcami gęste czarne włosy. Podobała mu się: miała szczupłe nogi i krępe ciało o wydatnych kształtach.

— To widać, prawda? — zapytała.

— Tak! — zawołał Joe, udając, że rozumie. — Pewnie, że widać!

— W takim razie dokąd pójdziemy? — zapytała. — Teraz czy dopiero później? Możemy do ciebie? Bo ja, niech to cholera, mieszkam z koleżanką. Ale nieważne, jakoś to załatwię. Mam z nią taką umowę. O Boże! Jak tylko cię zobaczyłam, od razu wiedziałem. Czy ty też wiedziałeś?

— Czy też wiedziałem, hm...

— Że tę noc spędzimy razem?

Gnida włączył się do rozmowy:

— Pani już zdecydowała się na tę transakcję, tak?

Kobieta najwyraźniej nie zauważyła wcześniej Gnidy; spojrzała na niego z zaskoczeniem.

— A ty kto jesteś? O Boże! Chyba mi nie powiesz, że wy dwaj jesteście parą!

— Tak się składa, że jestem jego impresariem. Tak się też składa, że to jest Joe Buck, bardzo drogi kochanek.

— Drogi! Drogi?

Ze zdumienia usta jej się otworzyły. Odwróciła wzrok, zamrugła oczami, znów spojrzała na Gnidę, a potem na Joego.

— Czy to prawda?

Joe chciał uniknąć definitywnej odpowiedzi.

— No... jakby to — zaczął.

— O Boże! — zawołała. To prawda! Nie mogę w to uwierzyć!

Odeszła od nich, ale nie po to, żeby uciec; po prostu była oszołomiona. Otworzyła puszkę piwa, oparła się o stół i patrzyła na wysokiego kowboja, kręcąc głową i mrugając oczami.

— Połknęła haczyk — powiedział Gnida. — Dobra na jakieś dziesięć dolców, ale powiem jej, że dwadzieścia.

— Słuchaj, mniejsza o forszę, mam na nią ochotę — rzekł Joe.

— Ta... pewnie, jesteś bogaty! Idź, porozmawiaj z nią. Ja włączę się później.

Gnida odszedł.

Joe czuł się teraz jakby w stanie nieważkości. Kolistym ruchem poruszył wolno ramionami, jakby chciał sprawdzić ich giętkość, i odkrył, że ma teraz inny stosunek do swojego ciała: znów stało się dla niego czymś wspaniałym, pięknym, silnym. I zapragnął nawet znów przejrzeć się w lustrze.

Czarnowłosa kobieta stała przy nim i wpatrywała się w niego, zadzierając głowę, jak gdyby dzieliła ich ogromna różnica wzrostu.

— Strasznie jestem podniecona — powiedziała. — Po raz pierwszy w życiu znalazłam się — nie, żebym kiedykolwiek w ogóle o czymś takim słyszała — w podobnej sytuacji. I szczerze mówiąc, jestem strasznie podniecona. Nie mogę się doczekać, żeby opowiedzieć mojemu doktorowi, ale jestem umówiona dopiero na poniedziałek, czy to nie pech? Słuchaj, tak tylko rozważam, wiesz, ale co by się stało, gdybym powiedziała: „Zgoda, kupuję”? Oooh!

Nagle kobietą wstrząsnął dreszcz. Miała ładny, zgrabny nos. Jej nozdrza drgały. Oddech był krótki, urywany.

— Jestem zażenowana — powiedziała — i to na pewno nie skutek psychedryny! Łyknęłam w życiu więcej psychedryny, niż sama ważę, ale nigdy się tak nie czułam! Powinnam wszystko zapisać: oddech, serce, żołądek... i patrz! Gęsia skórka!

Pokazała ramię; Joe uśmiechnął się skromnie.

— Co to jest? Kupowanie mężczyzny, tak? To chyba najbardziej podniecające ze wszystkiego, co może się zdarzyć. No, bo na przykład dziewictwo — to jedna sprawa. Ale najbardziej dalekie, przeciwne, biegunowo różne jest chyba kupowanie kochanka? Prawda? Oczywiście, nie mam co ukrywać, daleko mi do dziewicy. Z tym nigdy nie



miałam kłopotów. Ale dawno, dawno, dawno temu, przed laty, uważałam, że powinnam wyjść za każdego faceta, z którym mam romans. Prymitywne, co?

Roześmiała się, śmiech jednak nie przeszkadzał jej mówić dalej:

— Ale po trzech mężach, właśnie, trzech, dzięki mojemu doktorowi i mimo tępoty zrozumiałam wreszcie, że jestem doskonałym, żywym przykładem moralności Bronxu w jej najbardziej szkodliwej postaci, rozumiesz? Nareszcie! Przełom! I co wtedy robię? Zachowuję się, jakbym musiała mieć romans z każdym facetem, z którym idę do łóżka! Widzisz? Oczywiście rozszerzenie tej samej dawnej moralności. Zgadzasz się z tym chyba, bo czym jest romans, jak nie małżeństwem, tylko że bez tej całej szopki? Bo przecież emocjonalnie dostaje się takie same ciągi, no nie? Czy od kochanka, czy od męża! Mam rację? A widzisz! Posłuchaj dalej. Nagle coś mi zaczęło świtać: a czemu nie zwykły seks? Byłam pewna, że właśnie o to chodziło mojemu doktorowi. Oczywiście, żaden psychoanalityk nie powie ci czegoś takiego od razu, to musi wyjść od ciebie! A jeśli ktoś jest tak tępy jak ja — w pewnych sprawach jestem po prostu niesamowicie tępą — kosztuje go to majątek! Nie mówmy nawet o tym, ile musiałam wydać pieniędzy, dobrze? W każdym razie, spróbowałam ot tak, żeby zobaczyć, i słuchaj: nic z tego! Nawet nie miałam orgazmu!

I wreszcie! Dziś, kiedy wyszłam z łazienki i zobaczyłam ciebie, czysty symbol — bo tym właśnie jesteś, symbolem, tak, czystym symbolem, nic dodać, nic ująć. Nie wiedziałeś tego? Nie mogę uwierzyć. W każdym razie wiedziałam, że to będzie prawdziwy przełom. Nie zastanawiałam się nawet, mój drogi, nie; czułam, po prostu czułam. Sam widzisz, w jakim jestem stanie, prawda? I to ja podeszłam do ciebie. Możesz mi wierzyć, nigdy nie zrobiłam czegoś takiego! Za kogo mnie masz? Po prostu czułam i nic nie mogłam na to poradzić, a co więcej — nie chciałam. Och, kiedy nadejdzie czas. będę musiała zadać sobie pytanie, dlaczego wybrałam kowboja, i to w dodatku kowboja-kurwę.

Ale nie dziś! W żadnym razie! Nie w trakcie, bo wtedy analizowanie siebie to jak pocałunek śmierci! Mowy nie ma o orgazmie. Pocałuj mnie teraz, dobrze? Żeby nie skończyło się na gadaniu! Ty, słuchaj! Czy będziesz skrępowany, jeżeli zapalę wielką, jaskrawą lampę nad łóżkiem i obejrzę cię całego? Bo nigdy jeszcze nie oglądałam męż-

czyżny tak cal po calu, a mam na to straszną ochotę. Mogę? Przecież spełnianie niecodziennych żądań należy do twojego fachu?

A przy okazji, ile to będzie mnie kosztować, co?

## 2

Joe patrzył na mówiącą kobietę. Ale jego zmysł słuchu nie funkcjonował normalnie. Jej głos brzmiał jak szum deszczu, zupełnie tak, jakby dzieliła ich szyba. Słyszał jej słowa i widział, że je wypowiada, ale ich sens nie docierał do niego.

Słyszał natomiast — i miało to coś wspólnego z połkniętą przez niego kapsułką — cienki, wysoki, wewnętrzny dźwięk, który w rzeczywistości nie był nawet dźwiękiem. Równie łatwo mógł go sobie wyobrazić jako linię, na którą się wzniosł, zawieszoną tak wysoko, że wszystkie zmysły — wzrok, słuch, dotyk — zlewają się w jedność.

W pewnej chwili Joe spojrział z tej właśnie wysokości na zabawę: zobaczył siebie, kowboja, który ponad tłumem gości bez twarzy spogląda na koniec sali, gdzie dwoje młodych ludzi w czerni siedzi na podłodze u stóp kobiety.

Ale z jego punktu widzenia nie były to bynajmniej trzy postacie, tylko cztery: jedną z nich był on sam. Jego miejsce było przy nich. On, kowboj Joe Buck, patrzył na swoją blondynkę, która siedziała tam z dwojgiem pięknych dzieci.

Teraz oczywiście rozumiał, dlaczego zaproszono go na zabawę; był brakującym członkiem tej czwórki, zawsze nim był, ale teraz już wszystko miało się ułożyć.

W końcu sali wszczął się jakiś ruch. Goście obrócili w tę stronę głowy: zaczynało się jakieś widowisko. Perkusista wybił dłońmi werbel, a flecistka spróbowała odegrać fanfarę.

Tymczasem MacAlbertsonowie pomogli wstać siwej pani. Była albo pijana, albo oszołomiona narkotykami. Gdy jednak podnieśli ją, dalej mogła już iść o własnych siłach, poruszając się jak niezręcznie sterowana marionetka. Przesunęła z przegubów aż po same łokcie dziesiątki brzęczących, chrzęszczących tandetnych bransolet i wyszła na środek sali.

Joe był przekonany, że teraz pozostali goście dowiedzą się o tym, o czym on już wiedział, o celu dzisiejszego spotkania. Miał nastąpić ślub, ślub inny niż wszystkie, raczej ponowne połączenie się osób, które wiązało głębokie, tajemnicze pokrewieństwo. Nie było nic sprzecznego w tym, że widział tę trójkę po raz pierwszy w życiu — w jego

fantastycznej wizji każda nielogiczność zostawała natychmiast dopasowana do nowego, wyższego porządku.

Na przykład to, co następnie miało miejsce, w pewnym sensie było niemożliwe, a mimo wszystko się stało. Siwa kobieta jednym spojrzeniem ogarnęła zebranych: jej wzrok spoczął na chwilę na Joem i przesunął się dalej. Joego przejął dreszcz; znieruchomiał z wrażenia. Albowiem przez tę chwilę patrzyła na niego Sally Buck. Była teraz jakaś dziwna i znacznie starsza, niż ją pamiętał. Niemniej była to Sally Buck i przez tę krótką chwilę widział ją zupełnie wyraźnie. Teraz wiedział, że to jego babka powstała z grobu i wysłała tych dwoje śmiertelnie smutnych, jadowicie pięknych dzieci na ulice Nowego Jorku, żeby go odnalazły. Ale w jakim celu? Oczywiście po to, żeby mu przekazać jakąś pilną wiadomość. I właśnie zaraz miał ją usłyszeć.

MacAlbertsonowie, wyglądający zupełnie jak dzieci ze świata snu, szczupli i bezpłciowi w swoich obcisłych czarnych strojach, właśnie tacy, jacy powinni być wysłannicy zza grobu, podeszli blisko starej kobiety zapewne po to, żeby ją podtrzymać, gdyby miała się przewrócić, albo inaczej udzielić jej pomocy. Teraz kobieta podniosła do góry ręce, żeby zwrócić na siebie uwagę, a kiedy wszyscy się uciszyli, przyłożyła nagle dłonie do twarzy i zaczęła chichotać i kasłać. Najwyraźniej zapomniała, co ma powiedzieć. Nastąpiła szybka narada z MacAlbertsonami.

Odaliska Joego, ta w pomarańczowej sukni, zapytała go, dlaczego jest spocony, ale on jakby jej nie słyszał. Odezwała się znów:

— Powinieneś coś zjeść, bo trzeba wciąż jeść, to najlepszy sposób, wiesz? Przynieść ci kanapkę?

Coś jej odpowiedział i kobieta odeszła.

Teraz starsza pani i dziewczyna w czerni wskazywały obie na chłopca, Jasia. Oczy wszystkich na sali śledziły jego ruchy, kiedy malował wielki czarny iks, przekreślając napis: „Jest później, niż myślicie”. Odłożył szczotkę do kubła i stanął obok siostry. Skinęli oboje na starą kobietę, żeby znów zwrócić na nią uwagę zebranych. Zabrzęczała bransoletami i chrząknęła, wypluwając flegmę do chusteczki, którą wetknęła potem za spódnicę. Następnie podniosła rękę, poczekała, aż zapadnie cisza, i powiedziała donośnym, bezbarwnym, drżącym głosem:

— Nie jest później, niż myślicie, nie, już nie jest.

Przerwała, wsysając policzki i ściągając wargi, jak gdyby były zbyt wyschnięte, żeby mogła mówić dalej. Wyglądało to jak seria krótkich, rozpaczliwych pocałunków, posłana nad głowami gości.

Małgosia MacAlbertson dała jej łyk piwa. Kobieta oblizła wargi, nabrała powietrza i nagle krzyknęła: „Czas!” — trzymając bez ruchu w górze obie ręce, jakby zatrzymywała upływ owego czasu. Nastąpił nowy atak kaszlu.

Goście czekali chwilę w milczeniu, ale zaraz znów rozległ się gwar rozmów, który stopniowo przybierał na sile. Joe usłyszał jakiś męski głos:

— Woli być tutaj niż gdzieś w bramie. Zresztą jest już nieprzytomna i nie wie, co z nią robią.

— Och, nie wierzę w to, żeby nie zdawała sobie sprawy. To okrutne. Ci ludzie też przecież czują i myślą, nawet kiedy są półprzytomni!

Stara kobieta znów słuchała, co mówią jej cicho MacAlbertsonowie — najwyraźniej uczyli ją, co ma robić dalej. Następnie jeszcze raz zwróciła się do zebranych i zawołała nagle: — Czas nam uciek! Nie ma już czasu!

Wyszczrzyła drobne żółte zęby w mechanicznym uśmiechu, który niczemu nie służył — był tylko ostatnią sztuczką osoby poruszającej drutami marionetki.

Spojrzała na MacAlbertsonów, czekając na ich reakcję. Oboje skinęli energicznie głowami. Wtedy, jakby ktoś przełamał ją na pół, opadła w dół górną połową ciała, podzwaniając bransoletami. Był to ukłon. MacAlbertsonowie zaczęli klaskać. Wszyscy im zawtórowali. Oklaski zahuczały jak grzmoty, spotęgowane jeszcze przez gwizdy, wrzaski, tupanie, a nawet przeraźliwe piski.

Gnida znalazł się u boku Joego i szturchnął go łokciem.

— Po kiego klaszczesz? Co to miało być, do cholery? Jakaś operetka? Myślałem, że każą jej przynajmniej odgryźć łeb kurze!

Joe zostawił Gnidę i zaczął się przedzierać wśród hałasu — potykając się o wyciągnięte nogi, mijając skrzyżowane kolana, stoliki, ławki i muzyków — coraz bliżej i bliżej do starej kobiety, która siedziała teraz znów na krześle za MacAlbertsonami.

Brunetka w pomarańczowej sukni zastąpiła mu nagle drogę, trzymając oburącz wielką, grubą kanapkę.

— Myślałam, że chcesz coś zjeść — powiedziała.

— Dziękuję — odrzekł Joe, ale nie wziął kanapki, Dotknął ramienia brunetki, a kiedy się usunęła, ruszył dalej do starej kobiety.

Miał uczucie, że nagle coś się popsuło. Jeszcze przed chwilą coś wiedział. Zrozumiał jakąś bardzo ważną sprawę w swoim życiu, a potem zapomniał. A może właśnie miał się dowiedzieć, ale w ostatniej chwili nic mu nie powiedziano. Starsza pani zachowała wiadomość dla siebie. Kim ona jest?

Przyjrzał się jej uważnie z bliska i zobaczył, że jest jeszcze starsza, niż się wydawała podczas występu. Najwyraźniej też coś ją bolało — była półprzytomna z bólu. Czoło jej pokrywała siatka zmarszczek. Puder na twarzy maskował jakąś wysypkę. Nieustannie mrugające oczy nie zaznały chyba nigdy chwili spoczynku. Były jak drżące kwiaty nie kończącego się cierpienia, którego przyczyna dawno już poszła w zapomnienie. Co pewien czas wewnętrzny skurcz sprawiał, że kobieta wzdrygała się z bólu, jakby ktoś ją kopnął, i na chwilę przymykała oczy, a twarz jej ściągała się w pęk kolorowych krech niby papierowa torba po nadmuchaniu i wystrzeleniu.

Joe usiłował sobie przypomnieć, czego chciał się dowiedzieć od starszej pani czy może od MacAlbertsonów. Stał tuż przed nimi, ale oni wcale nie zwracali na niego uwagi — zdawało się, że nie są w stanie patrzeć na nic i na nikogo prócz siebie nawzajem. A Joe nie potrafił już przyglądać im się z wysokości. Uczucie, że wszystko rozumie, znikło. Nie poczuwał się już do żadnego pokrewieństwa z tymi ludźmi. Miał przed sobą po prostu ładnego chłopca, ładną dziewczynę i chorą starszą panią, którzy postanowili urządzać zabawę. Joe zawsze ciekaw był zabaw, a teraz był właśnie na zabawie i wcale mu się nie podobało: jeżeli wszystkie zabawy są takie — to smutne i lepiej chyba chodzić po ulicach.

Tęgi mężczyzna z lśniąca, okrągłą twarzą chwycił Joego za ramię i powiedział:

— Nie słyszałeś, co mówiła „Matka Ceres? Oznajmiła, że wytykałeś już swoje ostatnie tyk-tak. Więc kładź się, kochasiu, jesteś trup!

Mężczyzna roześmiał się, podszedł do kogoś innego i rzekł:

— Słyszałeś, co powiedziałem temu facetowi? Powiedziałem: „Nie słyszałeś, co mówiła Matka Ceres? Oznajmiła...”

Joe zareagował natychmiast. Podszedł szybko do mężczyzny, złapał go obiema rękami i zapytał:

— Masz coś do mnie?

— Ja? — zdziwił się mężczyzna z okrągłą twarzą. — A to niby czemu?

— Więc dlaczego wybrałeś mnie? Coś ci się nie podoba, tak?

— Oszalałeś? — spytał mężczyzna. — Puszczaj!

— Nic ci nie robię. Chcę usłyszeć odpowiedź — powiedział Joe.

Zjawiła się przy nich Małgosia MacAlbertson.

— Dziękujemy za przybycie — oznajmiła Joemu — ale teraz proszę już sobie iść.

Gnida też się pokazał.

— Co ci, zalałeś się? — spytał.

Zwrócił się do MacAlbertsonów:

— Nic się nie stało, jest zalany.

Kiedy Gnida wyprowadził go z sali na korytarz, Joe powiedział:

— Wcale się nie zalałem. Czuję się jak zalany, ale już mi dawno przeszło.

Kożuch Gnidy leżał gdzieś na spodzie, zaczął go szukać.

— Ugrzążłem w bagnie — powiedział Joe. — Ugrzążłem w ohydnych bagnach i muszę się jakoś z niego wypierdolić.

— Kiepsko się czuję. Muszę się położyć — rzekł Gnida.

Kobieta w pomarańczowej sukni stanęła w drzwiach.

— Ty!

Joe spojrzał na nią.

— Pytam cię, ile!

— Gnida, powiedz jej — polecił Joe, nie odrywając od niej oczu.

— Dwadzieścia dolarów — powielał Gnida.

— Zgoda — oświadczyła kobieta. — Moje futro jest tam. Sztuczne bobry. Pod tym paltem w jodelkę.

— I dla mnie na taksówkę — dodał Gnida. — Dwadzieścia dla niego, a dla mnie na taksówkę, zgoda?

— Wiesz, co ci powiem? — zapytała kobieta. — Spływaj! I to na dobre, wiesz? Najlepiej wykorkuj!

— Dobrze — powiedział Gnida. — Ale za tę usługę biorę dolara na taksówkę.

Kobieta wyjęła jednego dolara z małego zwitka banknotów, który trzymała na piersiach, i wręczyła go Gnidzie.

— Ale zanim policzę do dziesięciu, już cię tu nie ma. Raz, dwa, trzy...

Gnida zaczął schodzić na dół. Joe pomógł kobiecie włożyć futro.

— Ty, hm, jak się nazywasz... kochanie? — zapytał.

— Ha, nie wiesz, co? To mi się podoba! — zawołała. — Za to ja wiem, że ty jesteś Joe. Wspaniałe imię! Każdy mógłby się tak nazywać. Joe, pocałuj mnie, Joe, obejmij mnie, Joe, przesuń się, Joe, idź sobie. Cudowne! Idealne imię dla męskiej... no, dla mężczyzny. Coś jak Rose dla dziewczyny.

Z dołu dobiegł ich łoskot, jakby ktoś spadł ze schodów. Joe zbiegł na parter przeskakując po dwa stopnie i zobaczył Gnidę, który czepiał się poręczy, usiłując wstać. Ale upadł po raz drugi. Joe podniósł go i Gnida udzielił mu instrukcji, jak ma go postawić na nogi. Joe tak go opuścił, żeby ciężar ciała spoczął na zdrowej nodze. Gnida trzymał się kurczowo poręczy — miał zaciśnięte zęby i trupio bladą twarz.

Kobieta doszła już do drugiego podestu. Schodząc z ostatniej kondygnacji zapytała:

— Co się stało?

— Spadł ze schodów — odparł Joe.

— Nic mu nie jest?

— Pilnuj swego nosa! — zawołał Gnida, po czym przedrzeźniając ją powtórzył: — „Nic mu nie jest?”

— Jak ci nic nie jest, to po co się trzymasz poręczy? — zapytała. — Możesz chodzić?



— Czy mogę chodzić?! Pewnie, że mogę. Zrobił trzy kroki i uchwycił się futryny drzwi.

— No co, może nie?

— Tak — rzekł Joe — ale czy dojdiesz do metra?

— Nie, nie, zasłabłem, nie poradzę sobie — powiedział Gnida dziewczęcym głosem.

— Zanieś mnie!

— Ma na taksówkę — oznajmiła kobieta.

Zwróciła się do Gnidy:

— Nic ci nie jest. Tak?

— Przecież powiedziałem! — zawołał Gnida.

— Nic mu nie jest — powiedziała kobieta do Joego.

— Chodźmy.

### 3

Godzinę później kobieta leżąc z głową opartą na łokciu dotknęła drugą ręką Joego.

— Zdarza się — powiedziała. — Nie przejmuj się tym. Przejąłeś się? Niepotrzebnie. Poleżymy trochę i... zobaczymy, co będzie. Może nawet zdrzemniemy się trochę, co?

Joe sięgnął przez łóżko i wziął papierosa z nocnego stolika.

— To mi się jeszcze nigdy nie zdarzyło, może pani być tego pewna! Hm, gdzie są zapalki, proszę pani?

— W górnej szufladzie.

Kiedy Joe zapalił papierosa, powiedziała:

— Może poszłoby lepiej, gdybyś nie mówił mi pani.

Joe położył się na wznak i wypuścił dym w stronę sufitu.

— Pierwszy raz mi ten interes nawalił!

Kobieta roześmiała się krótko.

Joe spojrzał na nią szybko.

— Co? Myślisz, że kłamię?

Z wysiłkiem przybrała wyraz powagi.

— Nie! Skądże znowu! Rozśmieszyła mnie pewna rzecz, to wszystko.

— Tak? — zapytał Joe. — Co takiego?

— Nic, mniejsza o to.

— Mniejsza o to, tak?

— Och, naprawdę! To nic ważnego.

Joe skinął głową i znowu spojrzał w sufit.

— No dobrze, powiem ci — rzekła. — Nagle postawiłam się w twojej sytuacji i zrozumiałam, że dla zawodowca to rzeczywiście kłopotliwa sprawa. Nie żeby warto się było przejmować, bo to w końcu ludzka rzecz, ale nagle wyobraziłam sobie trębacza bez

trąbki, policjanta bez pałki i tak dalej, i tak dalej, i pomyślałam... Nie, już nic nie powiem, bo to tylko wszystko pogarsza!

Joe zastanawiał się intensywnie. Rozważał wszelkie możliwe przyczyny obecnego niedomagania, wspominając, jak bardzo osłabł i opadł z sił od przyjazdu do Nowego Jorku. Rozmyślając o tym, czuł, jak słabość i zmęczenie krążą po jego ciele zamiast krwi. Powoli, po trochu miasto wysysało z niego jego wspaniałą moc, trochę tu, trochę tam, wysysało nieustannie, sekunda po sekundzie, chodniki przy każdym kroku odciągały siły z jego nóg, zgiełk uliczny wygarniał je z jego uszu, neony czerpały coś cennego z jego oczu, a wkład był żaden: tu kawa, tam zupa, od czasu do czasu talerz rozgotowanego spaghetti, hamburger z posypanych pieprzem trocin, butelka piwa. Na tej strawie zmęczenie jego tylko wciąż rosło w potęgę...

Kiedy się obudził, zza zasłon na oknach przebijały smugi dziennego światła. Te same myśli, myśli o tym, jak jest osłabiony, niby sen przemknęły mu przed oczyma. Zobaczył, jak na tysiące nieprawdopodobnych sposobów tracił siły, padał ofiarą wyzysku i oszustw. Każdy uśmiech kosztował go majątek, ilekroć skinął na zgodę komuś obcemu, wyciskano z niego bezcenną substancję. Jeżeli w jego obecności, w zasięgu jego zmysłów, tykał zegar, wiał wiatr albo obracało się koło, to siłą napędową była właśnie ukradziona mu w jakiś sposób energia.

Nieomalże zdruzgotany tymi myślami, Joe odkrył ze zdziwieniem, że kiedy spał, powróciła jego moc. Dotknął się ręką głęboko wzruszony, bliski łez, z poczuciem ulgi i szczęścia. Ale nastrój ten szybko ustąpił miejsca pragnieniu zemsty. Joe zapragnął wyrazić coś swoją mocą, chciał, żeby coś znaczyła, żeby mógł nią zaprotestować, wypisać na niebie swoje inicjały i groźne ostrzeżenie.

Kobieta obok niego spała na wznak. Wyciągnął rękę i przycisnął dłoń stuloną w miseczkę do najgorętszego miejsca na jej ciele.

Chwilę później byli razem: kobieta krzyczała przy każdym oddechu. Joe wbijał się w nią miarowo, systematycznie, jakby miała to być dla niej kara, a on sam nie szukał rozkoszy. Ale jej podobała się ta gra. Ugryzła go w ramię, żeby zasłużyć sobie na jeszcze większy, jeszcze wspanialszy gniew, musiał więc włożyć jej kaganiec z własnej, mocno przyciśniętej dłoni, po czym dalej pracował... Nagle coś w niej pękło i zaczęła śmiać się i płakać na przemian jak szalona, i wtedy Joe Buck zobaczył jasno, że czeka ją wyzwolenie,

i począł wbijać się coraz bardziej i bardziej natarczywie, nie dlatego, że chciał ją wyzwolić, ale dlatego, że chciał się czuć wyzwolicielem, chciał znów poczuć, że ma tę moc, i wtedy kobieta wydała przeciągły, niski jęk, niby rozmyślny krzyk, ale on jeszcze przez chwilę nie ustawał, jak gdyby krwią chciał złożyć pod tym, co zrobił, podpis z zawijasem; i właśnie wtedy stało się coś nieoczekiwanego: on sam uzyskał wyzwolenie. Całym ciężarem opadł na kobietę. Obejmowała go nadal i rozsmarowywała palcami krew, którą dobyteła z jego pleców. I wciąż, wciąż powtarzała najpospolitszą nazwę na to, co się przed chwilą stało, jakby mogła przedłużyć ten akt albo unieśmiertelnić go za pomocą ordynarnych słów. Joe zaś, leżąc na niej i kryjąc twarz w poduszce, zobaczył naraz w myśli dwie młode postacie w czerni, szczupłe, jasnowłose — MacAlbertsonów. I na moment, przelotnie, podczas gdy kobieta recytowała swoją sprośną litanie krótkich słów, rzucił w wyobraźni okiem na tych dwoje dzieci i zgłębił ich tajemnicę. Zobaczył, jak na jego oczach stają się dorośli, zobaczył, jak idą ręką w rękę na tle nicości obok siebie, lecz zarazem każde osobno, nie mający ojca ani matki, bezpłciowi, oderwani od świata, od tego, kim, gdzie i czym są, zobaczył, jak wędrują w poszukiwaniu innych, co przemierzają te same puste obszary, innych, co tak samo urodzili się samotni, wyobcowani, oderwani — i zrozumiał nagle, czyje to dzieci: jego, Joe Bucka. Jego własne dzieci, które urodziły się od razu dorosłe ze związku dzisiejszej nocy.

## 4

Kiedy Joe opuścił po południu mieszkanie kobiety, był najedzony i opity gorącą kawą, świeżo wykąpany i ogolony, buty miał obficie spryskane wodą kolońską — drogą, o ile mógł się zorientować po zapachu — którą wlał, żeby nie cuchnęły, a w tylnej kieszeni dwadzieścia dolarów.

Na Times Square kupił parę skarpetek i nowe slipy, po czym przebrał się w toalecie baru samoobsługowego. Jego slipy i skarpetki były w żalonym stanie, więc w przypływie rozrzutności wrzucił je do muszli i spuścił wodę. Potem postanowił wydać pięćdziesiąt centów na oczyszczenie butów. Czekając, aż będą lśniące, przeliczył pieniądze i zaczął rozmyślać, co by tu z nimi zrobić. Przyszło mu do głowy, że powinien kupić również bieliznę i skarpetki dla Gnidy. I może coś do jedzenia. I lekarstwa.

W drogerii przy Ósmej Alei dostał aspirynę, syrop na kaszel i witaminy, a następnie poszedł do sklepu wojskowego, gdzie nabył długie kalessony i dwie pary czerwonych wełnianych skarpet, jedną — większych, a drugą mniejszych, żeby pasowały do niejednakowych stóp Gnidy.

Idąc pośpiesznie ze sprawunkami Ósmą Aleją, śpiewał w zdwojonym tempie „Ostatni spęd” i nie zwracał uwagi na spojrzenia przechodniów. Popołudniowe słońce topiło zwały brudnego śniegu, zalegające rynsztoki, musiał więc przeskakiwać zgrabnie nad błotnistą breją, żeby nie powalać lśniących butów. Po drodze kilka witryn sklepowych i dwa czy trzy lustra ukazały mu odbicie przechodzącego z fantazją kowboja; parę razy zatrzymał się przy nich, żeby uśmiechnąć się do siebie i napiąć mięśnie pośladków, rozkoszując się ukrytą w nich mocą. Ostatnim jego zakupem, dokonanym w pierwszorzędnym żydowskim sklepie nie opodal Trzydziestej Ulicy, był kartonowy pojemnik z gorącym rosółem.

Zanim doszedł do iksowanego mieszkania, zatrzymał się na schodach, żeby sprawdzić pakunki: skarpety, kalessony, lekarstwa, rosół, papierosy. Coś w związku ze skarpetami zaintrygowało go nagle. Położył inne paczki na stopniach, wyjął skarpety z papierowej torby i wziął po jednej parze do każdej ręki. Przyglądał im się przez długi

czas, usiłując coś zrozumieć. Przez chwilę dumiał nad osobliwą różnicą w rozmiarach stóp Gnidy, nie o to mu jednak chodziło. Chciał dokładniej zrozumieć coś, co czuł w związku ze wszystkimi zakupami, a nie tylko dwiema parami skarpet. Jednak to właśnie wciąż mu się wymykało.

Wziął paczki i ruszył po schodach do mieszkania.

Gnida leżał owinięty w koce i zaciskał mocno zęby, żeby nie szczękały. Zażył dwie aspiryny, popijając odrobiną wody, ale nie mógł wcale przełknąć rosołu, dopóki nie ustąpiły dreszcze. Joe musiał go wtedy podgrzać w rondelku nad puszką z paliwem, a Gnida pocił się tak obficie, że chciał zrzucić z siebie wszystkie koce. Sprzecjali się o słuszność tego posunięcia, a później o to, jak określić dolegliwość Gnidy. Joe uważał, że to kocia gorączka — tak Sally nazywała wiele dolegliwości, które przeszedł w dzieciństwie, wychodząc z założenia, że źródłem wszelkich chorób są koty — ale Gnida powiedział, że żadnego kota nie widział na oczy, a w ogóle to ma grypę.

Kiedy pił rosół, Joe pokazał mu długie kalessony i skarpety. Gnida spojrział na nie i potrząsnął głową.

— Niedobre? — spytał Joe.

— Nie to. Ale kiedy ty kupowałeś gacie, ja mogłem rąbnąć skarpety. Zresztą, co tam.

— Dziękuję — dodał po chwili, a później powiedział: — Ty, Joe, obiecaj, że się nie będziesz na mnie wściekać, dobrze?

— No.

— Obiecujesz?

— Tak!

— Wiesz, chyba nie mogę chodzić.

Gnida patrzył na ścianę. Był bardzo zmieszany.

— Ostatnio wciąż się przewracam i... hm.

— I co?

— Boję się.

Postawił rosół na podłodze obok stosu koców i znów zaczął dygotać. Zaciśnął szczęki i przycisnął mocno ręce do ciała.

— Czego? — zapytał Joe.

— Powiedziałem ci już!

— Wiem, ale...

— Tego, co się stanie — dokończył Gnida. — Tego, co mogą, no, wiesz... zrobić ze mną, jak nie będę mógł, no... O. kurwa!

— Kto? Kto może ci co zrobić?

— Nie wiem. Gliny. Albo... Skąd ja mam wiedzieć?

— Niby — powiedział Joe — jak nie będziesz mógł chodzić?

Gnida pokiwał głową.

— I co z tobą zrobią?

Gnida znów pokiwał głową. Joe zerwał się z miejsca i zaczął krzyczeć:

— Co glinom do tego?! To nie ich pieprzony interes, czy ktoś chodzi, czy nie! Słuchaj, stary, mówisz jak dupa wołowa! Wiesz, co my zrobimy? Pojedziemy na Florydę!

— Daj spokój z Florydą. Nie pleć głupstw.

Gnida zmarszczył czoło i patrzył na Joego, usiłując wyczytać z jego twarzy, czy mówi poważnie.

— Tu wciąż się zarzynamy przez te cholerne mrozy. No nie? Sam się teraz trzęsiesz. Druga sprawa, to żarcie. Mam rację, no nie? Na Florydzie są kokosy, słońce i wszystko, i wcale nie trzeba się zarzywać. Rusz głową, Gnida, wiesz sam dobrze! Nieraz, kurwa, gadaliśmy o tym. Zapomniałeś?

Joe wyjął i pokazał pieniądze, rozpościerając banknoty jak karty do gry.

— Tu mamy na początek to, co zarobiłem tej nocy. Dziś wieczorem zdobędę resztę. Wszystko załatwione, czekałem tylko, żeby cię zawiadomić. Powiedz mi teraz: liczyliśmy, że autobus kosztuje po trzydzieści osiem od łebka, tak? A ile to będzie razy dwa?

— Co, zabierzesz mnie? — zapytał Gnida. Joe skinął głową.

— Więc ile to będzie?

— Siedemdziesiąt sześć. Słuchaj, Joe, ja mam dziewiętnaście. W tamtym bucie.

— Skąd wzięłeś dziewiętnaście doków?

Joe pognał do buta i wyciągnął z niego pieniądze.

— Przeszukałem wczoraj palta.

— Jakie palta?

— Na zabawie, na zabawie— na miłość boską! Pamiętasz tam na schodach? Kupa palt! Znalazłem w sumie dziewiętnaście dolarów.

— Dobra. A jak dodasz moje dziewięć, to ile mamy? Ile jeszcze muszę zdobyć?

Gnida zamknął na kilka sekund oczy, a potem powiedział:

— Pięćdziesiąt. Jeszcze z pięćdziesiąt. Nie dasz rady tyle, co?

— Jak to nie dam! — zawołał Joe. — W tej chwili to dla mnie nic! Do zobaczenia.

Przy drzwiach odwrócił się.

— Wciągaj gacie — powiedział. — I skarpety! Nie po to wsiądziemy do autobusu, żebyś go zaraz zasmrodził giczołami!

Gnida patrzył na Joego, jakby go nie widział.

— Nie mogę w to uwierzyć, nie mogę! O, niech to szlag trafi, nie mogę!

Nagle usiadł na posłaniu i zawołał:

— Hej, jedną chwilę!

Po czym, kiwając wolno głową, rzekł:

— Joe, tylko nie rób nic głupiego, żebyś nie wpadł, dobrze?

— Musisz? Inaczej nie możesz? Nie możesz się zamknąć ten jeden raz i dać mi coś zrobić? Czy jest gdzieś napisane, że jak Joe Buck sam coś wymyśli, to zaraz musi wpaść? Już ze mnie taki ostatni bałwan, tak?

Zawrócił i opadł z rezygnacją na krzesło, wyciągając przed siebie nogi.

— Miałem taki wspaniały nastrój, a ty, kurwa, wszystko popsuleś!

Wstał jednak i znów podszedł do drzwi.

— Nie, nie udało ci się — powiedział. — Głupi byłbym, gdybym się dał zniechęcić. Jeszcze dziś wyjeżdżamy z tego miasta!

Trzasnął drzwiami i zbiegł na dół, przeskakując po dwa stopnie naraz.



## 5

Joe zaglądał po kolei do bram, hallów wejściowych teatrów i salonów gry na Times Square, szukając okazji do zarobku, ale w ciągu dwóch pierwszych godzin niewiele się działo. Było za zimno, żeby długo stać w jednym miejscu. Przy Duffy Square zmarnował kwadrans na ewentualnego klienta, który był zbyt wystraszony, żeby się odezwać, a później jeszcze dobre drugie tyle, idąc za ładną kobietą aż na Grand Central Station, i to tylko po to, żeby zobaczyć, jak wsiada do pociągu do New Haven. Wrócił na Times Square i poszedł dalej Broadwayem aż do Pięćdziesiątej Ulicy, skręcił w nią i doszedł do Ósmej Alei, z ósmej Alei skręcił w Czterdziestą Drugą Ulicę i znowu doszedł do Broadwayu, a potem przemierzył tę samą trasę jeszcze po raz drugi i trzeci, wstępując, żeby się rozgrzać między wędrownkami, do księgarni z wydawnictwami pornograficznymi i do salonu gier „Fascynacja”, w którym stracił dolara i dwadzieścia centów.

Ale koło ósmej, kiedy zapomniawszy chwilowo o celu swojej wyprawy stał beczynnym na Siódmej Alei, oglądając wystawę sklepu z akcesoriami magicznymi, ujrzał o krok od siebie obok tej samej wystawy największą szansę tego wieczoru.

Był to czerwono-biało-błękitny mężczyzna około pięćdziesiątki, tęgi, prawie gruby, o wyjątkowo czarnych brwiach. Jego miła, okrągła twarz sprawiała wrażenie uśmiechniętej nawet wtedy, kiedy był zupełnie poważny, a oczy patrzyły niespokojnie i niepewnie na cały świat. Ale najbardziej przyciągały uwagę te barwy Amerykanina z komedii muzycznej: czerwień cery, czysta biel włosów i jedwabnego szalika, żywy błękit oczu i palta.

Joe nauczył się już, że nie powinien odzywać się pierwszy. Niech się klient odezwie. Na poparcie tej zasady istniało kilka teorii, między innymi, że zaczynając rozmowę człowiek zdradza się z pewną dozą skwapliwości, co może obniżyć jego cenę, a poza tym, jeżeli trafi na policjanta w cywilu, może zostać aresztowany.

Ale Joe czuł, że musi koniecznie złapać okazję, zanim przemarznie do cna. Kiedy wystawał w bramach domów na Times Square w zimowe noce, twarz mu w pewnej chwili bladła i sztywniała, nie mógł myśleć jasno ani zachowywać się swobodnie; od tego

momentu wyglądał i poruszał się jak człowiek przegrany i nikt nie chciał mieć z nim do czynienia.

Machnął więc ręką na ostrożność, rozciągnął wargi w sympatycznym, szerokim uśmiechu i spojrzawszy w czerwono-biało-błękitne oblicze, właśnie chciał coś powiedzieć, kiedy mężczyzna przemówił pierwszy:

— Jak się cieszę!

Okrągła gęba otworzyła się, ukazując jeszcze więcej czerwieni i bieli w postaci dziąseł oraz idealnych zębów, a mężczyzna ujął w obie ręce dłoń Joego.

Już od pierwszych słów obcemu udało się stworzyć nastrój wyjątkowo intymny. Postronny obserwator mógłby sądzić, że to dwaj starzy przyjaciele spotkali się nagle po wielu latach bolesnej rozłąki.

Głos mężczyzny, który od razu zaczął mówić, i to jakby nigdy nie zamierzał przerwać, był głęboki, pełny, mocny, a jednocześnie dziwnie pedantyczny, co w pewien sposób upodabniało jego właściciela do histerycznego, nieco zniewieściałego byka. Przedstawił się jako Townsend P. (czyli Pederson) Locke z Chicago („Mów mi Towny”), powiedział, że „robi w branży papierniczej”, a do Nowego Jorku przyjechał na zjazd fabrykantów.

— I szczerze mówiąc, żeby się trochę zabawić — dodał tonem człowieka, który postanowił dopiąć swego za wszelką cenę.

— To moja pierwsza noc i będzie to zły znak, który zmąci mi cały dziesięciodniowy pobyt, jeżeli nie zgodzisz się zjeść ze mną kolacji. Proszę cię! Strasznie mi na tym zależy. Dobrze? Tak?

Joe stwierdził, że mężczyźnie nie była nawet potrzebna jego zgoda. Bo nie zdążył jeszcze skinąć głową, kiedy niemal siłą został poprowadzony Czterdziestą Drugą Ulicą. Towny ani na chwilę nie przestawał mówić. Co więcej, nie należał do ludzi, którzy wymagają od słuchaczy widomych oznak uwagi. Jak motylek przelatywał z tematu na temat: Chicago, jedzenie, jego matka, zjazd, Nowy Jork, ludzie w ogóle, kowboje, potrzeba „zabawienia się”, znów jego matka, Illinois, restauracje, religia, Michigan Avenue, sztuka konwersacji. („To mi się właśnie w tobie podoba, jesteś takim cudownym

rozmówcą" — powiedział w pewnej chwili, a Joe szeroko otworzył oczy i ze zdumieniem pokiwał głową).

— Gdzie chciałbyś zjeść kolację? Daję ci do wyboru wszystkie restauracje na wyspie Manhattan. Nie, nie, na całym wschodnim wybrzeżu. Jeżeli w New Jersey, na Long Island albo nawet w Filadelfii jest jakiś lokal, do którego koniecznie chcesz pójść, to wynajmiemy samochód. Zdecyduj! „Chambord?” „21 Club”? „Luau”? Mniejsza o strój! Znają mnie tam. Powiem, że występujesz w rodeo, w Nowym Jorku ciągle odbywa się jakieś rodeo. Co więcej, wyglądasz bardzo elegancko, a w tych restauracjach, tych naprawdę dobrych, nikt nie zwraca uwagi na krawaty i inne nowoczesne fanaberie. Och!... — Strzelił palcami. — Niech to diabli! Słuchaj, musimy zjeść u mnie w hotelu, bo o pół do dziesiątej będą miał telefon. Moja matka zawsze dzwoni do mnie, zanim położy się spać, więc muszę być na miejscu. Ma dziewięćdziesiąt cztery lata, więc jakby to do licha wyglądało, gdybym nie siedział w hotelu, kiedy dzwoni, żeby mi powiedzieć „dobranoc"! Prawda? Ale tam też będzie miło. Zjemy na górze. Mam bardzo skromny, ale wyjątkowo przyjemny apartament w hotelu „Europa" przy Dziewiątej Alei. Moi wytworni przyjaciele wolą „Pierre" albo „Piazza"; niech sobie! „Townsend, powiedz, dlaczego tam się zatrzymujesz?" Oczywiście, ty i ja wiemy, że pięćdziesiąt lat temu był to jedyny hotel na Manhattanie: wysokie pokoje, marmurowe łazienki. My wiemy, co to jakość!

Przycisnął ramię Joego.

— W odróżnieniu od mody. Spójrz tylko!

Kiedy wchodzili do hallu, młody mężczyzna z chudą, ostrą, fanatyczną twarzą wcisnął Joemu do ręki kawałek papieru. Było na nim napisane: „Jesteś w płonącym budynku i tylko jeden Jezus jest strażakiem". Joe zgniótł kartkę i schował ją do kieszeni.

— Spójrz na ten wspaniały hall! — zawołał Townsend P. Locke.

Hall „Europy" służył obecnie za lokum różnym drobnym firmom. W jednym odgrodzonym kącie znajdował się fotograf, nie opodal mieścił się zakład kosmetyczny — i tak dalej... Poza tym stały tu również automaty ze słodyczami, z zimnymi napojami i z papierosami. Popękane płyty posadzki były świeżo, ale były jak umyte: widniały na nich pasma zaschłego błota, a w powietrzu unosił się nikły zapach amoniaku. Recepcjonista — szary, drobny, jakby nieobecny mężczyzna — został wybrany chyba dlatego, że wystarczył

jeden rzut oka, aby wiedzieć, iż zupełnie, ale to zupełnie nie interesuje się wchodzącymi i wychodzącymi gośćmi.

Weszli do zgrzytliwej, powolnej windy i wjechali na piąte piętro — Townsend P. Locke mówił przez cały czas, kiedy jechali i kiedy już szli korytarzem:

— ...Macy, Central Park, Greenwich Village, światła, miliony obcych przybyszów ze wszystkich stron świata... — wymieniał wszystko, co w Nowym Jorku podobało mu się najbardziej — ...zupełny, całkowity brak wtrącania się w cudze sprawy i ten, no nie wiem, szalony pęd naprzód; rozumiesz, o co mi chodzi? Jakby to powiedzieć... moje poczucie czasu zmienia się tu zupełnie. A przecież Chicago to nie jakaś zapadła wieś. Ale tutaj moim zdaniem każda sekunda z hukiem przedziera się naprzód. Posłuchaj! Posłuchaj! Sam tylko posłuchaj! Czas to kolos, który maszeruje Broadwayem! Słyszysz, jak się zbliża?

Byli w salonie apartamentu Locke'a, stali przy oknie i wyglądali na Czterdziestą Drugą Ulicę. Słyszeli odgłos, który mężczyzna usiłował określić. Był to przenikający wszystko pulsujący ryk, jakby miliony maszyn i ludzi na wyspie połączone były wspólnym rytmem, mówiły jednym głosem, dawały się poznać jako jedna istota, obdarzona niewiarygodną siłą.

— Ty i ja — powiedział Locke — też wnosimy swój wkład. Tak! Czy to nie wspaniałe? Pomyśl tylko, twoje serce bije bum-bum-bum, projektor filmowy w tamtym kinie klekocze klik-klik-klik, każdy samochód warkocze gggrrrrrhhhhhhoo-ooommmmmmm i och! Nie mogę nawet o tym myśleć, to ponad moje siły. Napijesz się czegoś? Mam niezły dzin. Ale jeżeli masz ochotę na coś innego, to zaraz zamówię. Może pijesz tylko ańejo, irlandzką whisky albo saki? Powiedz.

— Może być dzin.

— Ta sprawa czasu w Nowym Jorku — ciągnął Locke — fascynuje mnie tak potężnie, że to przekracza granice mojej wytrzymałości. Choć z drugiej strony sama świadomość tego może wtrącić mnie do otchłani. Jestem typem maniakalnym, miewam okropną depresję zawsze w związku z czasem. Na przykład w Chicago często czuję, że czas zatrzymał się jakieś dwadzieścia lat temu! I że wszystko, co się wydarzyło później, to straszna pomyłka. Chorobliwe, prawda? Wydaje mi się wtedy groteskowe, że ten siwy pan, którego widzisz przed sobą, w ogóle jest na świecie. On nie istnieje! Była wojna, był

młody mężczyzna w mundurze, przystojny jak mało kto, miał włosy zupełnie czarne — i powinien był zginąć na wojnie! Ale nie zginął. W niebie zaszła jakaś idiotyczna pomyłka i on wciąż żyje! Zabawne, co?

No, dość już o mnie. Na dzisiejszy wieczór skończyłem z gadaniem. Napij się. Opowiedz mi teraz wszystko o sobie i o sytuacji w zachodnich stanach. Na przykład, co u licha dzieje się z bydłem? Ale najpierw chcę ci coś wyznać: zachód fascynuje mnie ogromnie, bezmiar i romantyczność, konie i skóry. Więc nawet gdybyś nie był tym wspaniałym młodzieńcem, którym jesteś, zdolnym, wrażliwym, niezwykłym, co dostrzegłem od razu, to i tak na pewno czułbym, że istnieje między nami pewna, pewna, pewna... — poruszył kilkakrotnie dłonią na wysokości serca, jakby była magnesem, którym mógł wydobyć z niego brakujące słowo — ...więź! — wysunął teraz rękę do przodu, jakby więź leżała na jego dłoni. — Tylko dlatego, że pochodzisz z wielkiego Dzikiego Zachodu. Moja matka podziela moje zainteresowania, naprawdę, byłaby tobą zachwycona, więc kiedy zadzwoni — spojrzał na zegarek — około pół do dziesiątej, chciałbym, żebyś podszedł do telefonu i powiedział: „Dobry wieczór, Estello, mówi...” Jak ci na imię?

— Joe.

— „Dobry wieczór, Estello, mówi Joe. Townsend jest dziś bardzo grzeczny”. Albo w ogóle cokolwiek. Przedstawię cię. powiem jej, że jesteś kowbojem. Strasznie się ucieszy. Ma dziewięćdziesiąt cztery lata. a co za umysł! Jak stalowy potrzask! Pozwolisz, że ci opowiem, co zrobiłem w dniu jej urodzin? Znów zaczynam! Co cię może obchodzić, co zrobiłem dla pewnej uroczej, kochanej starszej pani, której nie widziałeś na oczy, w dniu jej urodzin?

— Obchodzi mnie, a jakże — powiedział Joe. — Chcę wszystko usłyszeć.

Joe czuł, że jeżeli będzie zachęcał mężczyznę do mówienia, sam na tym skorzysta. Musiał wszystko przemyśleć. Locke wyglądał na zamożnego faceta — może to nie milioner, ale zawsze. Zdaniem Joego wybrał właśnie ten hotel, a nie lepszy, ponieważ tu mógł bez przeszkód folgować swoim szczególnym upodobaniom. Siedzieli teraz obaj. Joe na kanapie, a Locke na miękkim fotelu. Joe zastanawiał się, jak długo jeszcze tamten będzie mówił, kiedy nastąpi ów niechybny moment, że podejdzie do kanapy, położył mu rękę na kolanie i tak dalej — i jaką taktykę należy wtedy obrać. Po prostu wymienić cenę?

Zacząć gadkę typu: „Chciałem cię prosić o przysługę”? Locke był na swój sposób sympatyczny, ale Joe wolał o tym nie myśleć. To komplikowało tylko interesy.

— ... a tam stał kwartet smyczkowy. Wyobraź to sobie: na łóżku, pośród bładoniebieskiej, koronkowej pościeli siedzi starsza pani z głową w maleńkich loczkach — sam układam jej włosy dwa razy na tydzień — a przed nią stoi Wiedeński Kwartet Smyczkowy i gra urodzinową pieśń!

Locke odśpiewał refren, kończąc słowami: „Wszystkiego najlepszego, kochana Estello, wszystkiego najlepszego!”

— Mój Boże! — w oczach zakręciły mu się łzy. — A poprzedniego wieczoru grali Beethovena przed dwu i pół tysięczną widownią! Takie rzeczy dla niej robię! Ale jak inaczej można zrobić przyjemność kobiecie, która jest o dwadzieścia lat starsza od czasu? A w dodatku to bardzo wzbogaca moje własne życie. Ludzie mówią: „Och, jaki ty jesteś dobry dla Estelli!” „Bzdura! — odpowiadam — Jestem dobry dla samego siebie”.

Ostatnie słowa wypowiedział z dziwną zajadłością. Potem nachylił się do przodu i mówił już spokojniej:

— Pozwól, że ci to wyjaśnię. Tak się akurat składa, że moja matka jest wyjątkową osobą o niezwyklej wprost wrażliwości. Przywilej rozkoszowania się jej towarzystwem wart jest wszelkich poświęceń. Nie chcę przesadzać, ale gdybym opisał matkę, usiłując choć w znikomej części oddać jej sprawiedliwość, gotów byś sądzić, że grubo przesadzam. Dlatego zwykle nic na ten temat nie mówię, milczę jak głaz z tej prostej przyczyny, że przeciętny człowiek, mający bardzo ograniczone pojęcie o prawdziwych możliwościach ducha ludzkiego, nie byłby w stanie zrozumieć... Na przykład — pozwolę sobie przerwać mój wywód — często nawet moi najbliżsi przyjaciele mówią — jakie to smutne, świadczy tylko o ich ubóstwie — nie uwierzysz, ale ci ludzie określają moje przywiązanie do matki jako „nienormalne”. A wiesz dlaczego? Bo się nie ożeniłem! Nie chciałem; zresztą po co u licha miałbym się żenić?

Własne pytanie uciszyło mężczyznę. Zapomniał o obecności Joego i siedział marszcząc czoło, zaciskając zęby i wpatrując się w poręcz kanapy. Potem, uświadomiwszy sobie nagle, że trzyma w ręce szklanekę, podniósł ją tak gwałtownie, że rozlał część dżinu na spodnie, uśmiechnął się, wytarł nogawki, wznosił toast za Dziki Zachód i znowu zaczął mówić:

— Ta sprawa bardzo blisko mnie obchodzi, a w dzisiejszych czasach wszystkie silne uczucia są podejrzane. Wszystkie dawne wartości mają teraz brzydkie kliniczne nazwy: wierność to obsesja, obowiązek to poczucie winy, a każda miłość jest tylko jakimś rodzajem kompleksu! Powinieneś posłuchać Estelli, ona tak dowcipnie potrafi o tym mówić! Co więcej, te bzdury wcale nie wychodzą od psychiatry, ale od twoich najlepszych przyjaciół! Zgadzasz się chyba ze mną, że trzeba mieć tyci mózdzek, żeby wyrokować w ten sposób o tajnikach serca innego człowieka. Czy ty byś pozwolił sobie na taką zuchwałość? Wiem, że nie. Ale chcesz usłyszeć, co prawdziwy psychoanalityk ma do powiedzenia na ten temat? Bierze pięćdziesiąt dolarów za godzinę, nic więcej chyba nie potrzeba mówić o jego kwalifikacjach! Otóż jego zdaniem to wyjątkowo udany układ. A dlaczego? Bo świetnie funkcjonuje!

Wszystko jest niezmiernie proste: ideałem niemowlęcia jest utrzymanie miłości matki — na zawsze. Mnie się to udało. Moje życie jest ideałem. Kłopoty są stosunkowo drobne: po pierwsze, ona umrze przede mną. Może! Ale to jest jedna z cudownych cech mojej matki: ona nie chce umrzeć!

Uderzył pięścią w poręcz fotela.

— To prawda. Kobiety pokroju mojej matki nie godzą się na śmierć, są po stronie życia. Nie powiedzą „tak” śmierci. Za bardzo kochają życie, żeby z niego rezygnować. To jest dopiero odwaga. Dzięki niej kryte furgony podbijały ten kraj. Mężczyzn popierały, nakłaniały i popędzały takie właśnie kobiety, dzięki nim pobito i wytepiono dzikusów. Spróbuj sobie uprzytomnić — tym razem nie odbiegam od tematu, dotyczy to sedna sprawy — że moja matka jechała takim furgonem do Minnesoty! Innymi słowy — żebyś mógł to sobie lepiej uzmysłwić, pozwolisz — w ciągu jej życia kraj nasz przeszedł od etapu pionierskiego do całkowitego rozkwitu, którym cieszymy się dzisiaj. Ty i ja, Joe, codziennie zbieramy plony w tym ogrodzie świata. Ale to te kobiety wykonały siew, im zawdzięczamy wszystko, całą naszą wspaniałą cywilizację, której najmniejsza cząstka nie powstała bez ich udziału.

I nie tylko osiągnęły tak wiele, ale jak szybko! W całej historii świata, mój chłopcze, żaden kraj nie przebył drogi od dziczy do pełnej cywilizacji w takim tempie i tak sprawnie. A oto komu to zawdzięczamy!

Wskazał z pewną kokieterią fotografię Estelli i mrugnął do niej. Starsza pani na fotografii przyjęła skromnie komplement.

— Urocza, prawda? Wykapana królowa Wiktorja. Cały nasz dom jest urządzony w stylu wiktoriańskim: rzeźbiony palisander i czerwony aksamit. Mieszkamy we wspaniałej wieży nad jeziorem, otoczeni wykwintem, prawdziwą elegancją. Kiedy się dobrze czuje, zabieram ją w inwalidzkim wózku do teatru i na koncerty. Prawda? — zapytał fotografii.

Potem przesłał jej pocałunek i oświadczył, że czas coś zjeść.

Nastąpiła długa rozmowa telefoniczna, w trakcie której recepcjonista powiedział Locke'owi, że hotel nie ma restauracji, a Locke z uporem przekonywał recepcjonistę, że ten się myli, restauracja musi być, bo on, Locke, jest głodny.

W pewnej chwili zakrył ręką mikrofon słuchawki, żeby przedstawić te kłopoty swojemu gościowi:

— Joe, to nie do wiary, ale ten biedak wbił sobie do głowy, że w całym hotelu nie ma restauracji. W obecnych czasach nie ma sensu dyskutować z takimi ludźmi. To samo jest na kolei. Dlatego muszę latać samolotami!

Wreszcie oporny recepcjonista „przyznał”, że niedaleko jest chińska restauracja, i obiecał posłać kogoś po jedzenie.

Przed posiłkiem, w trakcie jedzenia, a także później, kiedy czyścił wykałaczką duże białe zęby, Locke wylewał potoki słów. Zdawało się, że coś z nich buduje, jakąś konstrukcję ze złego snu, która wciąż pali się w tempie odrobinę większym od szybkości, z jaką się ją wznosi. Miało to coś wspólnego z osobą Joego Bucka, bo chociaż rozmowa bezpośrednio go nie dotyczyła, Locke wychodził z założenia, że jego gość jest istotą w pełni doskonałą, złożoną z męskości i bohaterstwa wczesnego Gary Coopera oraz kultury, wrażliwości i dobroci Ronalda Colmana.

Joe odkrył tymczasem, że może wcale nie słuchać tego, co mówi Locke. Podnosił tylko brew, przechylał głowę, a kiedy tamten uśmiechał się, on też się uśmiechał i potakiwał uprzejmie. Od czasu do czasu docierało do niego jakieś zdanie: „Moja matka nie cierpi przygnębiających spraw!” „Wy, spece od bydła, oczywiście znacie się na tych zagadnieniach o wiele lepiej niż ja, zwykły hurtownik papieru”. „Wracając teraz do mojej



tezy: brutalnie poskromili ten kraj, a kobiety poskromiły brutali, co było oczywiście rzeczą znacznie trudniejszą, i zgodzisz się chyba, że im się to udało niemal całkowicie".

Tymczasem Joe dalej głowił się, jak poruszyć sprawę finansów. Ale nie posuwał się naprzód. Słowa Locke'a miały na niego usypiający, niemal paraliżujący wpływ. Musiał ustawicznie walczyć ze sobą — zmieniać pozycję, pocierać szyję, wyłamywać sobie palce, mrużyć oczy — żeby nie popaść z nudów w letargiczny trans.

Kiedy telefon zadzwonił, było po jedenastej. Joe skorzystał z okazji, żeby pójść do łazienki i zastanowić się nad wszystkim przed lustrem. Kiedy wychodził z salonu, Locke mówił głośno i wyraźnie do słuchawki:

— Co za zbieg okoliczności... Mamo, zbieg o-ko-licz-ności. Zgadnij, o kim właśnie rozmawialiśmy?... Powiedziałem, żebyś zgadła, o kim rozmawialiśmy, kiedy zadzwonił telefon... Roz-mawiali... Nie, nie rozerwali! Roz-m-m-m-mawiali. Od słowa mówić!... Och, mammo! Co z twoim aparatem słuchowym? Którego teraz używasz?... Przecież ten jest do niczego, włóż acousticon!... A-cou-sti-con!... Mamo, do licha, tak nie można!

W łazience Joe spryskiwał twarz i szyję zimną wodą, aż wreszcie poczuł, że krew znowu napłynęła mu do głowy. Wtedy nachylił się bardzo blisko swojego odbicia i szepnął:

— Jak tylko ten sukinsyn przestanie rozmawiać przez telefon, przystępujesz do działania! To rozkaz!

## 6

Joe rozejrzał się, szukając czegoś, co mógłby ukraść. Na toalecie leżała elektryczna maszynka do golenia, ale była za duża, żeby ją schować do kieszeni. A poza tym gdzie by ją włączył siedząc pod palmą? W apteczce również nie znalazł nic wartego zachodu. Zrobił za to użytek z wody kolońskiej: zdjął buty, rozpiął ubranie i ochlapał się dokładnie.

Potem przez chwilę nasłuchiwał przy drzwiach. Nic nie wskazywało na to, że rozmowa ma się wkrótce zakończyć. Joe odwrócił się znów do lustra i rozpoczął próbne przemówienie:

— Niech pan posłucha... to znaczy, Towny. Posłuchaj, Towny! Czy wspomniałem ci, że mój dzieciak jest chory? No więc jest i muszę jak najprędzej zawieźć go na południe. Tak. Nie, nie wiem dokładnie, co mu jest. Przechodził paraliż dziecięcy, kiedy był mały, a teraz wciąż ma katar, dreszcze, pot się z niego leje, nogę ma kulawą, wszystko razem. Więc pomyślałem, Towny, że najlepiej będzie, jak go zawiozę na południe. Teraz słuchaj. Teraz słuchaj. Słuchaj, co mówię, ty, niech cię...! Tsssss! — napomniał sam siebie i dalej już mówił szeptem.

— Masz mnie wysłuchać, Towny! O tak, cholernie miło się bawiłem, kiedy ty gadałeś i gadałeś bezustannie. Pewnie, pewnie, bawiłem się jak nigdy w życiu! Ale teraz ty mnie posłuchaj. Potrzeba mi pieniędzy! I nie mam czasu, więc przestań gadać i bierz się do roboty!

Townsend P. Locke siedział w salonie na brzegu kanapy, jedną dłoń trzymał na odłożonej słuchawce, a drugą zakrywał sobie usta. Był okropnie zmartwiony.

— Och, Joe — powiedział, kiedy jego gość wrócił do salonu, — Zachowałem się strasznie dziecinnie. Krzyczałem. Byłem opryskliwy. Bezczelny. Czy powinienem zadzwonić i ją przeprosić? Ona nie znosi rozrzutności. Uwielbia zbytek, ale rozrzutności nie cierpi. Cudownie rozróżnia pewne pojęcia. No, nie należy się martwić, prawda? Napijemy się odrobinę?

Wskazał butelkę dzinu stojącą na stoliku.

— Dobrze, pozwól, że ci naleję, Towny.

— Dziękuję, to bardzo miło z twojej strony.

Joe napełnił szklankę do połowy dżinem i wetknął ją w wyciągniętą czerwoną dłoń.

Nadal stał na wprost Locke'a — jego podbrzusze znajdowało się akurat na poziomie twarzy siedzącego mężczyzny. Zaległa długa cisza. Stopniowo myśli Locke'a powróciły z Chicago do Nowego Jorku, ale cisza trwała nadal. Świadom był, że ciało Joego znajduje się tuż przed nim — w jego rysach malowało się wyraźnie ogarniające go podniecenie.

Joe ułożył twarz w uśmiech i patrzył na Locke'a. Locke podniósł oczy, napotkał wzrok Joego i roześmiał się cicho. Joe skinął głową.

— Czego chcesz, Towny? — spytał.

Czarne brwi Locke'a podniosły się.

— Słucham?

Joe stulił znacząco dłoń.

— Po coś mnie tu sprowadził?

— Och! — krzyknął Locke, przyciskając dłoń do serca. Na jego twarzy odbił się autentyczny ból. — Tak ciężko! Ciężko, niemożliwie ciężko! Wy, młodzi, nie wiecie, co robicie. Jesteście tacy bolesnie piękni. Wiem, że jesteś wspaniałym, przeuroczym młodzieńcem, Joe. Wiedziałem to od razu. Powiedziałem ci to jeszcze na ulicy. A teraz wykonałeś ten gest, ten wulgarny gest, i to połączenie: niewinność i wulgarność — jest w tym coś tak bolesnego! Nie wiem, czy mogę to znieść.

Nie powinienem był cię tu zapraszać. Tak bardzo pragnąłem zachować się przykładowie podczas tego pobytu w Nowym Jorku, żeby nie czuć później do siebie odrazy. Chciałem tylko nawiązać z tobą łączność duchową w rozmowie, żebym ja, człowiek starszy, mógł się podzielić z tobą moimi spostrzeżeniami o życiu. Chciałem, żebyśmy znaleźli jakąś wyższą płaszczyznę porozumienia. Śmieszne, co? Pociągnął haust dżinu — kiedy się otrząsnął i znów mógł mówić, oświadczył tonem posepnym i gwałtownym:

— Nienawidzę życia, nienawidzę każdej jego sekundy!

Usiłował śmiechem wymazać te słowa, ale zaraz zrezygnował.

— Proszę cię, odejdz teraz. Nie utrudniaj mi. Odejdz, póki mam jeszcze tyle siły, żeby cię o to prosić.

— To znaczy, że mam iść? — spytał Joe. — Chcesz, żebym stąd poszedł?

— Proszę cię, zrozum, chcę tylko, nie chcę, tak, chcę, chcę! Chcę, proszę cię, proszę cię, żebyś poszedł!

Locke wyciągnął rękę, ujął dłoń Joego i uścisnął ją.

— Pomóż mi wytrwać — błagał. — Nie chcę, żeby powtórzyło się to, co było w lipcu.

Joe skinął głową. Czuł się strasznie zawiedziony, rozumiał jednak prośbę mężczyzny. Chciał odejść, ale Locke wciąż trzymał jego rękę.

— Joe, słuchaj, przyjdź do mnie jutro. Obiecuj!

— A co takiego będzie jutro — zapytał Joe — że nie może być dziś?

— Jutro nie będę taki jak teraz. Będę inny. Spokojniejszy. Nie zdajesz sobie sprawy, jak się nagle okropnie poczułem; jakby za chwilę miała spaść bomba. Chcę, zrozum, z całych sił pragnę, żeby spadła! Ale męczy mnie czekanie!

Usiłował znów się roześmiać i znów zrezygnował.

— Spójrz, ogarnął mnie blady strach! Przyłóż mi rękę do serca!

Rozchylił marynarkę i przyłożył sobie do piersi rękę Joego.

— Kilka spraw złożyło się na to; ten okropny hałas za oknem, ta ohydna breja, którą nam podano, choć chciałem dla nas coś smacznego, potem ta nieszczęsna rozmowa z Estellą. Ale proszą cię, obiecuj, że przyjdiesz znów jutro!

Joe cofnął rękę i ruszył w stronę drzwi.

— Wyjeżdżam na Florydę — powiedział. — Muszę tam jechać.

— Och, to straszne!

Locke wstał i też podszedł do drzwi.

— Spotykam kogoś, kto rozumie mnie jak nikt przedtem, po czym okazuje się, że wyjeżdża na... Słuchaj! Zaczekaj! Chcę ci coś dać! Na podróż! Nie sprzeciwiaj się, dobrze?

Pobiegł do sypialni.

Joe był zaskoczony tym niespodziewanym obrotem sytuacji. Ogarnęła go głęboka radość — cieszył się na myśl o podarku, zastanawiając się jednocześnie, jak wielką sumę wręczy mu mężczyzna, który mieszka w wieży nad jeziorem, a na urodziny matki wynajmuje orkiestrę.

Z drugiego pokoju dobiegł go odgłos otwieranej i zamykanej szuflady.

Locke wrócił. Uśmiechał się. Podszedł do Joego, wyciągając zaciśniętą pięść.

— Będę zaszczycony, jeżeli zgodzisz się to przyjąć.

Joe zaczął szukać słów, żeby wyrazić wdzięczność, zanim jeszcze zobaczył dar.

Locke otworzył pięść przy twarzy Joego, ukazując medalik ze świętym Krzysztofem.

— Weź, proszę cię.

Joe spojrzał na medalik.

— Weź! Nieważne, czy jesteś katolikiem. To patron wszystkich podróżnych.

Joe potrząsnął głową.

— Naprawdę chcę, żebyś wziął — powiedział Locke. — Za to, że pomogłeś mi wytrwać.

Joe nie protestował, kiedy Locke wsunął mu medalik do kieszeni. Nadal tylko potrząsał głową, nawet kiedy mężczyzna z Chicago zapytał go, co mu jest.

Miniony wieczór wprawił Joego w przygnębienie. Wspinając się po schodach do iksowanego mieszkania nie wiedział, czy starczy mu sił, żeby wymyślić jakąś historyjkę dla Gnidy.

— Gnido — powiedział cicho, patrząc na zimowy księżyc przez okno na klatce schodowej. — Nie. Rico. Powiem do niego Rico. Rico — ciągnął dalej — niestety, nie miałem dziś fartu. Zmarnowałem noc na jednego gościa i nic z tego nie wyszło. Ale mam parę spraw nakręconych na jutro, więc najpóźniej za dwa dni będziemy już w drodze. Fajnie, co?

Potrząsnął głową: nic fajnego tu nie było. Może lepiej będzie powiedzieć, że część forsy już zdobył, a resztę skombinuje jutro. Powie: „Słuchaj, Gnida, jeszcze dwadzieścia dolców i siedzimy w autobusie”.

Wszedł do środka, zamierzając skłamać, i zastał Gnidę leżącą na posłaniu ze wzrokiem utkwionym w suficie. Joe spodziewał się, że kaleka usiądzie i zacznie go wypytywać, czy zdobył forszę, ale Gnida nie zrobił żadnego ruchu i nic nie powiedział.

Joe podszedł do posłania i spojrzał. Z jakiegoś powodu — może domyślił się prawdy - Gnida nie chciał popatrzeć mu w oczy. Wciąż wlepił wzrok w coś na suficie.

— Paskudne rzeczy mi się śniły — powiedział.

Głos miał cichy, miękki. Nie było już w nim owego zgrzytliwego, chrapliwego tonu.

— Nie chcesz wiedzieć, jak mi dzisiaj poszło? — zapytał Joe.

Gnida spojrzał na niego, to znaczy zwrócił ku niemu wzrok, ale myślami był gdzie indziej. Twarz miał pozbawioną wyrazu, oczy jakby straciły siłę żywotną. Nie zdolność widzenia, bo widział wciąż, ale siłę, bez której wzrok nie ma wartości.

— Nie chcę nigdzie jechać — powiedział.

— Co, nawet na Florydę?

— Nie. Połóż się lepiej spać.

Joe spojrział na wygrzane miejsce obok Gnidy i pomyślał, że musi się położyć. Potem spojrział na mokrą, zmizerowaną i żółtą jak kość twarz Gnidy, na jego wpadnięte oczy i usłyszał w myśli odgłos otwieranej i zamykanej szuflady w sypialni apartamentu hotelowego Townsenda P. Locke'a.

Zrozumiał nagle, że musi dobrać się do tej szuflady. To wszystko. Sprawa stała się całkiem prosta.

— A niech to szlag trafi! — zawołał. — Wszystko już załatwione, a tobie odechciało się jechać!

— Co załatwione?

— Cały wypad! Muszę tylko skoczyć na chwilę w pewne miejsce. I następnym autobusem możemy jechać. Ale do cholery, jak ty nie chcesz, to pewnie będę musiał pojechać sam.

Rozejrzał się po pokoju.

— Nie ma tu nic, co chciałbym zabrać. Mam swój tyłek, swoje łokcie i to mi pewnie w zupełności wystarczy.

Podszedł do drzwi.

— Słuchaj, Gnida, no to do zobaczenia, co?

Gnida siedział już na posłaniu — oczy miał szeroko otwarte, usta również. Przez chwilę on i Joe Buck patrzyli na siebie w milczeniu, po czym Gnida powiedział:

— To cześć!

Ale nie zrobił żadnego ruchu. Joe też się nie ruszał z miejsca.

— Więc wcale nie masz ochoty jechać na Florydę, co? — zapytał wreszcie Joe.

Gnida oblizał wargi i zmarszczył lekko brwi.

— Nie — odparł w końcu.

Joe nagle i błyskawicznie przemierzył pokój.

— Wkładaj buty, ćwoku! Szkoda czasu!

Gnida prędko zrzucił z siebie koce i poczołgał się na czworakach po buty.

Pojechali taksówką na dworzec autobusowy. Nie mieli bagażu. Kieszenie napełnili różnymi drobiazgami z iksowanego mieszkania, a Gnida zabrał indiańską derkę. W drodze oddychał ciężko i często narzekał, że go pieką oczy.

— Od czego mogą piec oczy? Wiesz coś o tym?

Joe pomógł mu dojść do ławki w poczekalni. Prościej byłoby go nieść, ale Gnida nie chciał się na to zgodzić.

— Zaczekaj tu — powiedział Joe. — Wrócę za niecałe dziesięć minut.

— A co, jak mnie zwiną za włóczęgostwo?

— Zwariowałeś? Zero pięćdziesiąt masz autobus do Miami na Florydzie! Nie jesteś żadnym włóczęgą!

— Dobra, ale co jak ten gość nie da ci mamony?

— Nie wierzysz we mnie, tak? Mam rację? Nie wierzysz we mnie? No powiedz! Powiedz!

— Wierzę! — powiedział Gnida. — Tylko...

— Tylko gówno!

Przy drzwiach Joe odwrócił się i zobaczył, że Gnida owija się pledem. Zaczekał, aż chłopak spojrzy na niego, i wtedy pomachał mu ręką. Gnida też pomachał Joemu.. Joe wyszedł szybko na ulicę, a kiedy doszedł do Ósmej Alei, zaczął biec.



## 8

Biegł przez całą drogę do hotelu „Europa”, a potem po schodach na piąte piętro, nie zatrzymując się ani razu, żeby zebrać myśli; obawiał się, że myślenie może mu zepsuć cały plan.

Zapukał do drzwi apartamentu Locke'a i oparł się o framugę, żeby złapać oddech. Chwilą później dobiegło go z pokoju słabe: „Słucham?”

— Towny?

— Kto tam?

— To ja, Joe.

— Joe?

— No wiesz. Byłem tu niedawno.

Joe usłyszał zgrzyt zasuw i drzwi otworzyły się. Townsend P. Locke miał na sobie szlafrok i najwyraźniej nic pod spodem; był boso.

— Wielki Boże! — jęknął.

— Muszę z tobą pomówić.

Locke patrzył przez chwilę na Joego spod mrugających nerwowo powiek, po czym spojrzał szybko na zasuwę, jakby żałował, że otworzył drzwi.

— Joe, o tej porze?

— Wiem, ale to ważna sprawa.

— No, jaka znowu ważna sprawa?

— Nie mogę mówić na korytarzu.

— Nie mogę cię przecież poprosić do środka, nie o tej porze.

— Mówiłeś, że jesteśmy przyjaciółmi?

— Oczywiście! Ale...

— Ale nie mówiłeś tego poważnie, tak? — powiedział Joe, mijając Locke'a i wchodząc do salonu.

Locke został przy drzwiach. Patrzył na Joego marszcząc brwi.

– Powiedz, proszę, o co ci chodzi. O co ci chodzi?

– Zamknij drzwi.

– Zamknąć drzwi?

– Tak. Mówię wyraźnie. Zamknij drzwi.

Locke powoli wciągnął powietrze. Potem zamknął drzwi.

– Muszę mieć pieniądze – powiedział Joe.

– Ach tak! – Locke uśmiechnął się. – Ach tak, oczywiście. Oczywiście.

Powinienem był o tym pomyśleć.

Przykro mi, że musiałeś prosić, to nieładnie z mojej strony. Doskonale to rozumiem. Tacy chłopcy jak ty zawsze, no, tak, zupełnie słusznie. Przecież to wasz... no, ha!... zarobek! To moja wina, że sam o tym nie pomyślałem. Jedną chwileczkę. Zaczekaj tutaj.

Wszedł do sypialni. Joe poszedł za nim. Locke otworzył szufladę nocnego stolika stojącego między dwoma łózkami i wyciągnął z niej portfel. Następnie wyjął z niego banknot, a portfel odłożył do szuflady.

Wtedy zobaczył w drzwiach Joego.

– Och!

Ręka Locke'a jak o ciężały gołąb pofrunęła do jego gardła. Przestraszony, zrobił krok w tył i potracił stolik. Lampa zakołysała się niebezpiecznie, ale złapał ją w porę.

– Przestraszyłeś mnie – powiedział. – Myślałem, że czekasz w salonie!

W jego głosie brzmiała lekka irytacja.

– Ech – powiedział Joe – chciałem ci oszczędzić zbędnego chodzenia.

Spojrzał na dziesięciodolarowy banknot w ręce Locke'a.

– To dla mnie?

– Tak – odparł Locke. – I uważam, że w pełni sobie na to zasłużyłeś, wytrzymując cały wieczór z niesympatycznym starszym panem. Więc nawet mi nie dziękuj.

– Towny – powiedział Joe – przykro mi, ale musisz mi dać więcej niż dziesięć.

— Tak? Czyżby?

Głos Locke'a stał się nagle cienki, prawie niedosłyszalny. Twarz przybrała kamienny wyraz, nie mający nic wspólnego z gorączkową pracą mózgu.

— Wielka szkoda! Bo niestety nie mam więcej gotówki. To znaczy pieniędzy.

— Musze mieć pięćdziesiąt dolarów.

— Pięćdziesiąt dolarów!

— Spędziłem tu bardzo długi wieczór, prawda, Towny? Nawet jeżeli postanowiłeś się dobrze sprawować...— Ale Joe, ja... ja po prostu nie mam pieniędzy.

— A ja nie mam czasu, nie mam czasu siedzieć tu przez całą noc, żebyś się podniecał wlepiając we mnie gały. Cholera jasna, mam rodzinę i muszę ją szybko zawieźć na Florydę! Wsadź łapę do szuflady i dawaj pięćdziesiąt dolców!

Locke cofnął się i oparł o stolik.

— Rozumiem, Joe, naprawdę cię rozumiem. I zgadzam się ze wszystkim, co...

Joe zbliżył się do niego. Locke jęknął.

— Co chcesz zrobić?

— Zejdź mi z drogi!

— Tracisz tylko czas. Tam nic...

Joe uderzył go wierzchem dłoni w twarz. Locke przewrócił się na łóżko, jednakże nie wskutek siły ciosu, ale w wyniku własnej, przesadnej reakcji. Podniósł się szybko i opadł na kolana obejmując ramionami stolik, a ciałem blokując dostęp do szuflady. Pochylił głowę i obserwując Joego spod oka zaczął pochlipywać jak kobieta lub dziecko. Joe chwycił go za siwe włosy i obrócił twarzą do siebie.

— Puść! Puść stolik!

— Nie! Nie! Nie puszczę! Tam nie ma pieniędzy! Tylko rzeczy osobiste.

Joe znów uderzył go w twarz, tym razem otwartą dłonią.

Locke pochlipywał i jęczał, ale nie puszczał stolika. Joe uderzył go znowu, tym razem mocniej, pięścią.

Locke krzyknął, a potem powiedział:

— Zasłużyłem na to! O tak, zasłużyłem, zasłużyłem! Jęczał dalej wysokim, przenikliwym tonem. Wciąż obiema rękami trzymał się kurczowo blatu.

— Sam jestem sobie winien! — zawołał. — Uderz mnie jeszcze! Przez cały wieczór miałem wstrętne, ohydne myśli. Czy to krew na mojej twarzy?

Spróbował językiem krwi, która płynęła mu z nosa.

— Krwawię! Och, nareszcie krwawię! Zasłużyłem na to!

— Kurwa, puść ten stół!

Joe zaczął zdawać sobie sprawę, że ma do czynienia z czymś więcej niż ze zwykłą obroną pieniędzy. Locke stawiał opór jakby z uciechą, niemal z radosnym zapalem. Oczy mu błyszczały, usta i zęby zastygły w głupim uśmiechu, upodabiając go do tłustej, zbrakowanej ryby. Twarz jego poczerwieniała jeszcze bardziej, krew płynąca z nosa ciekła po wargach, zębach i brodzie.

Joe wziął lampę i podniósł ją wysoko do góry.

— Dajesz mi pięćdziesiąt dolarów, czy mam ci rozwalić łeb?

Z twarzy Locke'a można było wyraźnie odczytać, co woli: wpatrywał się tęsknie w lampę, przywierając ciałem do stolika.

Kiedy Joe zrozumiał, czego tamten od niego chce, zrobiło mu się niedobrze. Jakby się nagle zamienili miejscami i jakby to Locke trzymał lampę i jemu nią groził — gdyż na dalszym użyciu siły ucierpiałby najbardziej sam Joe, mimo że ciosy odbierałoby ciało Locke'a.

— Proszę, niech pan puści stół — powiedział Joe.

Locke potrząsnął głową.

Joe zamachnął się lampą, ale zatrzymał ją o kilka cali przed twarzą Locke'a. Locke krzyknął, ale tym razem z rozkoszy. Zwiśł bezwładnie i puścił stół. Joe nie rozumiał w pierwszej chwili, co się stało. Nie uderzył Locke'a, a ten się jednak poddał.

Potem spojrzał w dół i zobaczył, jakiego rodzaju zaspokojenie uzyskał Locke. Ciało mężczyzny drżało jeszcze po przebytych wzruszeniu, choć Joe nie wiedział, czy Locke śmieje się, czy płacze. Ale wiedział dobrze, w jaki sposób wykorzystał go ten rumiany, siwowłosy, niebieskooki człowiek z Chicago, toteż kiedy wyjął z szuflady nocnego stolika portfel i znalazł w nim sto dwadzieścia jeden dolarów, schował całą sumę do kieszeni.

Wyszedł z sypialni.

— Dziękuję, dziękuję — powiedział Locke.

Przechodząc przez salon, Joe zorientował się nagle, co widział wychodząc: na podłodze Locke z głową opartą o łóżko, z ustami rozdziawionymi w makabrycznym, krwawym uśmiechu, a obok niego na nocnym stoliku telefon.

Wrócił prędko do sypialni; Locke podnosił się właśnie na kolana i sięgał po słuchawkę.

— Hej! — zawołał do niego Joe.

Locke krzyknął zaskoczony. Zwrócił szybko twarz do Joego. Popatrzyli na siebie, jak gdyby nagle obaj zrozumieli, że najgorsza część wieczoru jest dopiero przed nimi.

— Nigdzie nie chciałem dzwonić! Naprawdę! — powiedział Locke.

— Nie ruszaj się.

— Naprawdę! Chciałem tylko...

— Zamknij się.

Joe pragnął się zastanowić. Widział tylko Locke'a i telefon, telefon i Locke'a — i wiedział, że jeden albo drugi musi zostać unieszkodliwiony, żeby on, Joe, mógł spokojnie opuścić budynek. Podeszedł do nocnego stolika i szarpnął za telefon, aż metalowe gniazdko oderwało się od ściany. Jednak aparat był nadal podłączony do linii. Joe musiał go postawić na podłodze, żeby wyrwać sznur z gniazdka. Wtedy jeszcze raz podniósł słuchawkę. Sygnału nie było.

Locke skorzystał z okazji, żeby pognać do salonu, i był tuż przy drzwiach, kiedy Joe — wciąż z telefonem w ręce — wbiegł, żeby go zatrzymać. Krzyknął: „Hej!” — i rzucił telefon, celując w głowę Locke'a. Ten odwrócił się i w tej samej chwili aparat trafił go w sztuczne zęby, właczając je głębiej do ust. Mężczyzna zaczął się krztusić, pluć, a potem sztuczna szczeka wypadła mu z ust, więc rzucił się na kolana i zaczął jej szukać.

Joe wciąż widział w myśli Locke'a i telefon, telefon i Locke'a, a w obecnym zamieszaniu wciąż wydawało mu się, że obu należy unieszkodliwić. Przewrócił mężczyznę na podłogę, usiadł mu okrakiem na piersi i wepchnął słuchawkę w bezzębne usta.

Na rękach Joego była krew — głupio, instynktownie wytarł je o kurtkę. Potem wstał i rozejrzał się po pokoju. Krew Locke'a rozprzestrzeniła się wręcz nieprawdopo-

dobnie. Była na mężczyźnie na podłodze i na meblach. Zupełnie jak gdyby coś potwornego — nazwijmy je złem i nadajmy mu postać smoka — okrążyło salon, pozostawiając wszędzie swoje ślady.

Ostatnie, co zobaczył Joe, wybiegając z apartamentu i kierując się w stronę schodów to leżący na boku półnagi człowiek z Chicago, uczepony sterczącej mu z ust słuchawki, podobny do olbrzymiego niemowlęcia, zmagającego się ze swoim smoczkiem.

## 9

Wypożyczyli na podróż poduszki i kierowca wszedł do autobusu. Usiadł na swoim miejscu, wcisnął guzik, żeby zamknąć drzwi, i przez mikrofon powiedział pasażerom o krótkich postojach na wypoczynek, życzył im przyjemnej podróży i poinformował ich, że w Miami na Florydzie będą za trzydzieści jeden godzin.

Joe słuchał zapowiedzi uważnie, ale nie dla jej treści; czerpał otuchę z mocnego, życzliwego głosu kierowcy.

— Na takich liniach jeżdżą dobrzy kierowcy — rzekł do Gnidy.

— Muszą być dobrzy — mruknął Gnida, znów szcękając zębami.

Autobus ruszył.

— Jedziemy — powiedział Gnida.

— Tak.

— Trzydzieści jeden godzin.

— Co? — zapytał Joe.

— Jak to co? Co, co?

— Co: „Trzydzieści jeden godzin”?

— Tyle trwa podróż. Będziemy na miejscu o ósmej trzydzieści rano. Nie dziś rano. Jutro rano, o ósmej trzydzieści.

Autobus skręcił kilka razy na ulicach miasta, potem przejechał przez tunel i po kilku minutach sunął już autostradą.

— Wierzysz w to? — spytał Joe.

— Że jesteśmy w drodze?

— Tak.

— Nie, nie mogę w to uwierzyć. Jeszcze nie mogę uwierzyć.

— Ja tak samo — powiedział Joe. — Ciągle nie mogę uwierzyć.

Przez następne kilka mil nic nie mówili. Joe odwrócił się, żeby obejrzeć pozostałych pasażerów. Ci, których zobaczył, podobali mu się. Było sporo wolnych miejsc, co oznaczało, że będzie się gdzie wyciągnąć do drzemki.

— Co zrobimy najpierw? — zapytał.

— Co zrobimy?

— Tak, kiedy dojedziemy.

— Chyba zwędzimy gdzieś kąpielówki, no nie?

— I tak od razu pójdziemy na plażę? — zdziwił się Joe. — I zaczniemy? To znaczy, zaczniemy tam żyć, tak?

— A co u licha mamy robić? — spytał Gnida.

— Kurwa, nie wiem, to nie ja jestem specem od Florydy. Skąd mam niby wiedzieć, no, co tam się robi! Więc cię zapytałem, a ty od razu... Do diabła, żałuję, że w ogóle otworzyłem usta. Przestań się wreszcie trząść.

— Nic na to nie mogę poradzić — odparł Gnida.

Kilka mil dalej powiedział:

— Pierwszą palmę zobaczymy w Południowej Karolinie.

— Skąd wiesz?

— Tak słyszałem.

— Od kogo? — Joe chciał koniecznie wiedzieć.

— Od jednego gościa, no!

— E, co tam Południowa Karolina — powiedział Joe. — Jedziemy na Florydę. A skoro musisz się tak trząść, to może podciągnij koc...

— Ty, co ci się stało?

Joe odparł, że nic mu się nie stało, ale przez następną milę czuł na sobie wzrok Gnidy.

Potem Gnida pochylił się i skinął na Joego. Zbliżyli do siebie głowy i wtedy Gnida zapytał szeptem:

— Nie zabiłeś go, co?



Joe cofnął od razu głowę, ale nie dalej, niż było konieczne, żeby — kiedy szeptał do Gnidy: „Zamknij się, zamknij się!” — ten mógł dostrzec usilną prośbę w jego oczach. Potem spojrział szybko na kobietę siedzącą po drugiej stronie przejścia; spała z głową opartą o szybę.

— Mnie możesz powiedzieć — rzekł Gnida.

Joe znów pochylił się i szepnął:

— Wsadziłem mu tylko do ust słuchawkę. Mówiłem ci. Rozległo się: tut — wydał jakiś dźwięk przykładając język do podniebienia. — Coś takiego!

— Tak, ale słuchaj — powiedział Gnida — masz krew na kurtce!

— To z nosa, z jego nosa, mówiłem ci, że mu poszła z nosa krew! Chcesz mnie do reszty rozstroić czy co?

— Nie! Po prostu chciałem wiedzieć. Nie wolno się zapytać?

— Tak, ale po co, po co? Myślisz, że jak krew, to od razu musi być trup?

Przez chwilę milczeli, a potem Joe zapytał:

— Myślisz, że słuchawka mogłaby utknąć w ustach?

— Nie! Nie!

— I gość by się udusił?

— Powiedziałem przecież, że nie, to niemożliwe! Widzisz, jaki ty jesteś? Teraz będziesz o tym myśleć — rzekł Gnida. — Nie myśl o tym. Słuchaj się mnie. Myśl o Florydzie.

Podciągnął koc pod samą szyję i oparł głowę o poduszkę.

Po następnych kilku milach Joe odezwał się znów:

— Gnida, pomyśl tylko, że pojutrze, pojutrze, kurwa, obaj będziemy mieli tyłki czerwone jak raki! Nie cieszysz się tak jak ja?

Gnida nie odpowiedział.

— Nie cieszysz się? — zapytał Joe.

Gnida przyglądał mu się marszcząc brwi i obmacywał swoje zęby.

— Co się stało? — spytał Joe.

— Nic, tak sobie myślę — odparł Gnida.

— O czym?

— Jak mu przeszła przez zęby?

Joe zdenerwował się.

— Zęby mu wyleciały!

— Wybiłeś mu je?

Joe musiał wziąć głęboki oddech, zanim mógł odpowiedzieć:

— Miał sztuczne, głupku, miał sztuczne!

Przez pewien czas nic więcej nie mówili.

Godzinę później Gnida zaczął się pocić i zrzucił z siebie pled. Joe myśląc, że Gnida śpi, przykrył go z powrotem. Ale chłopak nie spał. Otworzył oczy i powiedział:

— Słuchaj, martwię się.

— Pilnuj się, żebyś się nie odkrywał — rzekł Joe.

— Martwię się, czy nie będziemy tam mieli żadnych kłopotów z moim przezwiskiem. No, bo jaki jest sens tej całej podróży? Nowy Jork to co innego, ale wyobraź sobie kogoś, jak biegnie po plaży, leci się kąpać, jest fajnie opalony, a tu nagle ktoś drze się do niego: „Gnida!” I co ty na to? Widzisz, wszystko od razu bierze w łeb! Ja tak nie chcę. Przecież nazywam się Rico, no nie? Ty, gorąco mi pod tym kocem. Spociłem się jak ruda mysz!

— Ach tak? To go zrzuci! Ściągnij jeszcze koszulę i otwórz okno. Może wreszcie nabawisz się zapalenia płuc, skoro ci tak na tym zależy!

— Wcale nie chciałem go zrzucić. Powiedziałem tylko, że się pocę. Ale zgadzasz się, co? Będziemy mówić wszystkim, że nazywam się Rico?

Joe skinął głową.

Zamknął oczy, żeby się przespać, ale zamiast kojącego snu opadły go zmory. Nie wiedział nawet, czy śpi, czy nie, ale wyraziste, ohydne zmory nie dawały mu spokoju. Przeżywał w nich ponownie wydarzenia ubiegłego wieczoru i przerażony otwierał oczy w chwili, kiedy lampa — gdyby nie zatrzymał jej w porę — miała roztrzaskać czaszkę Townsenda P. Locke'a. Budząc się, odczuwał za każdym razem ulgę, że znajduje się w autobusie obok Gnidy.

Potem miał całą serię półsennych widziadeł, w których dawny amant Sally Buck, Woodsy Niles, był nieboszczykiem. Ich akcja rozgrywała się tu, w autobusie; nawet w najdrobniejszych szczegółach zdawały się autentyczne. Trup kowboja wyczyniał najdziwniejsze cuda: raz siedział na miejscu kierowcy i prowadził autobus po serpentinach, podczas gdy pasażerowie krzyczeli: „Ratunku, ratunku, kierowca nie żyje, kierowca nie żyje!” Innym razem, w kolejnym koszmarnym śnie, autobus przyjechał do Miami, wszyscy pasażerowie zabrali walizki i wysiedli. Wszyscy poza jednym. Kierowca zobaczył go na tylnym siedzeniu najwyraźniej pogrążonego we śnie i poszedł go obudzić. I wtedy: „Kurwa — powiedział — chyba mam do czynienia z trupem!” W tej właśnie chwili Joe rozpoznał w kierowcy siebie, a w trupie swojego starego przyjaciela Woodsy'ego. Wziął ciało przyjaciela na ręce i zaczął śpiewać cicho i powoli „Ostatni spęd”, ni to jak kołysankę, ni to jak pieśń żałobną.

Budząc się z tych snów o śmierci Joe sprawdzał, czy Gnida żyje: podtykał mu rękę pod nos, żeby przekonać się, czy oddycha. Gnida obudził się raz właśnie w takiej chwili. Spojrzał na Joego i zapytał:

— Co ty, kurwa, wyrabiasz?

Joe tylko się roześmiał.

Była mniej więcej trzecia trzydzieści rano i kierowca akurat urządził pierwszy postój gdzieś w Marylandzie. Wielu pasażerów spało. Gnida powiedział, że chce zostać w autobusie. Joe wysiadł i wrócił z kawą w papierowych kubkach. Siedzieli paląc papierosy i popijając gorący napój.

— Słuchaj, Joe, musimy porozmawiać — rzekł Gnida. — Kiedy cię nie było, usiłowałem wstać, ale... — wzruszył ramionami, potrząsnął głową i zmarszczył brwi, minę miał poważną — ...nie mogłem.

Joe słuchał.

— To nie przelewki — powiedział Gnida. — Naprawdę nie mogłem. Próbowałem i w ogóle, ale nie mogłem wstać.

Joe skinął głową.

— Co ja zrobię? — zapytał Gnida.

— Wiesz co? — powiedział Joe. — Jak dojedziemy do Miami, zaniosę cię od razu do lekarza.

Gnida potrząsnął szybko głową i skrzywił się.

— Nie. Żaden z nich nic nie poradzi na moją nogę. Powie: „Tsy, tsy, tsy, tsy” — wzruszy ramionami, złapie twoje dziesięć dolców i na tym koniec.

— Zupełnie zapominasz o jednym — odparł Joe. — Zapominasz, że od jutra będziemy mieli pełno słońca!

— Oczywiście znam dziesiątki sposobów, żeby wymigać się od płacenia lekarzowi. Ale co słońce ma z tym wspólnego? Aha, chodzi ci o właściwości lecznicze, tak?

— Ano właśnie.

Po chwili Gnida powiedział:

— Dobra, ale słuchaj, co gdyby, powiedz, co gdyby...

— Pewnie... pewnie moglibyśmy się postarać dla ciebie o... Nie wiem o co!

— O kulę? — zapytał Gnida.

Joe spojrzał szybko na niego.

— To zależy od ciebie, jak będziesz chciał.

Pozostali pasażerowie wracali do autobusu.

— A jak nie będę chciał, co wtedy? — spytał Gnida.

Joe otworzył usta, żeby odpowiedzieć, i zdał sobie sprawę, że nie wie, co rzec.

Po dwóch czy trzech nieudanych próbach powiedział:

— Gnida... Chciałem powiedzieć: Rico! Kiedy dojedziemy do Miami, mam zamiar znaleźć jakąś pracę, wiesz?

Joe sam o tym nie wiedział. Wcale nie wiedział, że tak powie. Jego myśli i słowa zostały nagle sprzężone w jakiś dziwny sposób, więc to, co mówił, było dla niego taką samą nowością jak dla jego słuchacza. Autobus ruszył, a Joe mówił dalej:

— Muszę to zrobić, bo marny ze mnie żigolak. Nawet jako włóczęga jestem do niczego. Jak popatrzeć na to, co było, to jestem zupełnie zero. Więc muszę się wziąć do roboty, nie wiem: zamiatać, zmywać naczynia, cokolwiek. Bo chcemy, żeby tam było fajnie, no nie? A wcale nie będzie fajnie, żadnych kokosów, to samo gówno, co wszędzie, możesz

mi wierzyć. Poza tym powiem ci szczerze: wcale nie chcę spać na plaży! Chcę mieć łazienkę, płyn na włosy, rozumiesz to? I pastę do zębów! I buty na zmianę! Bo niedobrze mi się robi, kiedy wciąż patrzę na te, które mam na nogach. Tak! Wrzucę je do oceanu! Zobaczysz. Chcę mieć wszystko nowe. I wszystko mi jedno, jeżeli nawet każą mi wydłubywać musze gówna z pieprzniczki!

Gnida z poważnym wyrazem twarzy przypatrywał się Joemu i często kiwał głową.

Joe położył rękę na kolanie Gnidy i spojrzał na ciemny krajobraz przesuwany się za oknem.

— Przede wszystkim chodzi mi o to, że pracując będę się też mógł opiekować tobą. Nie tylko dbać o siebie. Dobra?

Minęła chwila. Autobus przejechał rzekę i za oknami znów przelatywały drzewa, niewyraźne w blasku księżyca.

— Dobra — powiedział wreszcie Gnida.

Pilnowali się, żeby na siebie nie patrzeć. Oparli głowy o poduszki i zamknęli oczy, każdy pochłonięty własnymi myślami.

Joe był zdumiony tym, że powiedział Gnidzie, iż będzie się nim opiekował, a jeszcze bardziej się zdziwił, kiedy zrozumiał, że mówił to poważnie.

Obarczył się nowym ciężarem, wziął na siebie opiekę nad drugim człowiekiem, w dodatku schorowanym i kalekim. Ale, rzecz zastanawiająca, było mu z tym dobrze. Bo pod tym dziwnym ciężarem nie czuł się wcale ciężko, ale lekko i przyjemnie. Siedziało mu się teraz wygodniej, a jego głowa lepiej przylegała do poduszki. Czuł się zespólny ze wszystkim, czego dotykał, i wkrótce usnął: przyśnił mu się jego dawny sen o łańcuchu złotych ludzi.

Ale we śnie były zaskakujące zmiany. Ludzie maszerowali w żwawym rytmie muzyki z rodeo. I tej nocy świetlany sznur, który ich łączył w pochodzie dookoła ziemi, był tak jasny, że w jego blasku Joe mógł rozróżnić ich twarze. Jego uwagę przyciągnęła twarz kowboja wymachującego lassem z tej samej złotej substancji co sznur łączący maszerujących. Wpatrywał się z wytężeniem w twarz kowboja, pragnąc pochwycić jego spojrzenie — twarz ta wydawała mu się dziwnie znajoma, dręczyło go to coraz bardziej — i proszę! Nagle pojął, że twarz kowboja jest jego własną twarzą!

Szedł w jednym szeregu ze złotymi ludźmi.

Widok siebie samego w tak nadzwyczajnej sytuacji zaskoczył Joego i wybił go ze snu. Krajobraz za oknem mienił się barwami chłodnego, zimowego świtu.

Gnida też nie spał, a w dodatku był zrozpaczony. Na twarzy mokrej od łez malowała się udręka.

— Ty, ty, co się stało? — zapytał Joe.

Gnida szybko spojrzał na niego, po czym odwrócił wzrok i cicho, prawie niedosłyszalnie, powiedział:

— Zlałem się.

— Co zrobiłeś?

— Zlałem się! Zlałem się! Zlałem się w portki!

— I co z tego! Czy to taka tragedia?

— Cały jestem mokry! I siedzenie mam mokre.

— Te, stary, nie płacz.

— Jadę na Florydę, a tu boli mnie noga, boli mnie tyłek, boli mnie w płucach, boli mnie twarz, a jakby tego było jeszcze mało, musiałem się zlać!

Joe wybuchnął śmiechem. Zdał sobie sprawę, że śmiech jest nie na miejscu, ale było mu lekko na sercu — i to, co zaszło, wydało mu się bardzo zabawne.

— Rozpadam się — powiedział Gnida. — To cię śmieszy?

Joe skinął głową. I po chwili Gnida też się zaczął śmiać.

Potem Joe powiedział:

— Urządziłeś sobie taki krótki, nieplanowany postój.

Obaj roześmiali się, jakby to było najzabawniejsze powiedzonko, jakie słyszeli w życiu. Śmiali się przez kilka mil. Twarz Gnidy stała się sina, oczy nabiegły mu krwią, skarżył się, że śmiech sprawia mu ból, ale jak tylko przestawał, Joe komentując skatologiczny aspekt jego nieszczęścia rzucał następną uwagę, po której snów wybuchali śmiechem. Ostatnie trzy czy cztery wcale nie były śmieszne, ale i tak śmiali się z przyjemnością. Potem Gnida zaczął kasłać i dusić się; musiał nachylić się do przodu, żeby Joe poklepał go po plecach.

Po tym ataku śmiechu Gnida był osłabiony i śpiący. Wewnętrznie się uspokoił, ale śmiech mocno go wyczerpał. Joe powiedział mu, że jest mnóstwo wolnych miejsc i w czasie najbliższego postoju przeniosą się na suche siedzenie, obiecał mu też, że w jednym z miasteczek kupią nowe spodnie. Przekonał go, że wszystko dobrze się ułoży — i kiedy kierowca zatrzymał autobus na śniadanie niedaleko Richmond, Gnida spał twardo.. Joe opuścił zasłonę w oknie, żeby słońce nie świeciło przyjacielowi w oczy.

Kilka sekund później, kiedy wysiadł z autobusu, Joe stwierdził ze zdziwieniem, że rano przepełniony jest tym samym szczęśliwym nastrojem co świt. Przypomniał sobie, że miał jakiś wspaniały sen, ale nie pamiętał szczegółów. Piękno poranka było niemal nie do zniesienia, powietrze było nim cierpkie — Joe pomyślał, że to dlatego, iż nie jest już w Nowym Jorku.

W restauracji zamówił naleśniki z jagodami i kawę, a kiedy czekał, ogarnęło go jakieś gwałtowne i głębokie uczucie, które błędnie wziął za smutek. Uczucie było tak silne, aż pomyślał, że zwymiotuje. Pobiegł do toalety, zamknął się w kabinie i pochylił nad muszlą. Wsadził do gardła palec, ale wydostało się tylko powietrze. Wtedy rozplakał się. Zdziwiło go to. Nie wiedział, skąd te łzy, skoro czuje się tak wyśmienicie. Wkrótce przestały płynąć. Wytarł nos. Potem wrócił do restauracji i zjadł śniadanie. Naleśniki były smaczne, ale już po pierwszym kęsie przestał o nich myśleć. Bo część specjalnego nastroju poranka przedostała się do restauracji i Joe, jedząc, przez cały czas zamiast o śniadaniu myślał o wspaniałym dniu, i nawet nie dopił kawy, żeby tylko jak najprędzej znaleźć się na zewnątrz, w wirze dnia.

Ten sobotni rano był rzeczywiście czymś niesłychanym. Ogarnął wszystko. Joe miał wrażenie, że gdyby tylko wyciągnął rękę, mógłby go schwycić w palce.

Ale dlaczego tak się działo? Joe doszedł do skraju parkingu i przyjrzał się ziemi. Było to wyschnięte brązowe błoto, porośnięte jakimś upartym bezbarwnym zielskiem, którego zima nie potrafiła zabić, a w oddali stał rząd zwyczajnych nagich drzew, takich jak wszędzie. W łagodnie błękitne niebo można było patrzeć bez zmrużenia oczu, a oddychając chłodnym, bardzo chłodnym, ale nie zimnym powietrzem, miało się wrażenie, że oddycha się spokojnym błękitem nieba i czerpie z niego co najlepsze. Stojąc na skraju parkingu Joe znów się rozplakał — łzy spływały mu po twarzy, a on nic nie rozumiejąc potrząsał głową i dziwił się tej zupełnie zwyczajnej pogodzie i temu dziwnemu smutkowi, który go ogarnął.



W rzeczywistości nie był to wcale smutek, ale Joe o tym nie wiedział i nie mógł wiedzieć.

Otarł twarz rękawem kurtki i wrócił do autobusu.

Gnida wciąż spał.

Jechali dalej na południe; dziwny nastrój poranka trwał nadal. W każdym miasteczku, przez które przejeżdżali, rozgrywały się zwykłe sobotnie sceny: ludzie dźwigali obfite sobotnie zakupy; dzieci biegały, jeździły na rowerach i na wrotkach, rozkoszując się żarłocznie sobotnią wolnością; młode kobiety, już umalowane, ale w lokówkach, udawały się do sklepów Woolwortha, żeby wystroić się pięknie dla swoich sobotnich kawalerów, którzy wchodzili lub wychodzili od fryzjera albo stali na głównej ulicy, podzwaniając drobnymi w kieszeniach, i czekali, aż czyścibut wyglansuje im buty czy podbije obcasy — niecierpliwili się, że daleko jeszcze do sobotniego wieczora, że czas wlecze się powoli jak wskazówki zegara, niecierpliwili się, ale wierzyli, że wieczór się zbliża, czuli go w powietrzu; były też stare kobiety — parami albo w gromadkach przystawały na rogach ulic, cmokały językami i rozprawiły o śmierci, a od czasu do czasu jakiś staruszek dumny jak paw przechodził obok, żeby je skonfundować tym, że jeszcze żyje.

Joe widział to wszystko, a w Raleigh w Północnej Karolinie z ochotą sam się do tego przyłączył.

W sklepie z ubraniami przy dworcu autobusowym kupił nowe spodnie sztruksowe dla Gnidy, a dla siebie tanią, byle jaką granatową marynarkę z białymi guzikami. Wiedział, że jest byle jaka, ale i tak mu się podobała. Swoją poplamioną kurtkę wrzucił do pojemnika na śmiecie.

Usiłował wyciągnąć Gnidę z autobusu, żeby zaprowadzić go do toalety i pomóc mu zmienić spodnie. Ale Gnida nie dawał się wyrwać ze snu. Joe starał się go obudzić mówiąc mu, że niedługo będą w Południowej Karolinie, więc powinien filować na boki, żeby nie przegapić pierwszej palmy, ale Gnida nie reagował. Otworzył co prawda na chwilę oczy, ale wyglądało na to, że nic nimi nie widzi.

Dwie godziny później, w Bennettsville, kiedy prawie wszyscy inni pasażerowie wysiedli rozprostować nogi, napić się kawy czy skorzystać z toalety, Joe zaniósł Gnidę na koniec autobusu. Długie kalessony też przemokły i ściąganie ich szło opornie. Gnida był

bezsilny jak niemowlę. Joe nigdy przedtem nie widział go nagiego. Jego żalosny mały członek wyglądał bezużytecznie, był tylko czymś symbolicznym do oddawania moczu, prawa noga zaś — cienka i poskręcana jak laska starca, a od biodra do kolana poznaczona olbrzymimi czarnymi, zielonymi i fioletowymi siniakami od licznych upadków, doznanych w ciągu kilku ostatnich dni. Gnida wyglądał jak oskubany kurczak, któremu przez całe życie trafiały się tylko najgorsze odpadki, więc wreszcie wywinął orła i dał za wygraną, Cała historia wypisana była na jego ciele — czytając ją, Joe czuł, że to świętość. Przez 'chwilę widział w myśli siebie, jak zawija to nagie, poobijane, kalekie dziecko w koc, podnosi je delikatnie i do końca podróży kołysze na kolanach śpiewając: „Chodź tu, mały piesku”. Ale szybko odsunął do siebie tę myśl.

Siedzieli na suchych miejscach na końcu autobusu, który wkrótce znów ruszył, pokonując wiele, wiele mil w ten sobotni dzień, bogaty i tajemniczy jak wspomnienia. Gnida spał najgłębszym snem na świecie. Joe mówił sobie, że to sen uzdrawiający — kiedy dojechali do Savannah, słońce już zaszło i była pora na kolację, a Gnida wciąż spał.

Joe nie opuścił autobusu. Został obok przyjaciela; ciągle czuł specyficzny nastrój dnia i delectował się nim, choć już zapadła noc.

Myślał o wielu sprawach, a wśród nich również o tych zaskakujących rzeczach, które powiedział Gnidzie: o znalezieniu pracy, o nowych butach, o normalnym życiu i o własnej łazience. I wiedział, że naprawdę będzie kiedyś miał to wszystko i będzie spędzał prawdziwe soboty jak ludzie, którym się przez cały dzień przyglądał. Będzie pewnie albo pomywaczem, albo bufetowym. Razem z nim będą pracowali inni ludzie i z początku nie zwrócą na niego uwagi, nie będą sobie zdawać sprawy, że jest taki jak oni, że jest jednym z nich, ale z czasem to zrozumieją. Zaczną dostrzegać, że nosi normalne buty, i w jakiś sposób dowiedzą się, że nie mieszka w byle hotelu, ale ma własne mieszkanie z prywatną łazienką. I wtedy zaczną się odwiedziny i wzajemne wizyty, a wśród tych nowych osób znajdzie się na pewno kobieta — wcale niekoniecznie blondynka czy kobieta jakiejś określonej urody — ale będzie umalowana i będzie miała lokówki, bo wszystkie mają, i będzie szczęśliwa, że ma mężczyznę, który dba o nią i jest dobry w łóżku; a Gnida będzie dla nich dzieckiem i każą mu myć głowę co najmniej raz na tydzień albo sami mu będą myli, jeżeli będzie za słaby. Cała sztuka, by wszystko się udało, polega na tym, że trzeba pracować ciężko i czekać, aż się uda. Nie można mówić: „Ech, nic z tego nie będzie”,

trzeba trwać przy swoim, dopóki się wszystko nie ułoży, nawet jeśli tymczasem nie czuje się nóg i ma się siwą brodę sięgającą ziemi. Raz przecież powziął w życiu plan, jeszcze w Houston, kiedy to postanowił zostać płatnym kochankiem-kowbojem i szukać szczęścia na wschodzie. I doprowadził plan do końca, został płatnym kowbojem-kochankiem i szukał szczęścia. Nie znalazł go tam, ale szukał — i o to właśnie chodzi. A teraz, tym razem, też może nie znajdzie dla siebie normalnego życia, ale do diabła, będzie szukał, uprze się, zaciśnie zęby i będzie szukał aż do śmierci.

Uświadomił sobie nagle, że myśli bez pomocy lustra, i przyszło mu do głowy, że to już chyba pewna poprawa.

Tej nocy przespał wszystkie następne postoje. Słyszał, jak jeden kierowca mówi: „Jacksonville”, a później jak zupełnie nowy kierowca zapowiada Daytone, ale był tylko na pół obudzony. Spał całkiem głębokim snem, jeżeli się weźmie pod uwagę, że było to w autobusie. Jedyne, co zapamiętał z tej nocy, to te dwie zapowiedzi miast, ale mimo to rano nie był wcale zaskoczony, kiedy się obudził i zobaczył to, co zobaczył.

Gnida leżał zupełnie bezwładnie, na pół zsunięty z siedzenia, zgięty straszliwie, z głową nienaturalnie przekrzywioną na bok, z ramionami rozpostartymi jak bezużyteczne patyki i z szeroko otwartymi, nic a nic nie widzącymi oczami. To, co się w nich iskrzyło, najwyraźniej zgasło.

Gnida nie żył.

I czyż nie okazało się, że był piękny, pogodny dzień, palmy kołysały się wszędzie dookoła, zupełnie jak na zdjęciach w folderach Gnidy i w książce „Floryda i Morze Karaibskie”?

Ale do diabła z tym!

Teraz należało pochować Gnidę, a to na pewno nie było tanie. Joe wyjął i przeliczył pieniądze: miał czterdzieści osiem dolarów i trochę centów. Cena pochówku będzie bez wątpienia fantastyczna, ale jak się obiecuje ludziom, że będzie się o nich dbało, to przecież, do cholery, kiedy umierają, trzeba też zatroszczyć się o ich zwłoki.

Coś było nie w porządku z myślami Joego. Powinien być zupełnie rozstrojony nerwowo, histeryzować i krzyczeć: „Och, ratunku! Ratunku! Mój przyjaciel nie żyje i jestem zupełnie sam!” Ale wcale tak nie było, Nie było i koniec.

Zupełnie jakby wiedział, że to nastąpi. Ktoś (kto? Gnida?) szeptał mu o tym od kilku dni, szeptał mu w języku śmierci, którego się nie rozumie, aż dopiero później. Ma się jakie takie pojęcie, o co chodzi, ale naprawdę się wie dopiero wtedy, kiedy to nastąpi.

A teraz nastąpiło.

Będzie się musiał odbyć pogrzeb, a on będzie się musiał jakoś umówić z właścicielem zakładu pogrzebowego, żeby wszystko zrobiono, jak należy, ale tanio i na kredyt.

Nie. Przede wszystkim musi zabrać ciało z autobusu, a potem... a potem oni muszą...

Kto?

Obsługa dworca.

Obsługa dworca skieruje go po prostu do zakładu pogrzebowego i tam umówi się, żeby ratami spłacać za pochówek Gnidy. (Gnidy? Pochówek? Czy on naprawdę nie żyje? Tak, Gnida nie żyje, nie żyje naprawdę. Zobacz, nie żyje). A potem znajdzie pracę. I będzie się jej trzymał. Najważniejsze to trzymać się pracy. I z czasem zbierze dość forsy,

żeby na grobie postawić tablicę, nie ekstrawaganckiego, po prostu tablicę z imieniem i nazwiskiem: Rico. Nie Gnida! I nie wie, jak się pisze Rizzo, ale znajdzie kogoś, kto będzie wiedział. Nazwisko na tablicy musi być bez błędów, żeby ludzie przechodząc obok grobu mogli mówić: „Och, spójrz, kto tu jest pochowany — Rico Rizzo”.

Co za ludzie będą przechodzić i to mówić?

Mniejsza o to.

Znajdzie się ktoś, kto będzie wiedział, jak się pisze.

Nie to było najważniejsze: Najważniejsze było powiedzieć komuś.

Najwłaściwszą osobą był kierowca.

Joe wstał, przeszedł między rzędami, stanął obok kierowcy, nachylił się i zobaczył przez przednią szybę to samo, co widział kierowca: Sunshine Parkway. Po chwili kierowca zauważył jego obecność.

— Słucham pana?

— Mój przyjaciel, tam z tyłu, nie żyje i nie wiem, jak się pisze jego nazwisko — powiedział Joe.

— Co pański przyjaciel, tam z tyłu? — zapytał kierowca.

— Nie żyje. Umarł — odparł Joe.

— Czy to ma być jakiś...?

Kierowca spojrzał szybko na Joego, po czym znów zwrócił wzrok na Parkway. Spojrzał do lusterka, potem zwolnił, zjechał na prawą stronę szosy i zatrzymał pojazd. Wstał z miejsca i idąc za Joem na tył powiedział swoim urzędowym tonem kierowcy autobusowego:

— Nic się nie stało, proszę państwa. Za niecałą godzinę będziemy w Miami.

Pasażerowie wiedzieli, że coś się stało. Wielu z nich wyciągało szyje, żeby zobaczyć, co się wydarzyło, ale nic nie mogli dojrzeć. Ci, którzy siedzieli najbliżej, mogli wszystko zobaczyć, ale niezręcznie im było przyglądać się.

Kierowca spojrzał na Gnidę i skinął Joemu głową. Sięgnął, żeby zdjąć czapkę, ale się powstrzymał.

— To pański krewny? — zapytał Joego.

Joe potwierdził milcząco.

Wtedy kierowca powiedział:

– To może zamknie mu pan oczy?

– Oczy?

– Wystarczy sięgnąć i zamknąć. To wszystko.

Joe zamknął Gnidzie oczy.

– No więc – rzekł zakłopotany kierowca – chyba ruszymy dalej, co? Nic innego nie możemy zrobić.

– Tak, proszę pana – powiedział Joe.

Kierowca znów poinformował pasażerów:

– To tylko lekkie niedomaganie, proszę państwa, nic poważnego. Będziemy w Miami... – tu spojrzął na zegarek – ...za czterdzieści minut.

Joe przejrzał w myśli swoje plany, potem jeszcze raz, a potem po raz trzeci, aż nabrał pewności, że zrobił wszystko, co do tej chwili miał zrobić. A potem zrobił coś, co chciał zrobić od samego początku, jeszcze tej pierwszej nocy, kiedy spotkał Gnidę w barze Everetta na Broadwayu: objął go ramieniem, żeby trzymać go blisko chociaż przez te ostatnie kilka mil. Wiedział, że ten pocieszający gest już Gnidzie nie pomoże. Zrobił to dla siebie. Bo teraz się oczywiście bał, bał się śmiertelnie.